



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

MAJ – CZERWIEC 3 (110) 2009

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



Fot. E. Niewolska

„Spotkanie wielkanocne” wrocławskich lwowian i kresowian. Ks. kardynał Henryk Gulbinowicz uhonorował red. Grażynę Orłowską-Sondej, prezesa ZG TMLiKPW Andrzeja Kaminskiego i prezesa Klubu TMLiKPW „Leopolis” Elżbietę Urbańską Pierścieniami Tysiąclecia Arcybiskupstwa Wrocławskiego, przez Niego ufundowanymi, dla zasłużonych (fotoreportaż ze spotkania – na str. 25).

Spis treści

Jan Karpa – Jak długo nieprawi cieszyć się będą?	1
Alfred Janicki – Rezolucja	2
Ryszard Kilar – Sen o Lwowie	2
Czesław Filipowski – Huta Pieniacka – czy możliwe porozumienie?	3
Tadeusz Samborski – Pamięć o Zigmuncie Janie Rumlu – drogowskazem na trudnej i wyboistej drodze do prawdy	5
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Roztoczańskie miasteczka przy granicy z Polską	7
Janusz Hodyr – Profesor Kazimierz Sichulski	9
Stanisław Sławomir Nicieja – Cmentarz w Drohobyczu	15
Adolf Wisłowski – Krótka historia kuchni dla biednych	19
Jadwiga Niedzielska – Jak wzbudzać w młodych sercach miłość do Lwowa	20
Iwo Werschler – Ostatnia wiosna w wolnym, polskim Lwowie	21
Ks. Stanisław Turkowski – Ks. Infułat dr Wacław Szetelnicki (1916–1996)	22
„Wrocławskie spotkanie wielkanocne”	25
Jubileusz XX-letniej działalności Krakowskiego Oddziału TMLiKPW	26
Jubileusz XX-letniej działalności Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej	27
Z pobytu delegacji ZG TMLiKPW we Lwowie	28
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	29
Andrzej Przewoźnik o pomniku ofiar OUN-UPA	35
Tadeusz Kukiz – Roman Aftanazy	35
Henryk Mitraszewski – Ze Lwowa w Karkonosze	37
Aleksandra Owsieńska – Wspomnienia najbliższe sercu	39
Marta Jucherska – O Maryli Wolskiej i jej „Storożce”	41
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Powrócili do Macierzy	46
Jan Tarnowski – 20 lat Oddziału TMLiKPW w Zielonej Górze	46
Alicja Nocoń – „Polska–Ukraina: Przyjaźń i współpraca”, „OUN-UPA: Hańba i potępienie”	47
Wanda Butowska – 20 lat TMLiKPW w Poznaniu	48
Bożena Policińska – Konkurs „Lwów zawsze wierny”	49
Minęło 20 lat TMLiKPW w Krakowie	50
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Tadeusz Kamiński (1928–2009)	51
Śp. Andrzej Stelmachowski (1925–2009)	51
Bolesław Szuba – Wspomnienie o Kazimierzu Szubie	51
Poszukiwania	52
„Prezentacje Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny 2009”	53
Lista Ofiarodawców	53

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Nakład: 1200 egzemplarzy

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 0-71/344-88-93; konto bankowe
 Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów niezamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Jan Karpa

Jak długo nieprawi cieszyć się będą?

To pytanie ze starotestamentowego psalmu było mottem uroczystości zorganizowanej 12 marca 2009 roku przez Ogólnopolski Komitet Obchodów 65. rocznicy Apogeum Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Polskiej Ludności Kresów Wschodnich. Pracami tegoż komitetu kieruje Jarosław Kalinowski Wicemarszałek Sejmu RP. Współorganizatorem okolicznościowego spotkania był Patriotyczny Ruch Kresowy, na czele którego stoi płk Jan Niewiński – bohaterski obrońca Kresów Wschodnich, twórca i dowódca polskiej samoobrony we wsi Rybcza koło Krzemieńca. Kolejnym współorganizatorem, a jednocześnie gospodarzem miejsca był Zarząd Krajowy Stowarzyszenia Współpracy Polska – Wschód, którego wiceprezesa dr Tadeusz Samborski był sprawnym i twórczym moderatorem.

Uroczystość miała charakter hołdu złożonego ofiarom ludobójczej akcji przeprowadzonej przez oddziały dywizji SS Galizen i UPA w Hucie Pieniackiej, Podkaminie, Korościatynie i innych miejscowościach, których los dopełnił się w owych tragicznych miesiącach lutym i marcu 1944 r. Pamięć o ofiarach Huty Pieniackiej pielęgnuje „Stowarzyszenie Huta Pieniacka” ze Wschowej. Relacja prezesa tegoż stowarzyszenia Małgorzaty Gośniowskiej-Koli z tegorocznego pobytu w miejscu, na którym była przed laty polska wieś Huta Pieniacka potwierdziła, iż zacytowane w tytule zawołanie jest w pełni zasadne. Bo jak inaczej odczytać fakt, iż podczas tegorocznych uroczystości w Hucie Pieniackiej z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy nie padły słowa prawdy o tej przejmującej tragedii. Wręcz przeciwnie. Padły tam sformułowania na wskroś fałszywe o „polskich szowinistach”. W przemówieniu obu prezydentów wciskały się wrogie krzyki współczesnych nacjonalistów ukraińskich, którzy z nienawiścią w oczach próbowali sforsować ochronę całej uroczystości. Załamującym się ze wzruszenia i bezsilności głosem Małgorzaty Gośniowskiej-Koli, organizatorka wyjazdu byłych mieszkańców Huty Pieniackiej na miejsce kaźni ich najbliższych, informowała uczestników uroczystości, że ze strony pikietujących nacjonalistów – teraz w lutym 2009 roku – słyszeli te same słowa i groźby, które słyszeli idący na śmierć ich bliscy wówczas w tragicznych godzinach pacyfikacji Huty Pieniackiej w lutym 1944 roku.

Wielki ból, kolejny zawód spotkał Polaków ze strony ich prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który nie zareagował na fałszywą interpretację wydarzeń przez prezydenta Ukrainy W. Juszczenkę. Mało tego, Polacy usłyszeli z ust polskiego prezydenta nie to co powinni usłyszeć, gdyby Pan prezydent wierny był prawdzie historycznej i zechciał być strażnikiem honoru i godności narodu polskiego w kontekście ocen ludobójstwa, którego OUN-UPA była autorem i bezlitosnym wykonawcą.

Dlatego uczestnicy okolicznościowego spotkania byli jednomyślni z marszałkiem Jarosławem Kalinowskim, który powiedział m.in. „że gdyby jakiś zespół ukraińskich doradców nacjonalistycznych miał przygotować przemówienie dla polskiego prezydenta, to lepszego niż to, które wygłosił Lech Kaczyński w Hucie Pieniackiej na pewno by nie napisano”. I to jest najbardziej bolesne i przykre.

A w czasie rocznicowej uroczystości, zgodnie z tym co zapowiadał dr Tadeusz Samborski, jej uczestnicy

mogli na tę tragedię sprzed lat spojrzeć oczyma polityków, uczonych, pisarzy, poetów i artystów. Obok marszałka J. Kalinowskiego był także doradca wicepremiera W. Pawlaka – Ambasador Teofil Stanisławski.

Wystąpienia dr Lucyny Kulińskiej i dr Ewy Siemaszko były bardzo ważnym czynnikiem stymulującym intelektualną zadumę nad tragiczną przeszłością, ale także nad ewentualnymi zagrożeniami i konsekwencjami braku reakcji państwa polskiego na odradzający się nacjonalizm ukraiński i na zakłamywanie historii przez stronę ukraińską, ale także – o zgrozo! – przez historyków i publicystów polskich.

I dlatego rozumiem rozpaczliwą konstatację Emila Legowicza – prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi



mi Lwowskiej, że „jeśli agendy i struktury państwa polskiego nie podejmują skutecznej walki o pamięć historyczną i prawdę, to co my, garstka Polaków tam na Ukrainie możemy zdziałać?”. My w Polsce dobrze wiemy, że ich zasługą jest już to, że są jeszcze Polakami, że tam gdzie są polskie mogiły i cmentarze ich ofiar na dłoń postawi świeczkę, zapali znicz, położy kwiatek. Ale trudno ten moralny polski obowiązek spełnić w odniesieniu do ofiar ludobójstwa, które na ogół nie mają grobów i krzyży, bo chociaż Ziemia Polska w XX wieku stała się wielkim cmentarzyskiem nie ma na nim pochówków tych, którzy zginęli z rąk upowskich zbrodniarzy z tego tylko powodu, że byli Polakami.

Stanisław Kosiedowski napisał: nie pozostał po tych ludziach ani ślad, ani grób. Ostał się cień. Patrzcie i odkryjcie głowy – zobaczcie na chwilę ich cień – na tle jasnych murów zbudowanej rękoma Polaków świątyni.

W uroczystym spotkaniu w Domu Przyjaźni uczestniczyli autorzy książek wspomnieniowych (m.in. Sulimir Żuk „Skrawek piekła na Podolu”), biograficznych (Bożena Gorska „Krzemieńczanin”) oraz twórcy filmów telewizyjnych (red. Ewa Szakalicka, płk Tadeusz Krzastek). Byli także wśród licznie zgromadzonych gości liderzy organizacji kresowych i dyplomaci polscy z doświadczeniem wieloletniej pracy u naszych wschodnich sąsiadów.

Kombatanci, jak to już jest w ich dobrym zwyczaju, przybyli ze swoimi pocztami sztandarowymi. Był poczet Zarządu Głównego Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych, a prezes tegoż Związku

plk Henryk Strzelecki udekorował odznaczeniem związkowym: Małgorzatę Gośniowską-Kolę, Lucynę Kulińską, Ewę Siemaszkę i Sulimira Żuka. Odnotować też należy obecność poczty Związku Byłych Osadników Wojskowych.

Wśród uczestników spotkania byli świadkowie tragedii bądź ich potomkowie i bliscy, ale także obrońcy polskich wsi i osiedli. Oprócz legendarnego plk. Jana Niewińskiego uroczystość zaszczylił też plk inż. Bolesław Mieczkowski – przewodniczący Rady Krajowej Środowisk Polskiej Samoobrony na Kresach i kpt. Eugeniusz Mikulski – wiceprezes Zarządu Głównego Związku Żołnierzy BCh, a więc formacji, której przedstawiciele także byli okrutnie pomordowani przez ukraińskich nacjonalistów (Z. J. Rumel, Weronika Wąsik, Stanisław Basaj ps. Ryś).

Alfred Janicki Rezolucja

Pod tym hasłem miało miejsce spotkanie poświęcone pamięci ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej na Kresach Wschodnich II RP w 65. rocznicę rzezi w Hucie Pieniackiej. W dniu 12 marca 2009 r. do Domu Przyjaźni, przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie przybyli Jarosław Kalinowski (przew. Obchodów 65. rocznicy mordów Polaków przez OUN-UPA), prezes Kresowego Ruchu Patriotycznego plk Eugeniusz Niewiński, plk Henryk Strzelecki – prezes ZG Związku Kombatantów Polskich, plk Eugeniusz Mikulski – wiceprezes ZG Związku Żołnierzy BCh, Wiesław Osuchowski – b. konsul RP we Lwowie, Emil Legowicz – prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej ze Lwowa, dr Lucyna Kulińska, Ewa Siemaszko, prof. Ryszard Szablowski, dr Jacek Wilczur, Ryszard Orzechowski i Alfred Janicki reprezentowali ZG TMLiKPW. Obecni byli delegaci samorządu ziemi węglińskiej, z burmistrzem A. Kutrowskim. Spotkanie prowadził niestrudzony działacz Kresów dr Tadeusz Samborski – b. poseł PSL.

W swoich wystąpieniach zebrani jednoznacznie potępalili stanowisko naszych elit rządzących z prezydentem RP na czele. Świadkowie kresowej tragedii jeszcze żyją, a kolejne mówienie nieprawdy w Hucie Pieniackiej przez naszego prezydenta jest obrazą dla ludzi Kresów (przyp. A.J.).

Odzwierciedleniem odczuć zebranych na temat wystąpienia naszego prezydenta w Hucie Pieniackiej niech

Program artystyczny – bardzo wzruszający i nastrojowy – zrealizowali artyści warszawscy, aktor Zbigniew Lesień i chór „Polonia” im. J. Paderewskiego.

Poeta Zbigniew Maurycy Kowalski w wierszu „Huty Pieniackiej żałobny rapsod” napisał: „Panie jeśli tu jesteś, w co należy wątpić, spójrz na dzieło oprawców, spójrz na ich ofiary”.

Uczestnicy uroczystego wieczoru – w większości kresowianie z różnych zakątków naszego kraju i ze stolicy – złożyli hołd pamięci ofiarom tragedii ludobójstwa w Hucie Pieniackiej, Podkamieniu i innych miejscowościach Wołynia, Podola, Pokucia i Polesia, gdzie lała się polska krew niewinnych ofiar. Oprócz hołdu jesteśmy im jeszcze winni prawdę, o którą tak trudno w dzisiejszych czasach dominacji „poprawności politycznej” i moralnego relatywizmu. □



Na salę obrad wchodzi, od prawej: J. Kalinowski, A. Janicki, J. Niewiński, T. Samborski, w głębi A. Kutrowski

będą słowa marszałka Kalinowskiego: „Mam wrażenie, że gdyby tezy wystąpienia prezydenta, tam w Hucie Pieniackiej, przygotowali spadkobiercy nacjonalistów, którzy dokonali zbrodni, to by lepszego, w swoim rozumieniu, wystąpienia nie przygotowali”.

Zebrani uczestnicy spotkania uchwalili rezolucję. Mam nadzieję, że otrzymamy na nią odpowiedź. Niepokoi również fakt braku decyzji w sprawie lokalizacji postawienia pomnika ofiar ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności polskiej Kresów Wschodnich. Nasi sąsiedzi na wschodzie nie bawią się w poprawność polityczną, stawiają pomniki mordercom Polaków, „wychowują” swoją młodzież w duchu „patriotyzmu” OUN-UPA. □

Ryszard Kilar Sen o Lwowie

Złamali pakt, pogwałcili umowę, napadli znienacka, stanęli pod Lwowem. Na nic się zdała obrona zacieka, przepadło miasto w otchłani piekła. Sierp zakrzywiony wbili nam w plecy, zmienili w koszmar nasz los człowieczy. Nikt stąd nie wyszedł niedotknięty piętnem, wszystko nam zabrano co nasze i święte. Mój dom

wydrążony jak pusty oczodół, nieproszeni goście szarańczą nadchodzą. Miasto blask straciło, przechrzczono ulice, zamknięto kościoły, cerkwie i bożnice. Brać lwowskich batiarów jest mocno wzburzona na „trzech panów z Jałty” i lorda Curzona. Żyje dziś w diasporze Wrocławia i Gliwic. Utraciła swą młodość i jest nieszcześliwa. Mnie los rzucił dalej, w kierunku północy, nie zobaczę z oddali Lwowa na oczy. Zbyt jest daleko do niego niestety, aby wiec dojrzeć kościoła Elżbiety. Nie pójdę na spacer ulicą Gródecką, chociaż biegałem po niej jako

dziecko. Na drodze do Gródka, gdzie król nasz Jaggięło dokonał żywota (wpięć wieńcząc dzieło). Z historią za pan brat, bo ona nie kłamie, pod lwowskimi podumam murami. O tym jak rzeka Peltew pod ziemią się chowa, bo nie chce widzieć nie swojego Lwowa. Spójrz na wzgórze, gdzie Wysoki Zamek, z którego widać lwowską panoramę. Stoi smukła jak strzała korniakowska wieża, do Campanilli pięknem się przymierza, kapie złotem Jura, gra zieleń grynszpanów, lśnią w słoń-

cu kopuły świątyni Dominikanów. Przecieram oczy, zamykam je znów. I śnię raz jeszcze mój ukochany Lwów.

PS – Wiersz poświęcam swej mamie śp. Marii Kilar, która urodziła się we Lwowie w 1908 roku na Łyczakowie. Jest patronką szkoły podstawowej w Kleszczynie, którą organizowała i kierowała w trudnych warunkach powojennych. □

Czesław Filipowski Huta Pieniacka – czy możliwe porozumienie?

Po prawie czterech latach od uroczystego otwarcia symbolicznego cmentarza w Hucie Pieniackiej (21 października 2005) upamiętniającego ludobójstwo dokonane na Polakach przez oddziały SS-Galizien i bojówkarzy OUN-UPA z pobliskich miejscowości, przygotowana była ważna uroczystość 65. rocznicy zagłady tej miejscowości. Uroczystość z udziałem prezydenta Polski i nadzieja, że przybędzie również prezydent Ukrainy, przywidywana była na dzień 28 lutego, tj. dokładną datę tej tragedii. Inicjatorem i koordynatorem tej uroczystości było Stowarzyszenie Huta Pieniacka, a zwłaszcza jego przewodnicząca Małgorzata Gośniowska-Kola. Gdyby nie determinacja pani Prezes i jej Stowarzyszenia, która doprowadziła do tego, że prawę podjęła Kancelaria Prezydenta i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nigdy by nie doszło do uroczystości na taką skalę. Organizacja takiej uroczystości wymagała włączenia organów państwa.

Ostatni raz tego typu uroczystość była organizowana w 2003 r. w Porycku na Wołyniu. Przez sześć lat od tamtej uroczystości nasze władze centralne nie chciały ani słuchać, ani podejmować żadnych działań, ani nawet wspominać o tragedii Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich. Pan prezydent Lech Kaczyński nie zaszczylił swoją obecnością żadnej uroczystości organizowanej w 2008 roku dla uczczenia 65. rocznicy ludobójstwa na Polakach na tych terenach.

Doprowadzenie do organizacji takiej uroczystości w Hucie Pieniackiej, w której wezmą udział prezydenci Polski i Ukrainy, Stowarzyszenie Huta Pieniacka i pani Prezes nawet w najśmielszych marzeniach nie przewidywali takiego finału swoich działań. Tym większa chwała i uznanie dla Stowarzyszenia i pani Prezes. Na uroczystość w Hucie Pieniackiej wyjechali autokarem ocaleni mieszkańcy i ich potomkowie urodzeni już w Polsce. Bardzo ważny fakt, że wśród uczestników była dość duża grupa młodzieży. Podróż do Lwowa upłynęła w miłej, sympatycznej atmosferze. Przejazd przez granicę bez większych problemów.

W czasie kolacji w hotelu we Lwowie, oznajmiono nam, że śniadanie o godz. 8.00 czasu miejscowego. bo na 10.00 mamy dojechać do Huty Pieniackiej, na godzinę przed rozpoczęciem oficjalnej uroczystości. Autokar wyjechał zaraz po śniadaniu na punkt zbiórki w pobliżu Baszty Prochowej. Tam miała być zbiórka pojazdów

jadących do Huty Pieniackiej. Zamiast wyjechać po kilku lub kilkunastu minutach w dalszą drogę, czekaliśmy ponad pół godziny nim wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Niestety, nie dojechalismy na miejsce przeznaczenia. Zatrzymaliśmy się na parkingu przed Brodami. I znowu oczekiwanie nie bardzo wiadomo na co? Pierwsze informacje, że uroczystość miała się rozpocząć o godz. 11.00 już dawno stała się nieaktualna. Na parkingu zatrzymały się jeszcze inne autobusy i samochody osobowe, które zdążyły na uroczystość w Hucie Pieniackiej. Fragmenty informacji, które docierały do uczestników nie były jasne, dlaczego nie jedziemy dalej. Jedni twierdzili, że droga jest przygotowywana do przejazdu przez autokary, a inni twierdzili wprost, że w pobliżu Huty Pieniackiej jest przygotowywana ukraińska prowokacja. Wreszcie około godz. 12.00 autokary i samochody ruszyły w kierunku miejsca uroczystości. Na kilkaset metrów przed Hutą Pieniacką nasz autokar zatrzymał się, a przed nami z lewej i prawej strony stały już inne autokary.

Na jednym z autokarów widoczny był dość duży portret Stefana Bandery. Widok ten nie wzbudził optymistycznego nastroju wśród naszych uczestników. Na wprost naszej drogi prowadzącej do Huty Pieniackiej stały duże zwarte grupy na czarno ubranych w większości mężczyzn z flagami niebieskimi partii „Swoboda”. W tym zgromadzeniu niewiele było widać flag narodowych Ukrainy, natomiast widoczne były czarno-czerwone flagi banderowskie oraz w tym kolorze transparent.

Z lewej strony stał drewniany krzyż z koroną cierniową wykonaną z drutu kolczastego i tam odbywały się śpiewy i modły prowadzone przez księdza greckokatolickiego i prawosławnego. Droga, którą nam trzeba było przejść została obstawiona przez uczestników tej prowokacyjnej uroczystości w taki sposób, że transparent rozwinięty przez Stowarzyszenie Huta Pieniacka nie mógł być w pełni rozciągnięty, bo było zbyt ciasno. Przez ten złowrogi szpaler przeszliśmy nie zaczepiani, tylko gdzieś z tyłu dochodziły nie bardzo przyjazne pomruki. Po kilkunastu minutach dotarliśmy do miejsca głównych uroczystości przed symboliczny cmentarz, na którym jest ustawiony krzyż granitowy z wyrytym napisem:

*Z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej
do Ciebie Panie woła ten głos.*

Kornel Ujejski

PAMIĘCI
SPOCZYWAJĄCYCH TU
OKOŁO 1000 POLAKÓW
MIESZKAŃCÓW WSI
HUTA PIENIACKA
ZAMORDOWANYCH
28 LUTEGO 1944 ROKU
SPALONA WIEŚ PRZESTAŁA ISTNIEĆ
NIECH SPOCZYWAJĄ W POKOJU
RODZINY I RZĄD
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
2005

Powyższy napis powtórzono w języku ukraińskim.

Po obu stronach krzyża stoją granitowe obeliski z wrytymi nazwiskami osób i rodzin okrutnie zamordowanych. Symboliczny cmentarz okolony jest niskim murem wykonanym z polnych kamieni, na których ustawiono dziesiątki zniczy. Prawie dwie godziny oczekujemy na przyjazd prezydentów. W tym czasie pogoda nas nie rozpieszcza. Na zmianę przebiegają słońca i śniegowa zawieja z wichurą. Taka pogoda przywołuje myśl o 28 lutego 1944 r. Musiało być tak samo zimno i wietrznie, a grupa Polaków z małymi dziećmi na wieży kościelnej, nie ubrani, zziębnięci i głodni, umierający ze strachu o swoje życie, kilkanaście godzin długich jak wieczność czekali na boskie zmiłowanie.

Wreszcie około godziny 15.00 nadjeżdża kawalkada samochodów z prezydentami i oficjelnymi. Oprócz wysokich urzędników państwowych towarzyszących obu prezydentom są też przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego w osobach Metropolity Lwowskiego arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego i biskupa Adama Małego oraz hierarchów Cerkwi prawosławnej patriarchatu kijowskiego i Cerkwi autokefalicznej. Natomiast nie zaszczycił swoją obecnością przedstawiciel Cerkwi greckokatolickiej, co zostało jednoznacznie ocenione przez uczestników uroczystości. Po krótkim powitaniu prezydentów przez Konsula Generalnego we Lwowie, zabrał głos prezydent Lech Kaczyński. Wita wszystkich uczestników, w tym nieobecnego przedstawiciela Cerkwi greckokatolickiej na drugim miejscu. W dalszej części swego przemówienia pan prezydent stwierdza: „Spośród tysięcy Polaków z Huty Pieniackiej przeżyli jedynie nieliczni, kilkadziesiąt osób. Wszyscy pozostali: mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci – całe rodziny padły ofiarą mordu”.

Pan prezydent nie powiedział, kto tego mordu dokonał. Oczywiście prezydent znalazł winnych – „...dwóch zbrodniczych totalitaryzmów”. W dalszej części swego wystąpienia prezydent stwierdza: „prawdziwa przyjaźń wymaga mówienia całej prawdy, także tej najtrudniejszej i najboleśniej”. Czy kiedykolwiek pan prezydent lub ktokolwiek z władz zdobędzie się na to, żeby to stwierdzenie wypowiedzieć do końca o tym, co się stało z Polakami na Kresach Południowo-Wschodnich i przez kogo? W czasie przemówienia prezydenta, gdy nie padały słowa, kto dokonał tego ludobójstwa, został zwinięty transparent „Dziękujemy Panie Prezydencie”. Jest to

chyba najbardziej wymowny akt oceny przemówienia Głowy Państwa Polskiego. Jako drugi przemawiał prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko. Uczestnicy uroczystości nie usłyszeli ani wskazania winnych, ani słowa potępienia sprawców. Ciekawe, że w czasie tego przemówienia nastąpiła awaria sprzętu nagrywającego redakcji Kuriera Galicyjskiego, a próby uzyskania tekstu przemówienia od władz ukraińskich nie udały się. W trakcie tego przemówienia padły słowa „Jestem głęboko przekonany, że Ukraińiec na wieki podała rękę Polakowi...”. A stało się to kilkanaście minut po tym, jak służby bezpieczeństwa Ukrainy zagroziły drogę dla watahy ukraińskiej spod znaku „Swoboda”, która napierała na uczestników uroczystości w Hucie Pieniackiej w czasie przemówienia Lecha Kaczyńskiego. Gdyby nie interwencja służb porządkowych, aż włos się na głowie jeży na myśl, jak by wyglądało „podanie ręki Polakom przez tych Ukraińców”. Zabiera głos prezes Stowarzyszenia Huta Pieniacka pani Małgorzata Gośniowska-Kola. Ona jedna stwierdza, że było to ludobójstwo, ale nie wskazała imiennie, kto tego ludobójstwa dokonał.

Nie wskazała, gdyż nie mogła, bo jej przemówienie było dwukrotnie cenzurowane, aby nie wyszło poza ramy „poprawności politycznej”.

W sumie przemówienie należy zaliczyć do sentymentalno-wspomnieniowych. Najbardziej przejmująca część uroczystości to apel pomordowanych prowadzony przez pracowników konsulatu we Lwowie.

Wyczytano imiona, nazwiska i czasami wiek zamordowanych.

– Franciszka Adaszyńska, Czesław Biniewicz lat 8, Helena Biniewicz lat 6, Gabriela Bukowy 9 miesięcy, Piotr Czajka (Ukraińiec), żona Piotra (Polka), Waldemar Chrypliwij lat 4, Karolina Jarosz lat 50, Czesław Jarosz lat 5, Helena Karpowicz lat 70, Antoni Kobylański, Helena Kowalska lat 6, Maria Mendelska lat 7, Teodor Morawski lat 50, Stefania Rysicka lat 13, Czesław Skowroński lat 3, Władysław Zwarycz lat 7, I.N. Żukowski dziecko, Sierżantów partyzant radziecki.

I tak to trwało około 20 minut przerywane sygnałem werbli. Takich imion i nazwisk pomordowanych przywołano w czasie apelu ponad 400.

W czasie trwania apelu pomordowanych, część Ukraińców opuściła uroczystość. Homilię wygłosił Metropolita Lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki i arcybiskup lwowski i halicki Augustyn Markiewicz Kościoła prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego.

Na zakończenie tej części uroczystości odbyła się modlitwa ekumeniczna za dusze pomordowanych. Następnie złożyli wieńce pod pomnikiem kolejno prezydent Lech Kaczyński, Wiktor Juszczenko i Stowarzyszenie Huta Pieniacka. W długiej kolejce składali wieńce przedstawiciele poszczególnych delegacji. Wiele czasu jeszcze polskie delegacje spędziły przy pomniku, a potomkowie i uratowani hutniacy odwiedzili cmentarz odnawiany od kilku miesięcy. Autokar z delegacją Stowarzyszenia wyjechał ostatni z Huty Pieniackiej.

Oceniając uroczystość w Hucie Pieniackiej, należy przyznać, że w relacjach oficjalnych jest to bardzo duży krok w kierunku uznania ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich.

Patrząc jednak na ostatnie działania prezydenta W. Juszczenki w sprawie nobilitacji przywódców OUN-UPA, trudno było sobie wyobrazić jego obecność na miejscu zbrodni ludobójstwa dokonanego przez jego rodaków. Tym bardziej, że obecność prezydenta Juszczenki nie była pewna prawie do ostatnich godzin. Trudno wyzbyć się myśli, na ile to szczere, a ile w tym gry i kalkulacji politycznej. Bo przecież prezydent Lech Kaczyński to chyba jeden z niewielu przyjaciół prezydenta Ukrainy.

Niezależnie od wielkiego sukcesu oficjalnego hutniacy i wszyscy kresowiaci odczuwają niedosyt uczczenia tego miejsca i tych, co ponieśli męczeńską śmierć. To wrażenie wzmacnia sytuacja odradzającego się w wielkim tempie nacjonalizmu ukraińskiego, mającego poparcie w działaniach prezydenta Juszczenki.

Uroczystość odsłonięcia pomnika w Hucie Pieniackiej 21 października 2005 r. przebiegała w zupełnie innej atmosferze. Co prawda oficjalną stronę ukraińską reprezentował tylko Rozer Krotoszyn, przedstawiciel władz obwodowych Lwowa, ale nie było żadnych prowokacji.

Aby nie było powrotu do obojętności

Tadeusz Samborski

Pamięć o Zygmuncie Janie Rumlu – drogowskazem na trudnej i wyboistej drodze do prawdy

Liczne są zastępy bohaterów Batalionów Chłopskich, którzy ginęli i przelewali krew za wolną Polskę na różnych polach bitewnych II wojny światowej. Swoimi nieśmiertelnymi czynami na ołtarzu Ojczyzny zasłużyli na wdzięczność, pamięć narodu i jego kolejnych pokoleń.

O tę pamięć i jej przekazywanie młodzieży w pięknej artystycznej formule dba wzruszająco wierny polskiej wsi, jej historii i kultury najmłodszy oficer BCh, obecnie sędziwy, Stanisław Leszczyński, twórca i dyrektor Zespołu Tańca Ludowego UMCS. Ta odtwarzana przez podopiecznych artystów-studentów przysięga żołnierzy BCh jeszcze dziś zdumiewa trafnością celów i szlachetnością ideałów, jakim służyli członkowie tego jedynego w Europie chłopskiego wojska.

Dziś w wolnej i niepodległej Ojczyźnie musimy ze skrucą i żalem przyznać, że wielu spośród bohaterów żołnierzy i oficerów BCh jest nadal zapomnianych, a pamięć o nich celowo marginalizowana i spychana w historyczny niebyt. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest tzw. „poprawność polityczna”, która podwaja wiele zamieszania w sferze świadomości narodowej, moralności publicznej i w świecie wartości, które w naszym chłopskim etosie odgrywały – i mam nadzieję, że nadal będą – nieprzemijającą i bardzo konstruktywną rolę. Jedną z nich jest nazywanie rzeczy i wydarzeń ich prawdziwymi imionami i określeniami. Dla nas ktoś, kto popełnia zbrodnię, musi być nazwany zbrodniarzem, a ktoś inny, w imię wyższych ideałów – a miłość Ojczyzny jest jednym z naczelnych – oddający swoje życie, zasługuje na miano bohatera. Tak to pojmowali wszyscy, którzy poszli pod sztandary BCh mając świadomość, że za wyznawane ideały i wartości przyjdzie płacić cenę najwyższą, czyli własne – najczer-

Owszem, przyjeżdżali Ukraińcy z sąsiednich miejscowości, trochę z ciekawości, a trochę ze współczucia dla pomordowanych. Niestety, przez te ostatnie cztery lata bardzo dużo się zmieniło na niekorzyść. Rak nacjonalizmu rozwinął się w Zachodniej Ukrainie bardzo mocno. Prawdę zakłamują nie tylko politycy, ale i pseudohistorycy. Bardzo dzielnie wtórują im działacze Związku Ukraińców w Polsce za pośrednictwem „Naszego Słowa” i nie tylko. Niewybredne ataki i kłamstwa na Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika i jego działalność niszczą w zarodku nadzieję na zbliżenie nie tylko polityków, ale ludzi – obywateli polskich i ukraińskich. Wszystkie te działania mają na celu zacieranie zbrodni ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA, aby zbrodniarzy postawić na piedestale narodowych bohaterów.

Jeszcze przed kilku laty wierzyłem w szczere porozumienie między Polakami i Ukraińcami, ale teraz patrząc na to, co się dzieje za wschodnią granicą i w Polsce, czas prawdziwego porozumienia między społecznościami oddala się w bliżej nieokreśloną przyszłość. □

ściej młode, tak głęboko zespolone z ziemią ojczystą – życie.

Do tego grona niewątpliwie zaliczyć należy Zygmunta Jana Rumla – poetę, żołnierza, komendanta obwodu wołyńskiego BCh¹⁾. Trudno ustrzec się wielkich słów, ale jego poezja i czyny są najlepszym dowodem na miłość do Wołynia, rodzinnego domu, do ojcowizny i do Polski. Jego patriotyzm i heroizm były najwyższą próbą i wielkiej miary. Bo jakże inaczej można zinterpretować chociażby ostatni jego czyn, jakim było wykonanie polecenia przedstawiciela Rządu RP w Londynie Kazimierza Banacha. Sprowadzało się ono do przyjęcia roli mediatora ostatniej szansy w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, jakie zawisło nad polską ludnością Wołynia – głównie mieszkającymi tamtejszych wsi i małych miasteczek. Zygmunt Jan Rumel niezłomny oficer BCh „w cywilu” poeta, porównywany przez znawców zagadnienia z Krzysztofem Baczyńskim i Tadeuszem Gajcym – udał się z przysłowiową oliwną gałązką pokoju do sztabu UPA w miejscowości Kustycze. Towarzyszyła mu nadzieja, iż drogą negocjacji uda się odwrócić falę nacjonalistycznej nienawiści i ustrzec polską ludność Wołynia przed planowaną przez UPA rzezią. Wraz z nim byli też dwaj inni przedstawiciele chłopskiego wojska.

Niestety, z woli dowódców UPA rolę parlamentarzysty szybko zmieniono na los skazańców. Wysłanników polskiego rządu i Komendy BCh rozerwano koźmi, a zwłoki ukryto w nieustalonym do tej pory miejscu.

Jesteśmy świadomi, że miejsce pochówku bohaterów Zygmunta Jana Rumla i jego współtowarzyszy w tej tragicznej wyprawie może nigdy nie być ustalone. Ale pamięć o Nim, o Jego bohaterstwie i Jego poczuciu obowiązku jako żołnierza podziemnej Rzeczypospolitej i

obrońcy polskich Kresów Wschodnich nie może nigdy zagać. Ona musi trwać wiecznie jako ważny składnik polskiej tożsamości narodowej i wzór cnót obywatelskich.

Naszym moralnym obowiązkiem jest podjęcie wszelkich starań i wysiłków, aby społeczeństwu polskiemu przywrócić i utrwalić pamięć o Zigmuncie Janie Rumlu. W dniu 10 lipca 2008 r. z trybuny Sejmu RP poseł Franciszek Jerzy Stefaniuk apelował do polskiej opinii publicznej tymi słowami: „Śmierć z rąk banderowskich nacjonalistów w momencie, kiedy w pełni świadom zagrożenia zdecydował się jako emisariusz pertraktować z dowódcami UPA, aby zaniechano rzezi niewinnej ludności Wołynia, sytuuje go w panteonie narodowych bohaterów, niewahających się przed złożeniem ofiary z życia w imię najwyższych wartości”. W tym duchu odbyła się niedawno (11 grudnia 2008 r.) w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej o następującej treści: „Zygmunt Jan Rumel – Żołnierz, Poeta, Męczennik Wołynia – zamordowany przez nacjonalistów ukraińskich”.

Fakt, że tablica ta mogła znaleźć godne miejsce w prestiżowej instytucji kultury to niewątpliwie zasługa znanego literata i wieloletniego dyrektora muzeum Janusza Odrowąż-Pieniążka oraz jego zastępcy Henryka Banasiuka. Tablicę wykonał artysta rzeźbiarz Bartłomiej Kurzeja, zaś fundatorem tablicy jest Stowarzyszenie Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich.

Naturalną rzeczą było, iż odsłonięcia dokonał Jarosław Kalinowski – wicemarszałek Sejmu RP, jedyny polityk z najwyższych kręgów władzy, który nie ulegając presji „poprawności politycznej” stoi na gruncie prawdy historycznej jako warunku godnego kształtowania stosunków między ludźmi i narodami. Panu marszałkowi J. Kalinowskiemu towarzyszyła przedstawicielka rodziny Zygmunta Jana Rumla z Gdyni – Ksenia Bagniewska.

Uroczystość odsłonięcia na muzealnym dziedzińcu uświetniły poczty sztandarowe, wśród nich poczet warszawskich BCh z kpt. Eugeniuszem Mikulskim na czele.

Tuż po uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej w pobliskim Klubie Księgarza na rynku Starego Miasta odbyła się promocja nagrodzonej w Warszawskiej Premierze Miesiąca książki o Z. J. Rumlu pt. „Krzemieńczanin” autorstwa Bożeny Gorskij²⁾.

Warto nadmienić, że Zygmunt Jan Rumel jest patronem obchodów 65 rocznicy apogeum zbrodni ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na polskiej ludności Kresów Wschodnich. Dalszy ciąg obchodów jest przewidziany na cały 2009 rok.

Przywracanie i utrwalenie pamięci o Z. J. Rumlu jest także przywoływaniem pamięci i wyrazem hołdu wobec dokonanych innych bohaterskich żołnierzy Batalionów Chłopskich. Sierżant Weronika Wąsik – komendant BCh w Buczaczu wraz z siostrą broniły swojego domu rodzinnego w Sawaluskach, aż padły pod ciosem siekier atakujących je upowców.

Czyż nie ziściły się w tym wypadku słowa Marii Konopnickiej „twierdzą nam będzie każdy próg”? Nie było tam metafory poetyckiej, tam była tragiczna rzeczywistość, której elementem były dwie zarabane bohaterskie kobiety broniące ojcowskiej chaty.

O bohaterskiej postawie należy też mówić w odniesieniu do innego z komendantów BCh – Stanisława Basaja (ps. Ryś), który miał ogromne zasługi w obronie polskiej ludności przed bandyckimi napadami ze strony upowców, aż w końcu podstępnie przez nich zrabiony zginął z ich rąk.

Sądzę, że wszyscy Polacy w kraju i poza jego granicami mają poczucie wspólnoty losów i historii muszą dążyć do prawdy o naszych dziejach i nawet najtragiczniejszych ich rozdziałach.

Musimy pamiętać o bohaterach i niewinnych ofiarach, jakie złożył nasz naród na ołtarzu Ojczyzny. Po-



winniśmy pamiętać o cenie, jaką w różnych okresach historii nasi Rodacy płacili za polskość i tylko za to że byli Polakami. W pełni zgadzam się z poglądem Rafała Ziemińskiego, który napisał, „że zapaleniu rocznicowym zniczy towarzyszyć powinna nie tylko żałoba, ale także palący wstyd za sprzeniewierzenie się pamięci ich męczeństwa”.

Niech tablica upamiętniająca tragiczną postać poety-żołnierza w Muzeum Literatury w Warszawie niweluje chociaż część tego palącego wstydu za sprzeniewierzenie się pamięci i lata zakłamania oraz relatywizmu w historycznej ocenie tragedii polskich Kresów Wschodnich. Przecież powszechnie wiadomo, że ci, którzy ignorują historię, skazani są na powtórki. A ceny takich „powtórek” są niewyobrażalnie wysokie.

Przypisy:

1) Pokrewieństwo jego talentu literackiego jest wyraźnie zauważalne w zestawieniu z takimi poetami jak: Krzysztof Kamil Baczyński, Wacław Bojarski, Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński, Krystyna Krahelska. Leopold Staff po jednym z konspiracyjnych wieczorów literackich powiedział o Z. J. Rumlu: „to będzie wielki poeta”. A Jarosław Iwaszkiewicz, nawiązując do słynnej metafory prof. Stanisława Pigonia o narodzie polskim, którego los zmusza do strzelania do wroga brylantami, powiedział w 1975 r.: „To był jeden z tych diamentów, który mógł zabłysnąć pierwszorzędnym blaskiem”.

2) W wygłoszonej z tej okazji laudacji prof. Andrzej Lam, przewodniczący jury powiedział m.in.: „Jest wielką zasługą p. Bożeny Gorskij, że przywróciła naszej pamięci – w najszerszym z dotychczasowych zakresów – postać i twórczość Zygmunta Rumla, poety, polonisty, wychowanka Liceum Krzemienieckiego, działacza społecznego, żołnierza Września, oficera BCh i AK. W czasie rzezi wołyńskich 1943 r. delegowany, w mundurze i bez broni – z misją rozjemczą do sztabu Ukraińskiej Armii Powstańczej – został bastiarsko zamordowany”. Niezwykle cenną jawi się konstatacja prof. J. Lamy zawarta w słowach: „Może właśnie książka Bożeny Gorskij *Krzemieńczanin* stanie się takim słupem miłowym, za którym nie będzie już powrotu do obojętności”. □

Jarosław Tadeusz Leszczyński

Roztoczańskie miasteczka przy granicy z Polską

Przy drodze i linii kolejowej ze Lwowa do Lublina, a dalej do Warszawy, nad rzeką Rata (lewy dopływ Bugu), leży miasteczko powiatowe Rawa Ruska liczące około 10000 mieszkańców.

Miasto zostało założone około 1455 r. przez Władysława I, księcia mazowieckiego i bełskiego (w tym księstwie, a później województwie znajdowała się do I rozbioru Polski Rawa Ruska), który nazwę nadał mu od miasta Rawy, leżącego na rodzinnym Mazowszu. Od tego momentu tamtejszą Rawę zaczęto dla odróżnienia nazywać Rawą Mazowiecką, zaś nowo założone miasto Rawą Ruską. Miasto w herbie posiada otwartą bramę zwieńczoną trzema basztami.

W 1672 r. w okolicach Rawy Ruskiej miała miejsce zwycięska bitwa nad czambułem tatarskim. Oddziałami polskimi dowodził wtedy Atanazy Międzyński. W wyniku tego zwycięstwa uwolnionych zostało kilkaset osób wziętych wcześniej w jasyr.

Nieco później, bo w 1698 r. Rawa Ruska była świadkiem trwającego tu 3 dni spotkania króla Augusta II Mocnego z carem Piotrem I Wielkim, podczas którego obaj władcy zawarli sojusz przeciwko Szwecji, który w krótkim czasie doprowadził do wybuchu Wojny Północnej. W czasie jej trwania, w 1704 r. bawił tu przez dwa dni król szwedzki Karol XII, który spotkał się z popieranym przez niego kandydatem do tronu – Stanisławem Leszczyńskim. W okresie Konfederacji Tarnogrodzkiej (1716 r.) w Rawie Ruskiej odbywały się rokowania pomiędzy przedstawicielami króla Augusta II a delegatami wojska Rzeczypospolitej, skonfederowanego w proteście przeciwko saskim rozbojom.

Rawa Ruska była miastem prywatnym należącym w XVII stuleciu do Trzcińskich h. Ślepowron, zaś na początku XVIII w. była we wspólnym posiadaniu aż 3 rodzin: Głogowskich, Suchodolskich i Boguszków. W połowie XVIII w. miasto znalazło się w posiadaniu Rzeczyckich, zaś w roku 1791 jego właścicielem został Franciszek Głogowski, natomiast w 1808 r. rodzina Jabłonowskich.

W 1772 r. Rawa Ruska znalazła się w zaborze austriackim. W 1867 r. powstał tu węzeł kolejowy na skrzyżowaniu linii z Jarosławia do Sokala i ze Lwowa do Bełżca. W końcu XIX stulecia miasto liczyło ok. 9000 mieszkańców, w większości Żydów. Tutejszy majątek w tym czasie należał do książęcej rodziny Sapiehów. Po wybuchu I wojny światowej w 1914 oraz 1915 r. toczyły się tu walki między Austriakami a Rosjanami.

Podczas wojny między Polakami a Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią w listopadzie 1918 r. Rawę początkowo zajęli Ukraińcy, ale zostali zeń wyparci 27 listopada. Walki z Ukraińcami toczyły się jeszcze do maja 1919 roku. Mimo że miasto kontrolowali już Polacy, to leżało ono na linii frontu, odgrywając ważną rolę jako miejsce koncentracji i baza wojsk polskich.

W okresie międzywojennym Rawa Ruska liczyła 12000 mieszkańców.

Po najeździe Niemców hitlerowskich na Polskę w dniu 14 września 1939 r. Rawę Ruską zajęły wojska niemieckie, ale w wyniku wcześniejszych ustaleń związanych z paktem Ribbentrop-Mołotow w końcu września miasto ostatecznie znalazło się w granicach ZSRR. Sowiet

zbudowali na nowej swojej granicy przebiegającej w pobliżu – jak dziś – linię fortyfikacyjną zwaną Linią Mołotowa. W rejonie Rawy Ruskiej okazała się ona skuteczną w czasie obrony sowieckiej po najeździe Niemców na Związek Radziecki 22 czerwca 1941 roku. Sowiet bronili się tu przez 5 dni, co stanowiło jedno z nielicznych miejsc stawienia przez nich skutecznego oporu.

W latach 1941–1942 w sąsiedztwie miasta znajdował się obóz jeńców wojennych (Stalag 325), w którym więziono 20000 Francuzów wykorzystywanych przy budowie dróg i mostów. W 1942 r. utworzono w Rawie Ruskiej getto żydowskie, którego mieszkańców w liczbie kilku tysięcy wywieziono do obozu zagłady w niedalekim Bełżcu (miejscowość dotąd znajduje się po stronie polskiej). Na miejscu zamordowano ok. 1600 starożytnych.

Po II wojnie światowej przecięcie granicą wiodącej przez miasto linii komunikacyjnej (kolejowej i samochodowej) przyczyniło się do degradacji miejscowości. Sytuacja poprawiła się po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 r. Otwarto przejście graniczne z Polską, a intensywny ruch transgraniczny zaczął stanowić podstawę ekonomicznego rozwoju miasta.

Rawa Ruska jest lokalnym skupiskiem Polaków, których mieszka tu niespełna 200 osób. Działa tu nawet oddział Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Obok tej organizacji miejscem spotkań Polaków jest kościół rzymskokatolicki pw. św. Józefa. Zbudowany w latach 1770–1776 z fundacji właściciela Rawy Ruskiej



Rawa Ruska – kościół parafialny pw. św. Józefa

Andrzeja Rzeczyckiego. Zamknięty w 1947 r. z przeznaczeniem na magazyn żywnościowy. Zwrócony wiernym w 1989 r. i wyremontowany. Należy do grupy kościołów wzorowanych na świątyni w Hodowicy k. Lwowa, zaprojektowanej przez wybitnego architekta Bernarda Meretyna. Jest to świątynia jednonawowa przecięta transeptem z wieżyczką na sygnaturkę na kalenicy dachu. Wewnątrz znajduje się sklepienie kolebkowo-krzyżowe. W ołtarzu głównym pochodzącym z tutejszego kościoła reformatów znajduje się krucyfik. Ołtarz ten po zamknięciu świątyni klasztornej został wyrzucony do po-

bliskiego lasu i tam znaleziony. W lewym bocznym ołtarzu znajduje się kopia obrazu Matki Boskiej Rawskiej (oryginał po zakończeniu II wojny światowej umieszczony został w kościele parafialnym w Lubyczy Królewskiej znajdującej się niedaleko od Rawy Ruskiej, ale po polskiej stronie granicy. Do II wojny światowej Lubycza Królewska zamieszkała była w większości przez Ukraińców. Nie posiadała kościoła tylko cerkiew, a nieliczni zamieszkujący tę wieś Polacy wyznania rzymskokatolickiego należeli do parafii właśnie w Rawie Ruskiej). W prawym bocznym ołtarzu umieszczony został obraz Bożego Miłosierdzia.

Parafię obsługuje ojciec zakonny z franciszkańskiego zgromadzenia reformatorów, który oprócz Rawy Ruskiej ma pod opieką jeszcze kościoły w Potyliczu, Niemirowie i Magierowie. W niedzielę regularnie na msze św. uczęszcza około 150 osób. Liturgia odbywa się w języku polskim, ale kazania głoszone są po ukraińsku.

W odległości kilkuset metrów na zachód od kościoła parafialnego, za rzeką Rata, wznoszą się zabudowania dawnego kościoła i klasztoru reformackiego pw. św. Michała Archanioła. Założony został w 1725 r. staraniem Grzegorza Rzeczyckiego (starosty bełskiego) i Józefa



Rawa Ruska – kościół poreformacki
pw. św. Michała Archanioła

Głogowskiego. Wzniesiono go w latach 1726–1737 według planów architekta Pawła Antoniego Fontany. Fundatorem przedsięwzięcia był łowczy kijowski Franciszek Zawadzki. Zamknięty po II wojnie światowej początkowo mieścił zakład przemysłowy, obecnie zaś znalazła tu swoją siedzibę instytucja związana z obroną cywilną. Władze obiecują oddać klasztor reformatom, ale jak to na Ukrainie od obietnic do realizacji droga długa i daleka. W wypadku odzyskania reformacji planują urządzenie w kościele i klasztorze miejsca dialogu i pojednania polsko-ukraińskiego, jako że miasto leży blisko granicy obydwóch państw.

W niewielkiej odległości od kościoła parafialnego znajduje się cerkiew greckokatolicka pw. św. Jura. Zbudowana została w 1846 r. w stylu nawiązującym do baroku, bardziej przypomina kościół rzymskokatolicki niż świątynię rytu wschodniego z powodu posiadanej sygnaturki na kalenicy dachu.

Przy rozstaju dróg prowadzących do Magierowa i Lwowa stoi kapliczka domkowa wzniesiona przez ukraińską społeczność Rawy Ruskiej z okazji 2000-lecia Narodzenia Chrystusa. Wewnątrz umieszczona jest figura

MB Niepokalanej wraz z płaskorzeźbami świętych Włodzimierza i Olgi. Kapliczkę otacza trawnik, na którym stoją rzeźbki aniołów.

Niedaleko od kapliczki upamiętniającej dwutysieczną rocznicę Bożego Narodzenia, przy drodze do Lwowa stoi pomnik Bohdana Chmielnickiego. Pochodzi z 1954 r. i upamiętnia bardzo fetowaną w sowieckim imperium trzysetną rocznicę zjednoczenia Ukrainy z Rosją podczas Ugody Perejasławskiej (1654 r.). Wtedy masowo wznoszono po miastach Ukrainy (zwłaszcza zachodniej) pomniki wodza buntu kozackiego z lat 1648–1649.

W odległości 5 km na pld.-zach. od Rawy Ruskiej, a 4 km od obecnej granicy z Polską, w dolinie rzeczki Tylicz (dopływ Raty) rozlewającej się w kilka malowniczych stawów, wśród pagórków Roztocza leży miejscowość Potylicz, niegdyś miasto, a dziś w niczym nieprzypominającej zabudowy miejskiej, mająca wygląd... dużej wsi. Potylicz w herbie ma dwa skrzyżowane klucze na niebieskim tle.

W średniowieczu istniał tu gród warowny zwany pierwotnie Tyliczem, należący do Księstwa Bełskiego, po raz pierwszy wzmiankowany w 1223 r. Wspominał też o nim w swej kronice Jan Długosz zachwycając się tujejszymi sosnami, po których ścięciu ich pnie przemieniają się po kilku latach w krzemień, od którego za jednym uderzeniem można było wykrzesać ogień. W sąsiedztwie grodu z czasem rozwinęła się osada, która



Potylisz – kościół rzymskokatolicki
pw. św. Stanisława Biskupa

w 1420 r. otrzymała prawa miejskie z rąk księcia mazowieckiego i bełskiego, Ziemowita IV, niedosłzłego króla polskiego po śmierci Ludwika Węgierskiego. Po włączeniu Księstwa Bełskiego w skład Korony miasto weszło do starostwa lubaczowskiego będącego królewską częścią. Po spustoszeniu miasta przez Tatarów w 1502 r. król Aleksander Jagiellończyk uwolnił je od podatków,

zaś jego brat, Zygmunt I Stary, nadał miastu przywilej na jarmarki.

W latach 1648 i 1655 Potylicz spustoszyli przechodzący tędy Kozacy Chmielnickiego, niszcząc m.in. kościół. Kilkakrotnie zatrzymywał się tu król Jan III Sobieski, jadąc do swych rezydencji w Żółkwi i Jaworowie. W okresie Wojny Północnej miasto spustoszyły wojska króla szwedzkiego Karola XII (1708 r.) obrabowując wszystkie świątynie.

W końcu XIX w. miasteczko liczyło 2929 mieszkańców, w tym 2131 grekokatolików, 493 rzymskich katolików i 303 żydów. W 1934 r. jak wiele małych miasteczek w Galicji Potylicz został pozbawiony praw miejskich. W dodatku po II wojnie światowej znikła drewniana zabudowa rynku z ratuszem, przez co miejscowość nawet i z wyglądu utraciła charakter miasta.

W Potyliczu występowały pokłady doskonałej gliny i dlatego już od XV w. miejscowość znana była jako ośrodek garncarski. W XVI w. mieszkało tu 50 rzemieślników tej branży. W XIX stuleciu działała tu fabryka wyrobów fajansowych. Ostatni potyliccy garncarze czynni byli do II wojny światowej.

W centrum miejscowości stoi kościół rzymskokatolicki pw. św. Stanisława Bpa. Pierwszy kościół ufundował tu w 1423 r. książę Ziemowit IV. Obecny został postawiony w latach 1824–1837. Zamknięty w 1947 r., zwrócony został wiernym w 1990 r. i wyremontowany. Jest to budowla murowana o dwuspadowym dachu. Elewacje świątyni zdobia lizeny, gzymsy oraz prostokątne i półkolistkie zamknięte wnęki. Fasadę wieńczy dwukondygnacyjna wieża zakończona ostrosłupowym hełmem.

Janusz Hodyr

Profesor Kazimierz Sichulski

Wspomnienie o twórcy kaplicy św. Huberta z lwowskiego kościoła św. Elżbiety

... Życie jest jak ten liść
na drzewie. Wyrasta, rośnie,
dojrzeje, a potem wędnie i
spada do ziemi...

Był piątek – 6 dzień listopada 1942 r. gdy w przepięknie położonej willi na Zofiówce – południowej dzielnicy Lwowa, przy ul. św. Zofii 63, w otoczeniu najbliższej rodziny odszedł z grona żyjących popularny, ceniony artysta malarz Kazimierz Sichulski. Twórca wielu bezpowrotnie utraconych w wojennej zawierusze dzieł sztuki – w tym Kaplicy św. Huberta, dzieła zamówionego przez myśliwych zrzeszonych w Małopolskim Towarzystwie Łowieckim. W przededniu kolejnej rocznicy śmierci tego bardzo popularnego kiedyś malarza, profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – zapraszam do spaceru po zapomnianych rewirach jego życia i twórczej pracy na rzecz małopolskich myśliwych. Na ten rekonesans zapraszam przed zbliżającym się kolejnym świętem patrona myśliwych – św. Huberta, które obecnie obchodzimy w roku Jubileuszu 85-lecia Polskiego Związku Łowieckiego.

Moje spotkanie ze Lwowem

Miało miejsce w 2000 roku i zapadło mi głęboko w pamięć. Udając się na zwiedzanie tego wyjątkowego

Obok kościoła stoi parawanowa dzwonnica. Kościół obsługują franciszkanie reformaci z Rawy Ruskiej.

U stóp wzgórza zwanego Starym Horodyszczem (334 m n.p.m.) i obok cmentarza grzebalnego (brak na nim nowych mogił z polskimi napisami) stoi drewniana cerkiewka greckokatolicka pw. Świętego Ducha. Zbudowana została w 1502 r. z fundacji miejscowego cechu garncarskiego, w miejscu poprzedniej pw. św. św. Borysa i Gleba spalonej przez Tatarów. Należy do najstarszych drewnianych cerkwi na Ukrainie. Obecnie świątynią opiekują się siostry józefitki rytu wschodniego.

Nad cerkwią znajduje się wspomniane wcześniej wzgórze zwane Starym Horodyszczem. Tu w średniowieczu znajdował się wspomniany wcześniej gród. W czasach pogańskich mogło tu być miejsce kultu, a dziś stoi niewielka cerkiewka pw. Przemienienia Pańskiego.

W Potyliczu znajduje się też murowana parafialna cerkiew greckokatolicka pw. Świętej Trójcy. Zbudowana została w 1936 r. według projektu Aleksandra Perzańskiego. Zwieńczona jest pięcioma kopułami, największa centralna usytuowana jest pośrodku, zaś cztery mniejsze, jednakowej wielkości, znajdują się po bokach świątyni.

Literatura:

1. Baliński M., Lipiński T.: Starożytna Polska pod względem historycznym jeograficznym i statystycznym. T. 2. Cz. 2. Warszawa 1845.
2. Rąkowski G.: Ziemia Lwowska. Pruszków 2007.
3. Strojny A., Bzowski K., Grossman A.: Ukraina zachodnia. Tam szum Prutu, Czeremoszu... Kraków 2005.
4. Tokarski J.: Ilustrowany przewodnik po zabytkach kultury na Ukrainie. T. 1. Warszawa 2000. □

ze wszech miar miasta, nie planowałem, ani też nie przypuszczałem, że będzie ono się odbywać także po zapomnianych ścieżkach łowieckiej kultury. Po tych ścieżkach stąpać po dzień dzisiejszy i z tą samą pasją tropię jej zacierające się ślady. Do Lwowa przywiodły mnie opowiadania i wrażenia tych, którzy wcześniej przede mną odwiedzili to miasto i zostali nim zafascynowani. Dystans 200 km dzielący mój dom od centrum dawnej stolicy galicyjskiej krainy – od tego pamiętnego roku pokonałem jeszcze dziesiątki razy. Spacerując po jego ulicach, zawsze z jednakową fascynacją przenoszę się w odległe lata, wypatrując zachowanych śladów łowieckiej przeszłości. Myśliwi z Małopolski (dawniej Galicji) swoją obecność na kartach historii „zawsze wiernego” miasta zapoczątkowali w 1862 roku, kiedy to założone zostało *Miejskie Towarzystwo Myśliwskie* we Lwowie. W 1871 roku w okolicach Lwowa powstało znane we wszystkich zaborach *Towarzystwo Lisowickie*, a w 1876 roku *Towarzystwo Myśliwskie im. św. Huberta* we Lwowie. Powstanie tych towarzystw myśliwskich dało podwaliny pod nowoczesne, zorganizowane łowiectwo w Polsce. Od 1876 roku propagowanie kultury i gospodarki łowieckiej zapoczątkowało na dużym obszarze kraju *Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie* we Lwowie – pierwsza w zniewolonej Polsce organizacja zrzeszają-

ca koła, towarzystwa łowieckie i myśliwych z autonomicznej Galicji. Na dawnym placu Mariackim stoi do dziś pomnik Adama Mickiewicza, niemy świadek wielu wydarzeń historycznych, przeżywanych przez lwowian. W 1898 roku, w setną rocznicę urodzin wielkiego poety, uczestnicy II Zjazdu Łowieckiego (do wybuchu II wojny światowej zwoływane były we Lwowie) złożyli wieńce, oddając wielkiemu wieszczowi należny hołd. Z tego miejsca wszędzie jest blisko do wielu miejsc szczególnych dla historii i kultury łowieckiej. A to na dawną ulicę Rutowskiego, gdzie pod nr. 18 mieściło się Muzeum Przyrodnicze stworzone przez pierwszego Prezesa Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Na istniejącą po dzień dzisiejszy ulicę Kopernika, gdzie znajduje się rezydencja Potockich (12.04.1908 r. został tu zastrzelony po powrocie z polowania w Perehińsku – oddany sprawom łowieckim Andrzej hr. Potocki), a dalej pod nr. 42 pałac Juliusza hr. Bielskiego (wieloletniego Prezesa MTŁ we Lwowie, Wiceprezesa Międzynarodowej Rady Łowieckiej (CIC), Prezesa Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie – współtwórcy obecnych struktur PZŁ. Posiadacz słynnego na cały świat oręza dzika z Rychcic, wystawionego po raz pierwszy na berlińskiej wystawie łowieckiej w 1937 r. – tam wycenionego na 151 pkt. CIC). Blisko jest też na dawną ul. Ossolińskich. Tu pod nr. 11 na trzecim piętrze zabytkowej kamienicy, do wybuchu wojny mieściła się – przeniesiona wcześniej z ul. Mickiewicza – siedziba MTŁ we Lwowie wraz z redakcją Łowca. Idąc w górę ul. Kopernika dojdziemy do ul. Nabelaka, gdzie mieszkał członek lwowskiego koła łowieckiego – znany myśliwy Włodzimierz Puchalski (ceniony mistrz kamery i bezkrwawych łowów), dalej do ul. Sapiehy, przy której stał kościół św. Elżbiety. Wnętrze tej reprezentacyjnej lwowskiej świątyni zdobiła – wykonana staraniem myśliwskiej braci – kaplica św. Huberta. To wyjątkowe miejsce odwiedzam za każdym razem, gdy przybywam do Lwowa. Na próżno wypatruję w murach tego kościoła najmniejszych śladów po twórcy tej kaplicy Profesorze Kazimierzu Sichulskim. Ileż to jest mi dane przebywać w murach św. Elżbiety tyle razy zadaję sobie pytanie: jakie są losy obrazu św. Huberta z tej kaplicy? Jeżeli został uratowany – jak słyszałem, to gdzie obecnie się znajduje? Jakże były jego dzieje w latach wojny? Już wiele lat trwają moje poszukiwania odpowiedzi dotyczące tego obrazu.

Salon Kresowy

W życiu człowieka przypadki sprawiają, że wiele naszych spraw nabiera innego znaczenia, a życie toczy się po przypadkowych, nieplanowanych ścieżkach. W poszukiwaniach i odkrywaniu własnego dziedzictwa kulturowego przypadek może spowodować, że poznamy fakty dotąd nieodkryte, bądź też skrzętnie skrywane. W moim tropieniu losów obrazu św. Huberta z kościoła św. Elżbiety przypadek sprawił, że w sposób dla siebie nieoczekiwany poznałem dwie przedwojenne lwowianki – panią Krystynę i Kamillę – córki autora obrazu „Wizja św. Huberta”. Ta znajomość z żyjącymi przedstawicielkami lwowskiego grodu i Kresów pozostawiła w moim sercu niezapomniane doświadczenie. Te dwie bardzo sympatyczne Panie, o nieskażonej przedwojennej lwowskiej mentalności, poznałem dzięki telewizyjnemu programowi – śp. Jerzego Janickiego – *Salon Kresowy*. W jednym z jego wydań gościem pana Janickiego była

pani Kamilla Sichulska. Przypadek sprawił, że przeglądając kanały telewizyjne nie przegapiłem właśnie tego odcinka – lubianego i popularnego programu. Po zakończonej emisji filmu odżyła we mnie nadzieja, że może o losach obrazu z Hubertowskiej kaplicy lwowskiego kościoła ma wiedzę córka malarza. Bez zbędnej zwłoki podejmuję próbę nawiązania kontaktu z panem Janickim. Za jego pośrednictwem dostrzegam możliwość nawiązania kontaktu z córką K. Sichulskiego. Gdy w końcu udaje mi się ustalić telefon tego niestrudzonego propagatora Kresów, autora licznych programów i publikacji o tamtych dawnych latach, ogarnia mnie niepokój. Zastanawiam się, jak mam się przedstawić? W jakiej formie wytłumaczyć swoje zainteresowanie panią Kamillą, by nie zostać źle zrozumianym, zdobyć zaufanie. Moje obawy, że zostanę „odprawiony z kwitkiem” pękają szybko niczym mydlana bańka. Telefon odbiera pan Jerzy – przedstawiam się, kim jestem, co robię i w krótkich słowach charakteryzuję swoje zainteresowanie Lwowem. Sam przedmiot moich lwowskich zainteresowań powoduje wyczuwalne jego ożywienie. Wysłuchał cierpliwie przygotowanej prezentacji, po czym powiedział swym charakterystycznym zachrypniętym głosem: „... ta nie ma sprawy. Sam w kwestii lwowskich myśliwych to Panu nie pomogę, bo nie mam o nich wiedzy – nigdy się tym tematem nie interesowałem. Ale pani Kamilla to na pewno Panu pomoże. Ma wiele pamiątek po ojcu. Teraz wychodzę do lekarza – proszę zadzwonić do mnie za dwie godziny – jak wrócę to poszukam w notatkach do niej telefonu”. Telefon do tego wyjątkowego kresowiaka – na przestrzeni tygodnia, wykonam jeszcze trzykrotnie, czerpiąc nieopisaną przyjemność w krótkich i formalnych – aczkolwiek podbudowujących rozmów. Za każdym razem był mi życzliwy i gotowy użyczyć swej pomocy. Nie przypuszczałem wówczas, że ta krótka telefoniczna znajomość z panem Janickim ma miejsce w ostatnich tygodniach jego życia. Niebawem wrocławskie pismo *Semper Fidelis* zamieściło moje wspomnienie o kościele św. Elżbiety i Kazimierzu Sichulskim. Przypadek sprawił, że pozostałe strony tego wydania będą zajęte przez nekrologi Jerzego Janickiego oraz artykuły poświęcone jego twórczej wieloletniej pracy na chwałę kultury polskiej. Numer tego wydawnictwa zachowuję jako bezcenną pamiątkę mojej przypadkowej, telefonicznej znajomości z Jerzym Janickim. Dzięki jego pomocy niebawem udam się do Wrocławia. Tam w swoim mieszkaniu oczekuje mnie pani Kamilla (z domu Sichulska). Przeżywam podobny stres, do tego jaki odczuwałem przed rozmową z twórcą *Salonu Kresowego*. Bardzo jestem ciekawy tego spotkania, jednocześnie nie obiecując sobie po nim zbyt wiele. Całonocna podróż pociągami przemija mi szybko na rozmyśleniach o tym wyjątkowym dla mnie spotkaniu. Nie mam pewności, czy nakreślony w głowie scenariusz rozmowy jest właściwy. Wrocław wita mnie słonecznym i ciepłym porankiem. Do wyznaczonej godziny spotkania mam jeszcze dużo czasu, dlatego pod wskazany adres pani Kamilli udaję się na piechotę. Drzwi mieszkania otwiera mi wysoka, szczupła, o siwych i krótkich włosach starsza kobieta. Jej bardzo serdeczne i entuzjastyczne powitanie sprawi, że mój mozolnie układany scenariusz spotkania już na progu jej mieszkania ulega całkowitemu rozbiciu. Z uwagi na porę dnia nasze spotkanie rozpocznie się od śniadania, którym zostaje poczęstowany. Na wstępie rozmowy chcę powiedzieć coś

o sobie, kim jestem, co robię, jakie są moje zainteresowania. Rozmowę zaczynam od poinformowania Pani domu, że jestem myśliwym i... tu została przerwana moja autoprezentacja stwierdzeniem pani Kamilli: „*pamiętam jak mój dziadziu – Leon Starkiewicz, w domu ciągle powiadał, że myśliwi to ludzie nieprzeciętni*”. Tym stwierdzeniem została otworzona droga do dalszej rozmowy. Pozostanie mi także pilne wsłuchiwanie się w opowiadanie córki wielkiego malarza o tamtych dawnych latach. Tym wspomnieniom towarzyszy wyjątkowa aura spotkania. Przyglądam się wiszącym na ścianach nielicznym już obrazom Kazimierza Sichulskiego. W tej wyjątkowej scenografii w sposób autentyczny przeżywam swoją wizytę w niepowtarzalnym *Salonie Kresowym*.

Po kilku miesiącach od tego spotkania historię o lwowskim okresie życia rodziny Sichulskich będę miał okazję i przyjemność poznać również od najstarszej córki malarza – pani Krystyny, mieszkanki Jeleniej Góry. Obie panie niestety nie mają wiedzy o losach obrazu ojca – „*Wizja św. Huberta*” z kaplicy Hubertowskiej lwowskiego kościoła. Za to poznałem losy śp. Kazimierza Sichulskiego oraz wielu innych jego obrazów.

Rodzina

Kazimierz Sichulski urodził się 17 stycznia 1879 roku we Lwowie w domu przy ul. Staszica 6, w bliskim sąsiedztwie domu Aleksandra hr. Fredry na ul. Chorążyzny – współzałożyciela Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie. Jego rodzicami byli: Antoni – inżynier (radca) kolejowy, oraz nauczycielka Kamilla Langner – siostra gen. Władysława Langnera (byłego dowódcy obrony Lwowa). Jako student za jej portret – rysunek ołówkiem, K. Sichulski otrzymał złoty medal ASP w Krakowie w klasie prof. Stanisława Wyspiańskiego. Kazimierz Sichulski po rozwodzie z aktorką Bronisławą Rudlicką (był to związek bezdzietny) ożenił się ponownie w 1916 r. z Mieczysławą Starkiewicz – córką Leona Starkiewicza, szlachcica, syna proboszcza grekokatolickiego. Teś malarza był dzierżawcą dóbr ziemskich w Trościańcu Wielkim, Litiatynie na Podolu i majątku Jägermana w miejscowości Łuka nad Dniestrem – posiadał gruntowne wykształcenie rolnicze. Był również wieloletnim współpracownikiem Łowca Polskiego, autorem licznych artykułów o wędkarstwie i łowiectwie. Podróże w poszukiwaniu wciąż nowych łowieckich przygód stanowiły sens Jego życia. Po 17 września 1939 roku, od wywózki na Sybir uchronił L. Starkiewicza wiek i mocno zaawansowana choroba. Gdy żołnierze NKWD przyszedli do domu go aresztować leżał półprzytomny w łóżku. Jego nogi mocno opuchnięte o sinym zabarwieniu ograniczały samodzielne poruszanie. Dowódca nieproszonych gości Jego stan zdrowia ocenił na tyle krytycznie, by stwierdzić: „*zostawcie go, bo nam umrze w drodze*”. On sam nie bał się aresztowania. Mimo zaawansowanego wieku i złego stanu zdrowia w zsyłce upatrywał szansę na nieskrępowaną możliwość polowania w syberyjskiej tajdze. Zmarł 28.06.1941 r. we Lwowie w domu wnuczki Krystyny – córki K. Sichulskiego. Jego żoną była Maria Niecielska – ur. w miejscowości Biłka.

Przypuszczalnie w latach 1916–1917 Kazimierz Sichulski, znany i ceniony już artysta malarz dokonuje zakupu na przedmieściach Lwowa, od niejakiemu Obłutowicza – willi Potockich. Tu przychodzi na świat trójka

jego dzieci: córka Krystyna (ur. w 1917 r.), syn Jerzy (ur. w 1919 r., zm. w Londynie), córka Kamilla (ur. w 1921 r.).

Dom ten składał się z 5 dużych pokoi o eleganckim wystroju. Pokoje te posiadały duże dwuskrzydłowe drzwi, sufity zdobione były w supraporty, podłogi parkietowe. Ogrzewane były przez 2 piece na koks tzw. „*Do-uerbranty*” – paliły się non stop w salonie i sypialni. Na piętrze była wspaniała pracownia ze szklanym dachem i 3 małe ciepłe pokoiki. W domu nie było łazienki, ani nyzdy dla służącej, która spała w kuchni. Dom od ulicy zdobiły piękne rabaty kwiatowe, o które dbała żona malarza. Natomiast za domem był duży wspaniały sad, w którym rosły drzewa owocowe: czereśnie, renklody, grusze „Złota Bera”, jabłonie „Złota Reneta”, „Aleksandrówka”, „Oliwka” – jak wspominają córki malarza, smaczne i pachnące odmiany od wczesnych do całkiem późnych. Gospodarz tego domu sad wynajmował sadownikowi, który za tzn. *odsyp* – były to setki kilogramów jabłek i gruszek, opiekował się ogrodem. Dzieci profesora od wczesnych lat każdy wolny czas spędzały na turystyce i wypoczynku w malowniczych zakątkach Karpat. Gdy dorosną zaczęły uprawiać narciarstwo w górach, a latem spływały kajakiem po uroczych, malowniczych rzekach Polesia. Zamiłowanie do czynnego wypoczynku, którego doświadczyli z rodzicami i dziadkiem na łonie przyrody sprawi, że lata swej młodości spędzą również na wspólnych wyprawach po różnych malowniczych miejscach kraju ze starszym Romkiem i młodszym Włodkiem Puchalskimi. Po wielu latach pani Kamilla ten okres znajomości z Romanem Puchalskim podsumuje krótko: „... *już niewiele brakowało – mieliśmy się pobrać. Wysłałbym za Romka... gdyby nie wojna!* Starszy brat Włodzimierza, również pasjonat kamery fotograficznej i sportu, w pierwszych dniach wojny próbował wraz z falą emigrantów przedostać się do Rumunii. Niestety – podobno swoim schludnym ubiorem wydał się Sowietom podejrzany. Nowy aparat fotograficzny Leica, który miał przy sobie miał go dodatkowo obciążać. Uznany za polskiego oficera został aresztowany k. Nadwórnej, a następnie w październiku 1939 wywieziony na wschód, skąd już nie powrócił. Syn malarza – Jerzy Sichulski, który również przedzierał się do Rumunii, w ubraniu odmiennym, bo nie wywołującym podejrzeń, szczęśliwie dotarł do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wraz z brygadą gen. Maczka przeszedł cały jej szlak bojowy.

Kościół św. Elżbiety

Został wybudowany w latach 1908–1911 u zbiegu ulic Gródeckiej i Leona Sapiehy, na dawnym placu Solarni (później pl. Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego) – koszt jego budowy wynosił około 1550000 koron. Ciągły brak środków finansowych na wyposażanie i dekorowanie wnętrza spowodował, że prace wykończeniowe kościoła trwały do wybuchu II wojny światowej. Stał na najwyższym położonym terenie dzielnicy Gródeckiej, w pobliżu Dworca Głównego, będącego ważnym węzłem komunikacyjnym między Galicją wschodnią a c.k. Monarchią. Był jedną z największych lwowskich świątyń, miał 12 wielkich łukowych neogotyckich okien w nawie głównej, ogromną rozetę nad wejściem, dwa duże okna z rozetami po obu stronach transeptu i więcej niż 30 mniejszych okien w prezbiterium, kaplicach i zakrystiach. Każdy, komu dane było uczestniczyć przy budo-

wie, a następnie wykańczaniu kościoła, poczytywał to sobie za duże wyróżnienie i zaszczyt.

3 czerwca 1911 roku we Lwowie odbywa się XXXV Walny Zjazd przedstawicieli Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego. Na tym corocznym spotkaniu myśliwych zostaje przyjęty (jednogłośnie) wniosek dr. Józefa Ekielskiego, by dla św. Elżbiety ufundować kaplicę św. Huberta, w której będą mogli spotykać się myśliwi ze swoim patronem, kultywując i propagując w ten sposób hubertowską tradycję. Zbiórka funduszy na ten cel, przez wojny i recesje gospodarcze, trwała długich 17 lat. W 1924 roku – na dwa lata przed Złotym Jubileuszem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego (wcześniej GTŁ) działacze tego towarzystwa postanawiają zlecić wykonanie kaplicy uznawanemu i popularnemu wówczas artyście, lwowskiemu malarzowi Kazimierzowi Sichulskiemu. Myślą przewodnią myśliwych z Małopolski było zamanifestowanie tą kaplicą przywiązania do tradycji i kultury łowieckiej oraz godne upamiętnienie jubileuszu 50-lecia powstania pierwszej w Polsce organizacji łowieckiej. Według zamysłu artysty malarza wykonano ornamentacyjną polichromię ścian, ołtarz wraz z mensą i tabernakulum, obraz ołtarzowy *Wizja św. Huberta*, sześć lichtarzy, kratę mosiężną, kilim i witraż. Witraż wstawiono w ostrołukowe okno i podzielono na dwie części wertykalne. Maswerki w części górnej okna zdołał wielobarwny zgeometryzowany ornament. W części dolnej usytuowano dwa medaliony z napisami wykonanymi stylizowanym gotykiem: „Małopolskie Towarzystwo Łowieckie” i „Całość kaplicy projekt. K. Sichulski + Witraż wykonał S. G. Żeleński w Krakowie” oraz daty 1876–1926. Nad nimi w dwóch górnych medalionach Sichulski umieścił dwie jednakowe postacie jeleni z wizji św. Huberta.

Projekt ozdobienia kaplicy św. Huberta najpierw nie uzyskał akceptacji komitetu artystycznego Towarzystwa Łowieckiego. Tylko pełne aprobaty opinie pisemne lwowskiego konserwatora wojewódzkiego, dr. J. Piotrowskiego, dr. W. Kozickiego i prof. W. Podlasy miały decydujący wpływ na pozytywne rozstrzygnięcie kwestii jego realizacji. Temu dziełu jednak nadal nie sprzyjały recenzje części duchowieństwa, którego wyobrażenia o postaci św. Huberta znacznie różniły się od wizerunku świętego spod pędzla mistrza. Do tej krytyki dołączyli parafianie św. Elżbiety, którzy o hubertowskim przesłaniu zdaje się mieli niepełną wiedzę, bowiem godnie oświadczała: „do ogoła samy modlić się nie będziemy”.

Kościół św. Elżbiety od samego początku jego powstania objęli swym patronatem lwowscy kolejarze. Myśliwi zrzeszeni pod sztandarem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, w jej dostojnych murach organizowali coroczne Hubertusy. Tak było aż do 4 czerwca 1946 r., gdy nowe władze okaleczone działaniami wojennymi kościół postanowiły zamienić na magazyn. W czasie ostatniej, pożegnalnej mszy odprawionej w jej murach, słychać było głośnie szlochy, a po podniesieniu niektórych kobiety mdlały lub dostawały histerycznych ataków. Ksiądz proboszcz zebranych na tej ostatniej mszy wiernych prosił o zachowanie spokoju. Po mszy ludzie rzucili się na ołtarze, by na pamiątkę zabrać ich wystroje. Potem nowa władza przeprowadziła planową dewastację wszystkiego, co w ogromnym trudzie przez lata było zbudowane. Kaplica św. Huberta przestała istnieć, chociaż sam obraz mistrza Sichulskiego z tej

kaplicy rzekomo został uratowany. Po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości kościół ten został przemianowany na cerkiew greckokatolicką pw. św. Olgi. Chociaż konserwatorzy ukraińscy nie przywiązują wagi do neogotyckiego wystroju świątyni, nadal urzeka ona swym dostojnictwem i pięknem.

Kazimierz Sichulski

w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie

Wybuch wojny zastał autora Hubertowskiej kaplicy w lwowskim domu na Zofiówce. W tym czasie jego problemy ze zdrowiem przybierały na sile. Po wkroczeniu do miasta oddziałów Armii Czerwonej nastały dla jego rodziny ciężkie czasy – zapoczątkowała je gruntowna rewizja domu. Sześćdziesięcioletni wówczas Profesor ASP w Krakowie, którego w minionych latach doświadczyła gospodarcza recesja kraju uważał, że najpewniejszym sposobem zabezpieczenia oszczędności przed dewaluacją jest lokowanie ich w złocie. Dlatego większość gotówki ze sprzedanych prac zamieniał na złote dwudziestodolarówki, by odłożyć sobie coś na tzw. *czarną godzinę*. Cały swój wypracowany dorobek przechowywał w glinianym garnku, który zakopywał w piwnicy swego domu. Gdy pod pretekstem poszukiwania broni dom został poddany rewizji – dzban wypełniony złotymi monetami został odnaleziony i zarekwirowany. Ta strata nie tylko pozbawiła rodzinę malarza środków do życia, ale również odcisnęła trwałe ślady na jego schorowanym sercu. Okres pierwszej sowieckiej okupacji Lwowa, a następnie niemieckiego agresora nie oszczędzi Profesora. Pogarszający się stan jego zdrowia sprawi, że w drugiej połowie października 1942 roku trafi do szpitala, w którym będzie przebywał do pierwszych dni listopada. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że cenionemu mistrzowi, który swym talentem i artystycznym dorobkiem na trwałe wpisał się w historię polskiej kultury, pozostają ostatnie godziny życia. Po wyjściu ze szpitala udaje się do swego domu. Jest tu obecny tylko ciałem, skupiony i małomówny, myślami gdzieś daleko, siedząc na balkonie swego domu patrzył na ogród. Odrywając się na chwilę z głębokiego zamyślenia do najmłodszej córki powiedział: „Widzisz dziecko – życie jest jak ten liść na drzewie. Wyrasta, rośnie, dojrzewa, a potem więdnie i spada do ziemi”. Niebawem Jego rodzina stwierdzi, że Profesora nie ma już wśród żywych.

Maria Rolecka, która mistrza Sichulskiego знаła osobiście, ostatni okres jego życia tak opisuje:

„Kazimierza Sichulskiego poznałam w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie. Prowadził wówczas sklep z obrazami – Salon Sztuki – który mieścił się przy ul. Akademickiej 23 i nosił nazwę Kunstaustellung. Sklep był własnością Feliksa Michała Wygrzywańskiego. W Kunstaustellung wystawiał i sprzedawał swe obrazy nie tylko Feliks Wygrzywański, lecz także cała plejada artystów. Prócz tego sprzedawaliśmy obrazy pozostawione w komisie przez osoby postronne. Ówczesne ciężkie warunki bytu zmuszały wielu do wyzbywania się nawet dzieł sztuki, aby zdobyć pieniądze na życie. Nabywcami byli: Niemcy, Włosi, Słowacy oraz polscy handlarze obrazów. Prócz sprzedających i kupujących przychodziło do Kunstaustellung wielu znajomych i przyjaciół. Traktowali oni Salon jako miejsce spotkań towarzyskich i jak w cukierni przesiadywali w nim przez wiele godzin. Stałymi gośćmi byli artyści malarze Czesław i

Tadeusz Sadowski, inż. Adam Wojtan, (tenor) Stanisław Werner, znany aktor Bronisław Dąbrowski z żoną Myszką z baletu, Janka Pitulajówna, Kustosz Muzeum Jerzy Güttler, Zofia z Gerstmanów Festenburgowa i wielu, wielu innych. Wpadali na pogawędkę artyści malarze Rozwadowski i Batowski. Codziennym gościem był Kazimierz Sichulski, zwany przez nas wszystkich Sichulą. Przyszedł stale około godz. 17, sapiąc, dysząc i narzekając na złe zdrowie. – „Chory jestem, atak miałem o 4 nad ranem, muszę usiąść i wypocząć”. Gdy fotelik, który uważał za swoją własność był zajęty, energicznym ruchem wskazującego palca wypraszał, a raczej wyrzucał siedzącego i sam rozsiadał się wygodnie. Zdejmował bobrową czapkę, rowiąjąc powoli tasiemki kłap, okolonych wąskim pasmem bokobrodów, które łączyły się pod podbródkiem. Brodę golił. Twierdził, że styl ten oszczędza mu mydła do golenia, którego ma bardzo mało. Wyglądem swym przypominał rybaka. Kiedy rozpiął powoli futro i zapalił papierosa, zapominając o wszystkich swoich niedomaganiach fizycznych, zaczynał swe opowiadanie, rubasznie, nie przebiegając w słowach. Opowiadał o latach swej młodości, o przegodach w wojsku austriackim, jak to ładnie wyglądał w „czerwonych opiętych portkach i ulańskim czako z końską kitą”, jakie miał powodzenie u kobiet i jak one za nim szalały, jak się ożenił, rozwiódł, oenił po raz wtóry. Opowiadał o córkach dodając: „ładne są szelmy”, sklep zapełniał się nie klientami, lecz słuchaczami. Wszyscy entuzjaści profesora stawiali się w komplecie, między nimi Enzo Sacco (młody Włoch znający język polski) oraz Słowak – rotnik Józef Szkot. Za każdym swoim pobytem Sichulą przeglądał wszystkie nowe przyniesione do sklepu obrazy i większość z nich krytykował. Nie oszczędzał też Wygrzywały. – „Ta bój się Boga Feliksie! Ta cóż ty za bohomyzmalujesz, ta gdzie ty takie niebo widział?”. Wygrzywański wzruszał ramionami i odpowiadał: – „No cóż mam robić, żyć trzeba, a maluję hamanów dla hamanów”. – „Nu – a ja nie, nigdy się nie ześwinie i ani szmir, ani kiczów malować nie będę” – odpowiadał Sichulski. Kiedyś zauważył w sklepie piękną anemonę w złoczonych stylowych ramach. Zauważyłam, że wzrok Profesora wciąż biegał ku anemonom. Spytałam więc, czy mu się ten obraz podoba. – „Gdzie tam, świństwo jakieś” – mruknął, ale nie przestawał kokietać obrazu. W końcu zapytał: „A kto to namalował?”. – „Pan Panie Profesorze” – odpowiedziałam. „Co?... Ja?... Pewno wykradziono mi go z pracowni i nie jest podpisany!” – „Owszem podpisany!” – „A to w takim razie musiałem podpisać w przypływie dobrego humoru”. Po chwili dodał: „A wie Pani, to jest jednak całkiem niezły obraz”.

Przyniesiono na sprzedaż mały obrazek Vlastimila Hoffmana. Podobał mi się i zamierzałam go kupić. Aby zasięgnąć opinii zapytałam: „Jak się panu Profesorowi ten Hoffman podoba?”. Spojrzał na obrazek znad okularów lecz nie odpowiedział. W końcu, gdy miał już dość moich kilkakrotnych natarczywych pytań, odezwał się: – „Ta Pani Marysiu, to jest tak samo jakby się pani zapytała Paderewskiego, jak mu się ten katarzyniarz na ulicy podoba”. Obrazka nie kupiłam. O pracy jednego ze znanych malarzy mówił: – „A ten, cóż on dla sztuki polskiej zrobił?... Ulan – dziwka, ulan – dziwka”. Wiedzieliśmy, że w okresie wojennym profesor miał duże trudności finansowe. Namawiał go „Wygrzywała”, nama-

wiałam i ja, aby przysłał do sklepu coś ze swoich obrazów na sprzedaż. Odmawiał, gdyż jak twierdził: – „Nikt z dzisiejszych hamanów mojej sztuki ani nie oceni, ani nie zrozumie”. Poza tym nie chciał wyzbywać się swoich dzieł, a malować wówczas nie miał na czym, bo ani płótna, ani blejtramów nigdzie kupić nie było można. Przyniósł dwa małe obrazki i zawiadomił mnie, że namalował również duży obraz na sprzedaż na odwrotnej stronie jakiegoś kiczu, który znalazł na strychu. Poprosił abym kogoś po ten obraz przysłała, bo: – „Stary jestem i sił nie mam na taskanie”. Obraz „Orka wołami” natychmiast umieściłam na wystawie – był przepiękny. Nie trwało długo, gdy do sklepu wszedł Niemiec i ogłębliwszy dokładnie obraz z miejsca go kupił. Zapłacił czekiem. Następnego dnia miałam czek zrealizować i sądziłam, że uda mi się to uczynić przed przyjściem Sichuły. Nic podobnego. Wpadł znacznie wcześniej niż zwykle i już od progu, jak Jowisz Olimpijski, rzucał we mnie gromami. – „Zawiodłem się na Pani, obietnicy nie potrafi pani dotrzymać. Obraz miał być wystawiony – nie ma go. Małych obrazków też nie widzę. Gdzie one są?” Rzucił wzrokiem po ścianach i nie dając przyjsć do słowa wymyślał mi bez ustanku, że uważał mnie za przyjaciela, ale jak to zwykle z babami, wierzyć im nie można, że zawiódł się ogromnie na mnie i że nigdy mi nie... itd. itd. – „Ju dzisiaj wierzyć nikomu nie mogę. A małe obrazki gdzie są? A widzę powiesiła je pani koło urnałów (martwa natura) Sadowskiego”. Słuchałam tych wymysłów do pewnej chwili spokojnie. W końcu i we mnie krew zawrzała i krzyknęłam: – „Obraz sprzedany! I to za cenę dwukrotnie wyższą niż Pan wyznaczył, a „Wygrzywała” obiecał komisowego nie potrącać”. Na to Sichulski: – „To czemu pani od razu mi tego nie mówi, tylko pozwala mi irytować się – no, a gdzie pieniądze? Kto mój obraz kupił?”. Odpowiedziałam, że Niemiec, dyrektor banku i że zapłacił czekiem. „Masz babo placek: pieniędzy nie zobaczę. Szwab nabrał Panią ordynarnie. I rób tu interesy z babami”. Zostawiłam go w sklepie wciąż wymyślającego i wyszłam do banku. Po powrocie wręczyłam mu grubą plik banknotów. Przeliczył je długo i dokładnie. W końcu uspokojony i równoważony, nie wiedział jak ma mnie przeprosić „za grubiański wybuch” – zaprosił mnie na miód, do małej cukierenki obok. Nie był to miód pitny, jedliśmy go łyżeczkami. – „No nie gniewa się pani na mnie droga pani Marysiu?”. Zachęcony dobrą transakcją i tym, że można łatwo sprzedać obrazy, chociażby malowane na odwrotnej stronie kiczów, profesor postanowił kupować stare bezwartościowe obrazy. Daliśmy ogłoszenie i niedługo trwało, gdy zjawił się jakiś jegomość z kiczem nad kiczami. Po długich targach profesor ubił cenę i już zamierzał płacić, gdy zauważył, że ów jegomość zaczyna odkręcać kółko od ramki. Spojrzał jak zwykle znad okularów (nosił je do połowy oszklone) na delikwenta, uderzył pięścią w stół i krzyknął: – „Z kółkiem kupilem!”, a jegomość na to: „Ale z pana miły staruszek”. – „Żeby pan wiedział, że miły, miły jestem!” – przerwał mu Sichulą. Jak zwykle o godzinie 17 do sklepu przyszedł Profesor. Tym razem prócz zwykłego narzekania na zdrowie, skarżył się: – „Pani Marysiu, umieram z głodu, od rana nic w ustach nie miałem. Głodny jestem”. Mając w sklepie pełno wiktuałów poczęstowałam go czym mogłam. Jadł łapczywie z apetytem, od razu poczuł się lepiej i poweselał. Po paru dniach ktoś z moich znajo-

mych zaśmiewając się doniósł mi, że Sichuła na prawo i lewo opowiada po Lwowie, jak to dobra ta Marysia od Wygrzewalskiego! – *herbaty mi dała, chleba mi dała i kielbasy mi dała*. Od tego czasu przez bardzo długi okres byłam nazywana przez przyjaciół i znajomych nie inaczej, tylko „Marysia od Wygrzewalskiego”.

Sichuła zapraszał mnie szereg razy do siebie na Zofiówkę, aby pokazać obrazy malowane jeszcze w tych dobrych i beztrudnych czasach. Wybrałam się więc w towarzystwie aptekarza Kazimierza Wygodowskiego. Profesor przyjął nas bardzo serdecznie. Poprosił bym usiadła przy nim na kanapce. Kazikowi polecił, by z paki obrazów ustawionych pod ścianą brał każdy po kolei i w odpowiedniej odległości stawiał przed nami. Pierwszy obraz już stał, gdy Sichuła przerwał ten pokaz. – „*Ta nie tak, ta nie widzi pan jak światło pada? Nie tak troszkę na ukos. Ta znowu źle, ta znowu nie tak. Oj panie Kaziu, lubię pana bardzo, ale zna się pan na obrazach jak świnia na pieprzu*”. Staralam się nie zwracać uwagi na te epitety, gdyż przed oczami przesuwały się cuda. Wesele huculskie, chłopskie szkapę, jarmarki, fauny, konie wystraszone przez stary wiatrak, kwiaty i znowu jakiś faun grający na flecie. Było tych obrazów dużo, a wszystkie arcydzieła. Dech zapierało z wrażenia. Nie ochłonęłam jeszcze, gdy Sichuła wręczając mi jakąś książkę prosił, abym w jej spisie pod literą W wyszukała Wygrzywalskiego. Szukałam bez skutku i powiedziałam: – „*Nie ma Panie Profesorze*”. – „*I nie będzie*” – odpowiedział. A po chwili dodał: – „*Co Pani właściwie widzi w tym Feliksie?...* No tak, Feliks ma w sobie dużo uroku. To miły człowiek” – powiedział. Miał rację, Wygrzywalskiego wszyscy kochali i to za jego humor, wspinały dowcip, umiejętność wybrnięcia na wesoło prawie z każdej sytuacji, za jego wdzięk, wieczne młodzieńcze usposobienie i serdeczny stosunek do ludzi. Po tej małej dygresji Profesor polecił mi znowu szukać w spisie. Tym razem pod literą S. Sichulski – reprodukcje obrazów i opisy ich zarejestrowane były na kilku stronach: – „*Znalazła Pani?*” – tak. „*To ja pani Marysiu*”. Na pożegnanie ofiarował mi z bardzo serdeczną dedykacją karykaturę M. F. Wygrzywalskiego, którą kiedyś naszkicował w czasie jednej ze swoich wizyt w Kunstaustellung.

Zbliżała się chwila zamknięcia sklepu, jak zwykle o tej porze Profesor odchodził do domu. Ledwo drzwi zamknęły się za nim, usłyszałam jakiś hałas i krzyki. To kilku smarkaczy dreptało za Sichułą przedrzeźniając, naśladując jego chód, naśmiewali się z jego brody. Sichuła odwrócił się, machnął laską krzycząc: „*Kusz bękartu*”. Zdzielił któregoś z nich po grzbiecie. Wybiegła dozorczyń, matka któregoś z wyrastków i wezwała milicjanta. Ten z punktu zabrał Profesora na komisariat, który mieścił się po przeciwnej stronie ulicy. Działo się to wszystko w tempie kinematograficznym. Pobiegłam do rotnika Szkota. Ten bez chwili namysłu udał się na komisariat. W sklepie bezradni, z zapartym oddechem, czekaliśmy na wynik tej interwencji. Po pewnym czasie Józef Szkot wyszedł razem z Profesorem z budynku komisariatu. Prowadził go pod rękę, pomógł mu wsiąść do wojskowego słowackiego samochodu i odwiózł go do domu. Od czasu tego wypadku Sichuła nigdy nie był już sobą. Stracił tupeć, przygarbił się, opuściła go dawna żywotność. Jakby przygasł. Odwiedzał nas coraz rzadziej, aż w końcu przestał zupełnie przychodzić. Zachowa-

rował. Był w szpitalu. Znajomi przynosili mi od niego krótkie liściki pisane na skrawkach papieru. Kiedyś poszłam go odwiedzić w szpitalu. Był to Dzień Zaduszny. Chciałam zostać tylko chwilę, gdyż zamierzałam iść na cmentarz. Sichuła zaprotestował, nie pozwolił mi odejść. – „*To ciężko chorego chce pani zostawić i iść do umarłych?*”. Zostałam. Przesiedziałam do późnego wieczoru w jego szpitalnym pokoiku. Nie przypuszczałam, że widzę tego drogiego mi człowieka po raz ostatni w życiu. Wracałam do domu ze ściśniętym sercem. W sklepie wisiał tryptyk – Wesele huculskie – jeden z dawniej malowanych obrazów, pozostawionych na sprzedaż przez Profesora. Czasy były ciężkie, zastój w sklepie, obrazy nie szły. Doniesiono mi, że Profesor wrócił do domu. Chciałam w jakiś sposób mu pomóc, sądząc że może być w kłopotach finansowych. Pożyczyłam, od kogo tylko mogłam, pieniądze i zamierzałam tryptyk kupić. W Sklepie zastąpił mnie na chwilę ktoś ze znajomych. Pojechałam na Zofiówkę, by wręczyć pieniądze. Dom zastałam zamknięty. Na dzwonki, kołatania i wołania nikt nie odpowiadał. Dopiero następnego dnia dowiedziałam się, że profesor nie żył. Pani Sichulska wycofała ze sprzedaży wszystkie obrazy męża. Gdyby nie to zaginęłyby i tryptyk, tak jak zaginęły wszystkie moje obrazy, a wśród nich dwa z dedykacją od dwóch bardzo mi drogich, nigdy niezapomnianych ludzi, to: Sichuły i Wygrzewały. Szłam z Feliksem Wygrzywalskim i inż. Adamem Wojtanem za trumną wielkiego malarza, człowieka oryginała, czasami opryskliwego, czasami gburowatego, lecz w pojęciu nas wszystkich, którzyśmy go kochali – człowieka czarującego”.

Kazimierz Sichulski został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, w grobowcu rodzinnym Langnerów. Potwierdzają ten fakt córki malarza. W kartotekach administracji Łyczakowskiego cmentarza grobów ze zmarłymi o takim nazwisku jest kilka. Na żadnej nie figuruje nazwisko profesora. Po 66 latach od jego śmierci coraz trudniej będzie ustalić dokładnie, w którym miejscu cmentarza spoczywa. Blisko głównej bramy tej nekropolii znajduje się również stary – wykonany z piaskowca, grobowiec SICHULSKICH – prawdopodobnie rodziców malarza (brak jest napisów, które by pozwalały zidentyfikować pochowanych w nim zmarłych). Każdego przyjeżdżającego do Lwowa zachęcam do odwiedzenia kościoła św. Elżbiety i wspomnienia utraconego dorobku artystycznego Profesora.

Kaplica Hubertowska powstała dzięki wytrwałości i ofiarności małopolskich myśliwych. Tego dzieła, tak jak wielu innych skarbów naszej kultury, nie można dziś odtworzyć. Zachowajmy je więc przynajmniej w naszej pamięci, bo zmarli nie wybaczą nam naszego zapomnienia.

PS – Feliks Wygrzywalski, również ceniony i uznawany lwowski malarz, wraz z Marią Rolską niedługo po tym pogrzebie opuszczają w dużym pośpiechu Lwów. Przed wyzwolicielami ze wschodu będą uciekać na zachód. Zatrzymają się w Rzeszowie – zamieszkali w kamienicy przy ul. Grunwaldzkiej 6.

5 września 1944 roku niespełna 70-letni F. Wygrzywalski nie przeżył doznanego tu wylewu krwi do mózgu. Pochowany został 7 września (w grobie ziemnym) na cmentarzu w rzeszowskiej dzielnicy Pobitno.

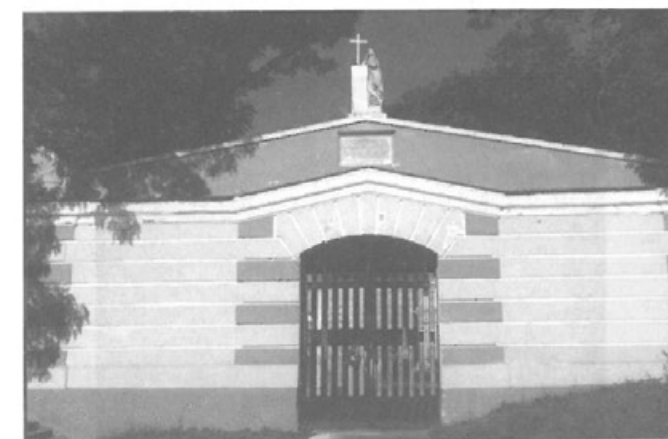
Stanisław Sławomir Nicieja

Publikujemy fragment najnowszej książki prof. Stanisława Sławomira Nicieja „Trójmiasto kresowe. Truskawiec-Drohobycz-Borysław”, która ukaże się w najbliższych miesiącach.

Cmentarz w Drohobyczu

Cmentarz w Drohobyczu przy ulicy Truskawieckiej jest jedną z najstarszych polskich nekropolii. Założony w 1790 roku jest rówieśnikiem warszawskich Powązek i tylko cztery lata młodszy od lwowskiego Łyczakowa, ale sześć lat starszy od wileńskiej Rossy (1796) i trzydzieści lat starszy od krakowskich Rakowic i słynnego paryskiego Pere Lachaise (1803). Jest też obok cmentarza w pobliskim Samborze największą i najlepiej zachowaną nekropolią w Galicji Wschodniej, w dawnym województwie lwowskim.

Do wejścia zaprasza przysadzista, klasycystyczna brama zwieńczona rzeźbą zamyślanej młodej kobiety w stroju rzymskim, naturalnych rozmiarów, stojącej przy



Brama wejściowa na cmentarz w Drohobyczu zwieńczona rzeźbą zamyślanej kobiety w stroju rzymskim



Kaplica Nahlików

krzyżu. Od bramy prowadzi aleja do najstarszej na tym cmentarzu kaplicy Karola Nahlíka (1773–1830?), zarządcy drohobyckich salin, i jego małżonki, baronówny francusko-węgierskiego pochodzenia Karoliny Losy de Losenau (1782–1858). Ciekawostką jest, że było to małżeństwo bardzo płodne, bo oprócz czwórki dzieci zmarłych w niemowlęctwie wychowało dwanaścioro potomstwa. Dzieci rodziły się regularnie co roku, na przemian syn – córka i wzorem rodziców chrzczono je parami tym samym imieniem: Karol II i Karolina II, Ludwik i Ludwika, August i Augusta, Franciszek i Franciszka, Juliusz i Julia, Albert i Albertyna. Rodzina Nahlíków upodobała sobie szczególnie imię Karol, które nosili pierwotni przez pięć pokoleń.

Nahlíkowie to świetna rodzina, która zapisała piękną kartę w dziejach Polski. Syn Karola I, August I Nahlík (1812–1878), absolwent Seminarium Duchownego w Przemyślu, jako proboszcz parafii w Ruminie na swojej plebanii stworzył bazę spiskowo-powstańczą, z której korzystał przywódca powstania 1846 roku w Galicji Edward Dembowski. Po klęsce powstania na skutek m.in. rabacji (mordów Jakuba Szeli) dostał dożywocie i został zamknięty przez Austriaków w słynnej twierdzy w Szpilbergu. Wyszedł stamtąd dzięki amnestii. Jego czyny zostały zapisane na dwóch szpaltach w Polskim Słowniku Biograficznym. Siostra nosząca to samo imię, Augusta, wyszła za mąż za starostę czerniowieckiego Ferdynanda Syrzistie. To dziwnie brzmiące nazwisko też jest zapisane złotymi zgłoskami w dziejach Czarniowiec – stolicy Bukowiny, miasta, które na przełomie XIX/XX wieku miało świetny uniwersytet z imponującą architektonicznie siedzibą oraz bardzo dynamiczną polską społeczność.

Juliusz I Nahlík (1817–1881), brat Karola II, był komendantem Gwardii Narodowej na powiat żółkiewski w czasie Wiosny Ludów w 1848 roku, później był właścicielem apteki w Żółkwi i przez 25 lat burmistrzem tego miasta. Jego syn, Juliusz II Nahlík (1846–1921), oprócz znanej apteki, prowadził z rozmachem interesy naftowe w Drohobyczu, ale u schyłku życia zbankrutował.

Bardzo ciekawą postacią był syn Karola IV, Stanisław Edward Nahlík (1911–1991), wybitny jurysta, specjalista prawa międzynarodowego, dyplomata po Uniwersytecie Lwowskim. Po wojnie był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorem honoris causa uniwersytetów w Bordeaux i Bochum, autorem świetnych pamiętników – swoistej sagi rodu Nahlíków¹⁾.

Nie sposób, pisząc o dynastii Nahlíków, pominąć też Celiny Nahlíkówą (1894–1965), córkę Karola II (pułkownika WP). Była to piękność lwowska, znakomita śpiewaczka o „wagnerowskim” głosie, primadonna lwowskiego teatru Wielkiego, a później pierwsza spikerka Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie i żona Juliusza Pełty'ego (1890–1961) – wybitnego radiowca, dyrektora rozgłośni²⁾.

Protoplasta drohobyckich Nahlíków Karol I, budowniczy kaplicy drohobyckiej, był człowiekiem bogatym. Do swojej kaplicy grobowej zamówił dwa olejne portrety

(swoj i żony) u wybitnego malarza niemieckiego Karla Gottlieba Schweikarta (1772–1855) zmarłego w Tarnopolu. Namalowane na blasze cynkowej, podbitej drewnem modrzewiowym, wisiały w kaplicy cmentarnej Nahlików. Przed II wojną światową Wiktor Nahlik zabrał je do konserwacji. Tym samym być może uratował je od zagłady i są w rękach rodziny. Do zdewastowanej dziś kaplicy już nie wrócili.

Tak jak wiele można by napisać jeszcze o rodzinie Nahlików i jej związkach z Drohobyczem, to zupełnie bezradni stajemy wobec drugiej zamożnej rodziny, która ma okazałą kaplicę na cmentarzu w Drohobyczu – Neumannów.



Pomnik artystyczny na grobie niezidentyfikowanej rodziny drohobyckiej (prośba o pomoc w identyfikacji)

Nie wiemy, kto budował tę kaplicę z boniowaną fasadą i pięknymi neogotyckimi drzwiami oraz kto w niej spoczywa. W krypcie są cztery nieoznakowane trumny, na które kapie woda z dziurawego dachu. Tak czas zatarł pamięć o drohobyckiej rodzinie Neumannów. Jerzy Pilecki, przeglądając księgę chrztów i zgonów w kościele drohobyckim, natrafił na informację o Aleksandrze Franciszce Neumann, urodzonej w Drohobyczu w 1871 roku, córce Gustawa Aleksandra Neumanna i Elżbiety z domu Blotter. W chwili chrztu ojciec był nauczycielem, ale której szkoły nie wiadomo. Jest też tam zapis o śmierci w dniu 2 sierpnia 1902 roku Robertyny Neumann, wdowy po Wincentym³. Kim byli ci ludzie? Może ktoś wyrwie ich biografie z zapomnienia? Może inni wrażliwi ludzie uratują kaplicę Neumannów przed grożącą jej zagładą?

W lipcu 2008 roku naliczyłem na tej nekropolii ponad 1200 nagrobków z inskrypcjami w języku polskim, ale wiele też jest niemieckich i ukraińskich, szczególnie współczesnych. Zbigniew Hauser – którego ojciec, dr Tadeusz Hauser, dyrektor banku cukrownictwa we Lwowie, został zamordowany przez NKWD w więzieniu drohobyckim w maju 1941 roku – w swojej świetnej książce

dokumentacyjnej „Podróże po cmentarzach Ukrainy” wymienia ponad 170 grobowców i nagrobków na tym cmentarzu. Na poszczególnych tablicach epitafijnych grobowców zachowało się kilka, a czasem nawet kilka-naście nazwisk. Jest to jeszcze nadal archiwum i klucz do przeszłości dawnego Drohobycza.

Wymieńmy przynajmniej kilkadziesiąt tych nazwisk, które mocno kojarzą się z historią nie tylko Drohobycza.

Stanisław Hempel (1851–1898), jak informuje napis na pomniku „Kawaler Państwa Francuskiego”, ck major, bohater bitew pod Solferino i Custożą (na pomniku wyrity jest stylizowany herb „Ślepowron”).

Dr Bronisław Kozłowski (1869–1935), dyrektor szpitala w Drohobyczu. Był to znakomity chirurg, cieszący się powszechnym uznaniem również w lwowskim świecie medycyny. Mówiono, że Lwów zazdrości Kozłowskiemu Drohobyczowi. Nigdy się nie ożenił, ale krążyły legendy o jego nieślubnych dzieciach, które nazywano „Kopylaki po Kozłowskim”, co – jak pisał Andrzej Chciuk – „nie przynosiło im ani ich matkom ujmy, a stanowiło niemal powód do dumy”. Kozłowski przez 33 lata był dyrektorem szpitala, który właściwie sam stworzył i



Pomnik artystyczny na grobie niezidentyfikowanej rodziny drohobyckiej (prośba o pomoc w identyfikacji)

w znacznym stopniu finansował. Gdy zmarł, jego pogrzeb przerodził się w wielką manifestację. Ksiądz nie pozwolił odkręcić tabliczki z jego nazwiskiem w ławce kościelnej, „aby duch zmarłego mógł uczestniczyć w naszych mszach”. Jedną z ulic w Drohobyczu nazwano jego imieniem⁴.

Adolf Władysław Bronowicz (1873–1933), kierownik kopalni wosku. Na pomniku inskrypcja: „Moje łyzy niech Ci będą kwiatami. Zona”.

Helena Lalkówna, nauczycielka zmarła w 1923 roku w 21 roku życia. Grób zdobi okazała kolumna zwieńczona rzeźbą anioła z tarczą i mieczem. Pomnik wykonał drohobycki kamieniarz T. Waligóra.

Franciszek Breith (1855–1894), ck komisarz straży skarbowej. Na jego grobie potężny obelisk z czarnego marmuru.

Jakób Hodbod (1836–1897), ck starszy dozorca salinarny. Na neogotyckim nagrobku zwieńczonym sękatym krzyżem z płaskorzeźbą twarzy cierpiącego Chrystusa wyrzyto tekst:

*Tu wieczny spokój każdemu
Kto dobrze żył na świecie.
Ta ziemia ciężarem złemu,
Cnotliwych ziemia nie gniecie.*

Karol Wincenty Szufa (1845–1897), dyrektor Towarzystwa Zaliczkowego. Kamienny nagrobek zwieńczony był akroterionem i potężnym krzyżem z płaskorzeźbą głowy Chrystusa.

W sąsiedztwie dyrektora pochowano Józefa Rybackiego (1852–1904), woźnego Towarzystwa Zaliczkowego, bardzo popularnej drohobyckiej postaci.

Dr Jan Milan (1866–1925), profesor gimnazjalny, miał nagrobek z różowego trembowelskiego piaskowca ze stylizowanym akroterionem i ornamentem walutowym autorstwa T. Waligóry.

Emanuel Jakubiczka (1819–1901), zarządca dóbr państwowych.

Ludwik Sas Łopuszański (1842–1898), kasjer miejski. Jego bogato zdobiony nagrobek dekorowany był



Nagrobek Ludwika Sasa Łopuszańskiego

opuszczonymi „pochodniami życia” i empirowym potężnym krzyżem.

Franciszek Szarnagel (1860–1902), pracownik salinarny, zginął tragicznie. Leży tam też jego żona Anna Scharnagel (1861–1908), brat Józef Szarnagel (1842–1913). W 2001 roku wnukowie zmarłych, Zbigniew Marian Sharnagel z Harlow (Anglia) i Romuald Kołodzki-Stobbe z Warszawy erygowali w kaplicy Nahlików tablicę epitafijną dla swych protoplastów.

Sylwia z Żavanettich Gükelhornowa (1844–1922), żona radcy sądu. Jej grób wieńczy secesyjny żeliwny krzyż z płaskorzeźbą Grupy Ukrzyżowania u podstawy.

Stanisław Chłopecki (1900–1937), starszy sierżant WP. Ma subtelny nagrobek z czerwonego piaskowca z płaskorzeźbą wędrującego Chrystusa na tle łąki, gór i słońca.

Władysław Szlamp (1886–1922), oficer I Brygady Legionów i dyrektor Powszechnej Kasy Chorych w Drohobyczu. Na nagrobku zachowała się porcelanowa fotografia zmarłego.

Alojzy Lorenz (1866–1942), wermistrz rafinerii „Naf-ta”, której właścicielem był Lieberman. Spoczywa tam również jego żona Ludwika Lorenz z domu Bittner (1866–1902)⁵.

Karol Kurzweil (1812–1874), kk Kameral-Förster.

Ignacy Henryk Sas Terlecki (1817–1889), proboszcz i dziekan drohobycki, kanonik honorowy Kapituły Przemyskiej. Na jego grobie znajduje się trójkondygnacyjny obelisk z płaskorzeźbą księgi, krzyża i girlandy kwiatowej.

Roman Hanczakowski (1846–1898), proboszcz i kanonik drohobycki. Jego nagrobek wieńczy figura Chrystusa.

Jan Niewiadomski (1844–1914), burmistrz Drohobycza i jego małżonka Apolonia Niewiadomska (1845–1911). Na ich nagrobku inskrypcja:

*Szczęśliwy kto do tej zawinie przystani
Lęk go nie zmrozi, ból serca nie zrani
Próżen trosk wszelkich u wieczności progu
Staje, by dzielić wielkie szczęście w Bogu.*

Józef Kotwicz (1823–1888), komisarz Straży Skarbowej.

Dr Jan Hołub (1880–1932), radca górniczy.

Maksymilian Wolski (1833–1894), ck radca górniczy.

Erazm Łańcucki (1882–1939), doktor filozofii, profesor gimnazjum.

Edward Czermak (zm. 8 maja 1879), ck starosta.

Stefan Topór Balicki (1881–1932), inżynier, inspektor kotłowy.

Jan Kurhan (1903–1933), profesor gimnazjum.

Kamila z Peretiakowiczów Teleżyńska (1799–1874), ziemianka z Wołynia.

Tadeusz Rychliński (1865–1940), urodzony w Drohobyczu generał brygady Wojska Polskiego, więziony przez Sowietów, zmarł w szpitalu drohobyckim na zapalenie pęcherza moczowego⁶.

Są też na tym cmentarzu zbiorowe mogiły ofiar NKWD z przełomu czerwca i lipca 1941 roku i amerykańskiego bombardowania rafinerii „Polmin” z 26 czerwca 1944 roku.

Ewenementem jest grób Jana Heksła (1923–1996), syna kupca Józefa i Zofii Reif, znanego architekta z Anglii, który w testamencie zobowiązał spadkobierców, aby pochowali go w rodzinnym grobowcu w Drohobyczu, obok matki. Spadkobiercy przeszli gehennę w urzędach ukraińskich, ale dopięli swego⁷. Uczestniczyłem w kilku próbach pochowania na cmentarzu Łyczakowskim lwowiaków zmarłych w Londynie. Było to jednak niewykonalne.

Na cmentarzu w Drohobyczu spoczywają też dziadkowie Andrzeja i Tadeusza Chciuków, rodzice malarzy Feliksa Lachowicza i Stefana Stupnickiego.

Autorem licznych i interesujących od strony artystycznej nagrobków na cmentarzu drohobyckim był Ignacy Łobos (1874–1940), drohobyczanin, który po studiach we Lwowie i Wiedniu otworzył w Drohobyczu tuż przy cmentarzu pracownię kamieniarską. Jego klientem



Nagrobek Karola Tadeusza Stupnickiego, rodziny Jarosława Stefana Stupnickiego – profesora w drohobyckim gimnazjum i znanego malarza w Drohobyczu

i też projektantem był Bruno Schulz. Jerzy Ficowski ustalił, że w 1931 roku Schulz przygotował projekt pomnika na grób swoich rodziców na cmentarzu żydowskim i zlecił jego wykonanie Ignacemu Łobosowi. Rzeźba była wykonana w czerwonym piaskowcu trembowelskim. Były to dwie różniące się detalami płyty o grubości około 15 cm z płaskorzeźbami stylizowanych świeczników, na których zamiast świec umieszczono rzeźbione kiście winogron. Projekt nawiązywał do chasydzkiej symboliki, gdzie grona winorośli mogą oznaczać owoce doczesnego życia oraz plony materialne i



Płaczka na grobie Teofilii Lityńskiej

duchowe, których przysparzał zmarły sobie i innym w trakcie ziemskiego żywota.

Schulz był bardzo przejęty realizacją tego pomnika i osobiście nadzorował prace rzeźbiarsko-kamieniarskie w warsztacie i na cmentarzu. Nie zachowała się żadna fotografia tego wspólnego dzieła Schulza i Łobosa. Cmentarz żydowski w Drohobyczu został całkowicie zniszczony. Nie zachowały się nawet okruchy macew. W tym miejscu stoi dziś osiedle. Ale według relacji rzeźbiarza Adama Prockiego, który pracował w zakładzie



Pomnik artystyczny na grobie niezidentyfikowanej rodziny drohobyckiej (prośba o pomoc w identyfikacji)



Anioł z tarczą na grobie przedwcześnie zmarłej nauczycielki Heleny Łalkówny

Łobosa jako praktykant, projekt pomnika tak się spodobał jego pryncypałowi, że ten zapytał Schulza, czy w zmodyfikowanej wersji mógłby postawić podobny na grobie swoich rodziców. I taką zgodę otrzymał. Pomnik ten w formie stylizowanego świecznika został postawiony na cmentarzu katolickim w Drohobyczu i przetrwał wojnę. Dotrwał do naszych czasów⁸⁾. Spoczywają pod nim Anna i Wojciech Łobosowie. Jeśli wierzyć Adamowi Prockiemu, to modyfikacja projektu Schulza poszła jednak bardzo daleko, bo świecznik nabrał formy kanelowanego neogotyckiego krzyża⁹⁾.

Jest na tym cmentarzu jeszcze jeden nagrobek Łobosów – Jana (1839–1922) i Marii z Jareńców (1844–1927). Jest to kamienny grobowiec z wytłaczanym ornamentem śpiącego anioła pod urną i wytłaczanymi głowami zmarłych¹⁰⁾.

25 września 2003 roku na starym cmentarzu drohobyckim pochowano inż. Eugeniusza Dąbrowskiego (1951–2003) – wielce zasłużonego dla kultury polskiej

długoletniego prezesa truskawieckiego oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej¹¹⁾.

Przypisy:

- 1) S. E. Nahlik, *Przesłane przez pamięć – w gnieździe rodzinnym*, Kraków 1987, ss. 396.
- 2) J. Pilecki, *Nahlikowie i cmentarz drohobycki*, „Ziemia Drohobycka” 2001, nr 14, s. 4–9; Z. Hauser, *Podróże po cmentarzach Ukrainy*, Kraków 2007, t. III, s. 61, 69.
- 3) J. Pilecki, *Nahlikowie...*, s. 3; R. Lorenz, *Stary cmentarz drohobycki*, Biuletyn SPZD, 1994, nr 7, s. 15.
- 4) W. Budzyński, *Miasto Schulza*, Warszawa 2005, s. 384.
- 5) Informacje od wnuka, Romana Lorenza z Legnicy.
- 6) T. Kryśka-Karski, S. Żurkowski, *Generałowie Polski niepodległej*, Warszawa 1991, s. 158;
- 7) J. Pilecki, *Jeszcze o cmentarzu drohobyckim*, „Ziemia Drohobycka” 2002, nr 15, s. 8.
- 8) J. Ficowski J., *Regiony wielkiej herezji i okolice. Bruno Schulz i jego mitologia*, Sejny 2002, s. 123–125.
- 9) Zob.: Z. Hauser, *Podróże po cmentarzach...*, t. III, s. 68.
- 10) Tamże, s. 72.
- 11) R. Lorenz, *Nekrolog Eugeniusza Dąbrowskiego*, „Semper Fidelis” 2003, nr 6 (77), s. 64.

Fotografie wykonane w lipcu 2008 roku przez Halinę i Stanisława Niciejów. □

Adolf Wisłowski

Krótką historią kuchni dla biednych

W czasie II wojny światowej ks. Salezjanin w kościele Matki Boskiej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie prowadził kuchnię dla biednych. Ja chodziłem do szkoły im. Żimorowicza na Łyczakowskiej i widziałem końcowe roboty w kościele, ustanowienie balasek, i my po lekcjach idąc do domu wstępowałem do kościoła na modlitwę. Widziałem, jak ks. Salezjanin modlił się w ławkach i czasem kiwał nam, kiedy źle zachowywałem się w kościele. Przy przyjeździe Sowietów dużo się zmieniło, przestali chodzić do kościoła ulani z 14 pułku jazłowieckiego na msze święte z orkiestrą, a była to dla nas wielka radość, czekaliśmy na to. Teraz stali pod kościołem ranni żołnierze bez rąk i nóg, prosząc o pomoc. Jednego razu przyszliśmy do kościoła wcześniej i zobaczyliśmy, że księża odśnieżali ulice, ponieważ nikogo nie można było nająć do pracy – było to karane. Potem ludzie szli specjalnie prędzej, aby odśnieżyć osobiście ulice. Był to obowiązek, przed domem za mieszkaniem trzeba było doglądać porządku. W tym czasie pamiętam kilku księży, których poznałem: prof. Masłowski, który uczył nas w domu, i ks. Wrótkowski, który organizował kuchnię dla biednych oraz ks. Antoni Guzik. W czasie wojny byli w kościele Matki Boskiej Ostrobramskiej. Do kościoła też nie wolno było chodzić, bo komuniści stali na drogach i pytali, gdzie idziemy. Odpowiadaliśmy, że do kina lub na zebrania. A nawet jak szliśmy do kościoła, to komuniści pilowali drewno i inne roboty robili na pokaz, że oni w niedzielę pracują, albo pili i grali w bilard w bufecie „Zacisze”. Rano zamawiali bryczkę i jechali do pracy. Wybrali przewodniczącą rady gminnej, komunistkę Rybakową. Jej mąż był oficerem polskim i ona przy pomocy sądu radzieckiego zasądziła go. Na wieży kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej zamontowali działo przeciwlotnicze i tam mieszkali czerwonoarmiści. Jak szliśmy w procesji dookoła kościoła, to spoglądali na nas z góry. Kiedy uciekali przed Niemcami, to tak podziurawili wieżę, że przeświecało na drugą stronę, baliśmy się, że się zawali. Czołgi, co strzelały, zostały obok kościoła z lufą wycelowaną na kościół. Czy kara ich spotkała za to? Po przejściu fron-

tu księża prosili, by wozic cement na łatanie tych dziur, rodzice moi mając konie wozili cement na remont. W czasie niemieckiej okupacji księża już najmowali sobie ludzi do sprzątania. Ks. Masłowski zajmował się uczeniem młodych, a ks. Wrótkowski zaplanował kuchnię dla biednych, gdzie codziennie przychodzili biedni, głodni i nawet ranni. Dla byłego księża prosili o siano i słomę. Ks. Salezjanin prowadził ciekawą robotę w przechowywaniu ludzi w jakiś sposób zagrożonych aresztowaniem, ratując ich przed skazaniem. Odbywało się to tak: przyprowadzali do nas tych ludzi, czasem pomagali nam w pracy, bo mieliśmy siedmiohektarowe gospodarstwo, a ci ludzie wspólnie pomagali nam w polu, trochę w kuchni, no byli i tacy, którzy przychodzili w nocy i nam tam nie wolno było wchodzić. Pamiętam taką panią, która podskakiwała na krześle przy głośnym zamykaniu drzwi. Po jakimś czasie, jednych prędzej, innych później zabrała siostra zakonna, bo dokumenty już zostały wyrobione, i tak było do wyjazdu ks. Salezjanów do Polski. Nie wiem, ile takich miejsc mieli księża Salezjanie dla przechowywania ludzi. Ks. Wrótkowski organizował kuchnię dla biednych w podziemiach kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej. Po przejściu frontu brał on u nas konie z wozem, jechał sam, ponieważ ojciec zginął w czasie przechodzenia frontu. Męczyliśmy się sami, władza radziecka nałożyła wysokie podatki, ponieważ zrobiła nas bogaczami-kulakami, chcieli nas zniszczyć. Więc jechał sam po wsiach, szczególnie polskich i zbierał, co kto dał. Czasami też nocował u nas, bo było późno i niebezpiecznie było wracać. Przypominam sobie, że siedzenia na wozie nie było i wiązaliśmy duży koszyk, przykrywaliśmy kocem.

Kuchnia zaczęła zwiększać się do 400 obiadów dziennie, z jednym daniem gęstej zupy i kawałkiem chleba. Obok w kuchni stała taca na dobrowolny datek. W jesieni to sam ks. Wrótkowski deptał kapustę na obiady. Prowadził bardzo aktywne życie. Spotkałem go pewnego razu, kiedy szedł brzegiem rzeki, ścieżką wydeptaną w śniegu przez mieszkańców wsi Prusy, szedł on do Lwowa sam, a ja jechałem na koniu do rodziny.

Niemcy na piaskach linieckich zaczęli przywozić i rozstrzeliwać ludzi. Wozili tych ludzi ul. Łyczakowską. Zapamiętały mi się nieszpory, gdzie ksiądz powiedział: „pomódlmy się za tych, którzy jadą na śmierć.” Były to straszne czasy, ciągle rozstrzeliwanie, potem palenie. My obok tego musieliśmy żyć, baliśmy się, że i nas rozstrzelają, jako świadków. Pan Bóg nas uratował. Wielkim wydarzeniem był pogrzeb ks. arcybiskupa Bolesława Twardowskiego. Odbudowywał on kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej, gdzie i chciano go pochować, a ja jak popatrzyłem spod kościoła, to cała ulica Łyczakowska była zapelniona ludźmi. Między ludźmi stały czołgi, a w parku im. Głowackiego byli czerwonoarmiści. Msze odprawiał ks. biskup Eugeniusz Baziak, po mszy św. małe śniadanie na probostwie Salezjanów. Chodziłem do kościoła Matki Boskiej Gromnicznej, a tam leżał zmarły arcybiskup i ludzie go odwiedzali. Byłem świadkiem, gdy ks. Pajer po zakończeniu mszy świętej zwrócił się do ludzi i powiedział, że dzisiaj oddaje do izby skarbowej klucz od kościoła. Choć dużo ludzi wyjeżdżało i byliśmy do tego przyzwyczajeni, to

na te słowa księdza, jak piorun z jasnego nieba, ludzie zaczęli płakać. Potem zaczęło się pakowanie, robienie paczek, pakowali kościelne obrazy. Nastął smutny czas zamykania kościoła. Ja jeździłem do wsi Prusy po metrykę. To była polska wioska. Zobaczyłem tam w kościele pełno słomy, usłyszałem pukanie młotków. Również do kościoła św. Antoniego chodziłem po swoją metrykę, gdzie też było dziwnie. Ks. Kwiatkowski zostawał, a ks. Wrótkowski wyjeżdżał i chciał zabrać jak najwięcej rzeczy, żeby bolszewikom nic nie zostawić. Smutne czasy nastały, wszyscy masowo wyjeżdżali. A najgorsze było to, że mówili, że jedziemy na 2–3 lata, odbędzie się trzecia wojna światowa i powrócimy. Do nas przychodzili sąsiedzi chcąc zostawić jakieś rzeczy, ponieważ nie wyjeżdżaliśmy.

Dwie były przyczyny masowego wyjazdu Polaków na zesłania: trzeba było ukryć się przed mordowaniem banderowców, a za rok za dwa powrócimy, bo będzie III wojna światowa. Jak gdyby wiedzieli, że na zawsze wyjeżdżają, to byłoby inaczej i nie tak masowo. □

Jadwiga Niedzielska

Jak wzbudzać w młodych sercach miłość do Lwowa

Jest sobota 22 listopada 2008 roku, Katowicki Oddział TMLIKPW przygotował na ten dzień uroczystość 20-lecia działalności Towarzystwa. Nastrój niezwykle, bo w ogromnym holu nowego gmachu Biblioteki Śląskiej w Katowicach przygotowano wspaniałą wystawę pamięci i pamiątek o Lwowie. Przybywający na uroczystość goście wchodzi w klimat tego cudownego miasta, które de facto będzie bohaterem tej uroczystości. Po wejściu na salę – druga niespodzianka! Sala widowiskowa Biblioteki Śląskiej przypomina przywoitą widownię dużego miejskiego kina, a może nawet szanującego się teatru z rzędami krzeseł ustawionych systemem „schodkowym” – od ostatniego rzędu pod sufitem do najniższego pod sceną. Scena obszerna, przestronna, może jednocześnie pełnić funkcję ekranu kinowego. Po uroczystym otwarciu wystawy publiczność zaczyna zapelniać miejsca na widowni. Jaka publiczność? Najpierw goście szanowni, poważni, którym dawno siwizna przypruszyła włosy, a z niejedynej „gęby widać Lwów” (przepraszam za tę gębę, ale to cytat z piosenki o Jóźku!). I nagle większą część widowni zaczyna zapelniać rozświegotana gromada „wróbelków”, to dzieci i młodzież wielu katowickich szkół zaproszona na uroczystość wnosi na salę powiew życia, radości i... zdumienia. Jest ich tak dużo, że gdy zabrakło miejsc siedzących porzucali się na stopniach przejścia pod ścianę

Zaczyna się część oficjalna: prezentacje, przemówienia, powitania. Uroczystość zaszczycił swoją obecnością prezydent Katowic pan Piotr Uszok. Wita go burza oklasków, są potem odznaczenia, prezes oddziału pan S. Grosman wręcza medale 90-lecia Obrony Lwowa panu prezydentowi i wielu zasłużonym osobom. Potem jest krótka odczyt ilustrowany przeżyciami o związku marszałka Piłsudskiego ze Lwowem, następnie prezes pan Grosman przedstawia zebrany osiągnięcia i zakres pracy Katowickiego TML, ale to wszystko to dopiero wstęp do tej części imprezy, która przerwie milczenie sali, poderwie z miejsc słuchających, a ręce zmusi do

klaskania. Część artystyczna – na salę wkracza lwowski zespół z Bytomia PAKA RYCHA. Już sposób, w jaki szef zespołu Rychu Gerliński zapowiada swoją grupę, budzi ogólny aplauz, a potem idą opowieści Ryśkowe o dziejach Lwowa, podzielone na znaczące etapy historyczne dziejów Lwiewo Grodu. Każdy z tych etapów ilustrowany jest odpowiednią wiązką piosenek wesołych i pieśni poważnych. Z oczu starych lwowiaków spływają ukradkiem łzy, a młodzież patrzy i słucha zdumiona. Kiedy idą wesołe lwowskie sztajerkierki lwowiacy zaczynają śpiewać razem z ferajną Rycha, a młodzież zaczyna bić brawo, coraz żywiej, coraz głośniej. Kiedy ze sceny płynie piosenka obrońców Lwowa ze słynnym refrenem:

Toi, toi hola, toi hola la,

Taki ten Lwów będzie, jak nam Pan Bóg da!

oklaski wszystkich – i młodych, i starszych – są już huraganowe.

I tak okres po okresie, epizod po epizodzie płyną opowieści Rycha o dziejach Lwowa, a jego hebra gra i śpiewa piosenki związane z każdym fragmentem opowieści. Na twarzach młodzieży zachwyt i zdziwienie, zaskoczenie, szczególnie w momencie, gdy rozlega się pieśń „W dzień deszczowy i ponury”. Starsza część widowni starym obyczajem wstaje, aby uczcić lwowski hymn, a młodzież nie wie, jak się zachować. Po chwili namysłu wstają wszyscy i w pewnym momencie słyszy się, jak pewien strzeliście wyrośnięty młodzieniec śpiewa z lwowiakami:

*... może uda się, że powrócę zdrów
i zobaczę miasto Lwów...!*

I tak już do końca uroczystości śpiewy są coraz głośniejsze, lwowiacy razem z „PAKA” drą się na całe gardła, a młodzi nie mogą ukryć swego zadziwienia.

Po imprezie kolejka po płaszcze do szatni i taka oto rozmowa dwóch licealistów, właściwie licealistek: „... wiesz, nie wiedziałam, że aż tyle jest tych piosenek o Lwowie, chyba żadne miasto w Polsce nie jest tak

opiewane”, a ta druga: „... a widziałas tych lwowiaków, jak ono śpiewali, płakali, oni chyba znają te wszystkie piosenki na pamięć!”, a ta pierwsza: „... wiesz, nie wiedziałam, że w Katowicach istnieje taki drugi, inny świat”.

PS – Wiele lat temu w czasie obchodów 300-lecia Szkoły im. Marii Magdaleny we Lwowie brałam udział

Iwo Werschler

Ostatnia wiosna w wolnym, polskim Lwowie

Wiosna we Lwowie! Jakże pięknie wyglądało to miasto o tej porze roku. Zbudowany w kotlinie między leśnymi wzgórzami, Lwów przez wieki pełny był zieleni. Jego parków pozazdrościć mu mogły inne miasta polskie. Dumą Lwowa był wielki park Kilińskiego bogaty starodrzewem i majstersztykami sztuki ogrodniczej. Niezapomnianych wrażeń dostarczał Wysoki Zamek, na którym z inicjatywy Franciszka Smolki, pierwszego prezydenta parlamentu austriackiego z roku 1848, wyrósł wyniosły Kopiec Unii Lubelskiej. Z Kopca można podziwiać tonące w słońcu miasto, ową „drugą Florencję” ze wspaniałymi wieżami i kopułami świątyń, a także rozpostartą hen!, aż po wierzchołki Karpat, równinę naddnie-strzańską.

„Któżby wymierzył i wyliczył wszystką lwowską zieloność, opasującą miasto, wijącą się poprzez jego ulice, to znowu tworzącą na peryferiach i w nowych dzielnicach szczególne swoje królestwa i nieprzeczuwalne zakątki?” – pytał Stanisław Łempicki i dodawał: – „Gdy się to w maju i w czerwcu rozbuja, rozkwieci, rozwoni spoza parkanów czeremchą, bzem, jaśminem, akacją – to nie można się dziwić, że i Lwowianie, zawsze lekko rozpoetyzowani, wpadają w nastrój zachwytu”.

Iludzi żyje lwowian pamiętających ostatni taki piękny, jedyny w swoim rodzaju, wiosenny czas przeżyty w wolnym jeszcze, polskim Lwowie? W latach trzydziestych XX stulecia rozwijał działalność Związek Popierania Turystyki Królewskiego Stołecznego miasta Lwowa. Celem Związku było zachęcanie mieszkańców innych miast i zakątków Polski do odwiedzenia Grodu Lwa, do poznawania jego zabytków, odkrywania piękna Rynku z zachwycającymi kamienicami i fontannami, przeżywania niezatartych wrażeń jakich dostarczały wnętrza dostojnych świątyń. Dzisiaj możemy tylko podążyć za cytowanym Stanisławem Łempickim i ulec urokowi jego opisu:

„Jest maj. Zagarnęły nas ulice lwowskie, w dzień pełne kwiatów i kolorów, wieczór rozbłysły światłami neonów. Poprzez długą smugę Wałów Hetmańskich biją z daleka światła Teatru Wielkiego. Życie uliczne Lwowa, jego ruch i atmosfera – mają swoje wyrażenie piękno. W tym ruchu i gwarze ulicy, targu, teatru, kawiarni, wypowiada się najplastyczniej dusza miasta: a więc natura i temperament lwowianina i lwowianki, ich umysłowość i uczuciowość, ich styl życia”.

„Dusza miasta!” To właśnie ten nieodzowny element, który kojarzyć się musi z polskim Lwowem. Duszy tej nie kształtują same budowle, bruki, nawet przyroda. Duszy tej brakuje dzisiaj i dlatego wielu z nas odwiedza- jących obecny Lwów i szukających śladów znanych z dzieciństwa, odczuwa chłód, obcość, smutek.

Tamtej wiosny, przed siedemdziesięciu laty, radośnie jeszcze przeżywano „maj we Lwowie”. Związek Popiera-

w uroczystej akademii w sali kinowej przy ul. Kazimierzowskiej. Towarzyszyła mi zaprzyjaźniona rodowita Rosjanka Nina urodzona w 1946 roku we Lwowie, bardzo przyjazna wszystkiemu co polskie i ona też po obejrzeniu występów polskiego teatru lwowskiego dzieci z obu polskich szkół (10 i 24) powiedziała mi to samo: „... Boże, nie zdawałam sobie sprawy, że we Lwowie jest taki inny, polski świat”. □

nia Turystyki Królewskiego Stołecznego Miasta opracował program Tygodnia Lwowa organizując w dniach 23–30 maja zjazd turystyczny. Uczestnicy zjazdu legitymujący się kartą uczestnictwa i wydaną z okazji zjazdu broszurą, otrzymywali bezpłatną informację kwaterek w kiosku ZPT na Dworcu Głównym. Na podstawie kuponów umieszczonych w broszurze mogli korzystać ze zniżek przy kupnie biletów do kinoteatrów „Casino”, „Chimera” i „Europa”, na wystawę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i na wystawę Letniskowo-Turystyczną „Bieszczady”. Zniżki należały się także gościom restauracji „Atlas” przy Rynku 45, Winiarni „Pod Ratuszem” oraz „Wiedeńskiej Kawiarni” przy ulicy Hetmańskiej. W programie tygodnia „Maj we Lwowie” przewidziano zwiedzanie miasta z przewodnikiem, a więc odwiedzanie muzeów (których łącznie z Panoramą Racławicką i Panoramą Plastyczną Dawnego Lwowa miało miasto 17), galerii, wystaw, zabytków architektury, oraz złożenie hołdu Orłętom na cmentarzu Obrońców Lwowa. Program obejmował spektakle teatralne (w Teatrze Wielkim grano m.in. „Obronę Ksantypy” – Morstina, „Nasze miasto” – Wildera, „Gałązkę rozmarynu” – Nowakowskiego, „Szaleństwo” – francuską komedię w przekładzie Pomirowskiego jako premierę, oraz opery: „Poławiacz perel” Bizeta i „Rigoletto” Verdiego, a w Teatrze Rozmaitości – „Byliśmy młodzi” Józefa Mayena, sceniczno-ekranowy kalejdoskop „dobrych czasów lwowskich”).

Nie brakowało też atrakcji sportowych. Jedną z największych były wyścigi konne na Persenkówce zorganizowane przez Małopolskie Towarzystwo Zachęty do Hodowli Koni i połączone z nieodłącznym totalizatorem. Podczas imprezy majowej odbywał się także Zjazd Sokolstwa, podczas którego przeprowadzono zawody w sali Sokoła-Macierzy i na Strzelnicy Wojskowej przy ulicy Kleparowskiej.

Spośród atrakcji i imprez sportowych na szczególną uwagę zasługiwały jubileuszowe obchody 35-lecia Lwowskiego Klubu Sportowego „Pogoń”. Protektorem jubileuszu był Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz. Z okazji tej uroczystości odbył się zjazd byłych i aktualnych członków klubu. W salach Ratusza urządzono wspaniały bankiet. A na nie istniejącym już dzisiaj boisku przy ulicy Stryjskiej, rozegrano turniej piłkarski o nagrodę Prezydenta miasta Lwowa, dra Stanisława Ostrowskiego. Zwyciężyła Cracovia. Gdy mowa o boisku „Pogoni”, warto wspomnieć, że planowano budowę Parku Sportowego im. Marszałka Rydza-Śmigłego przy ulicy Stryjskiej, według projektu inż. Tadeusza Kuchara, jednego z pierwszych i ogromnie zasłużonych zawodników tego klubu. Jubileusz „Pogoni” uświetniono wydaniem pięknej Księgi Pamiątkowej. Była to wyjątkowa publikacja. Księga bowiem zawiera 548 stron formatu A-4,

578 ilustracji, 51 karykatur sportowców i działaczy i 119 tablic. Dzisiaj Księga ta jest, jak określił to w korespondencji ze mną jeszcze w 1949 roku, jeden z najwybitniejszych działaczy „Pogoni”, redaktor sportowy, sam sportowiec i profesor gimnazjalny Rudolf Wacek, „historią naszego sportu, bez słowa kłamstwa!”. Dzieło to jest dzisiaj „białym krakiem”, ponieważ z nakładu 2500 egzemplarzy, 2000 zniszczyli Sowieci jeszcze w księgarni.

Imprezie „Maj we Lwowie” towarzyszyły też ciekawe konkursy, m.in. konkurs fotograficzny pt. Kto najpiękniej widzi Lwów?, w którym I nagrodę rozdzielono po połowie między M. Wątoraka i St. Weresa za zdjęcia „Ornament” z klasztoru OO. Jezuitów i „Bernardyn”, oraz konkurs na nową piosenkę o Lwowie. W tym ostatnim, którego celem, jak napisano w popularnym lwowskim dzienniku „Wiek Nowy” (nr 11433 z 11.06.1939), było pozyskanie nowego czynnika propagandowego w piosenkach oddających dobrze „polskość, tężyznę, humor i bohaterstwo Grodu Orłąt” nie przyznano nagrody. Żadna bowiem spośród nadesłanych 31 piosenek zdaniem jurorów nie oddawała właściwie ducha Lwowa. Mimo to, zakupiono 8 utworów stojących pod względem muzycznym lub tekstu na odpowiednim poziomie, aby następ-

nie radio lwowskie zorganizowało audycję, w czasie której słuchacze mieli wybrać najładniejszą. Czy zdążono przed wojną nadać taką audycję, nie wiem. A oto jedna zwrotka piosenki „Zielone Świątki we Lwowie”, opatrzonej godłem „Anna”:

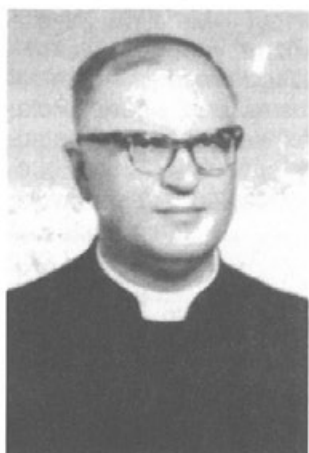
*W lecie lubisz tenis i pływanie,
W karnawale bawisz piękne panie,
Ale w całej Polsce każdy to ci powie:
Na Zielone Świąta, bracie, wybierz Lwów!*

Wiosenne gody Lwowa 1939 roku dobiegły końca. Ostatnie w wolnej Polsce. Kończyła się epoka. Dla wielu był to prawdziwy koniec świata. Po okrutnych, krwawych rządach okupantów, dwukrotnie Sowieci, raz hitlerowców, po gehennie wielu mieszkańców z których jedni stracili życie w masowych egzekucjach, w lochach Brygidek czy Zamarstynowa, na zesłaniu lub w walce z wrogiem, a inni przeżyli zsyłki, tragedie rodzinne, upokorzenia i nędzę, nastąpiło wreszcie to najgorsze. W latach 1944–1946 tysiące Polaków wypędzono z ukochanego miasta. Wyjechali na zachód aby osiąść gdzieś w Bytomiu, Gliwicach, Wrocławiu, Poznaniu... – Lwów wyjechał! A wraz z nimi opuściła ich ukochane miasto Jego Dusza. □

Ks. Stanisław Turkowski

Ks. Infułat dr Wacław Szetelnicki (1916–1996)

Świadek i popularyzator wiedzy o życiu religijnym, narodowym i społecznym na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej



Ks. Wacław Szetelnicki

W pierwszym półwieczu duszpasterskiej działalności Kościoła na Dolnym Śląsku, odnawiającego po drugiej wojnie światowej swoje struktury zmierzające ku pełnej społecznej integracji ludności osiedlonej na Ziemiach zwanych wówczas Odzyskanymi, ksiądz infułat dr Wacław Szetelnicki był najbardziej znanym, cenionym i zasłużonym kapłanem wywodzącym się ze Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej, z archidiecezji lwowskiej.

Spotkaliśmy się w Metropolitalnym Seminarium Duchownym obrządku łacińskiego, do którego wstąpiłem we Lwowie po maturze w roku 1937. Studia w Seminarium i na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza rozpoczynały się 1 października. Budynki seminaryjne we Lwowie przy ul. Czarnieckiego 30 były usytuowane malowniczo na jednym ze wzgórz, skąd roztaczał się wspaniały rozległy widok na miasto położone u stóp Wysokiego Zamku z kopcem Unii Lubelskiej. Wacław Szetelnicki był wtedy już na trzecim roku 5-letniego wówczas przygotowania do kapłaństwa. Między nami była przeto różnica dwóch lat. Wacław miał już za sobą dwuletnie studium filozoficzne oraz stosowany wtedy obrzęd tonsury i przysposabiał się do przyjęcia dwóch niższych święceń ostriariatu i egzorcyzatu, jakich udzielano alumnom trze-

ciego roku. Od tego czasu widywaliśmy się bardzo często, prawie codziennie w najróżnorodniejszych okolicznościach i warunkach życia, najpierw kleryckiego, a następnie podczas posługi kapłańskiej w trzech diecezjach: lwowskiej, a po ekspatriacji w diecezji opolskiej i wrocławskiej. Tutaj pracowaliśmy przez lat pięćdziesiąt, przeżywając różne okresy w dziejach Polski i Kościoła. Był to więc czas, w którym nagromadziło się tak wiele doświadczeń i spostrzeżeń, że byłby to temat do znacznie obszerniejszego opracowania. Każde wspomnienie ma jednak charakter subiektywny, nacechowany emocjami i bywa niekiedy zabarwione legendą. Dlatego powinno zostać zweryfikowane i uzupełniane na podstawie innych źródeł, by dać pełniejszy obraz rzeczywistości jaka została przedstawiona. Taki jest też cel niniejszego przedłożenia.

Codziennosc życia seminaryjnego w ciągu dwóch lat Polski niepodległej i prawdziwie suwerennej, studia unormowane odpowiednimi przepisami prawa kościelnego dotyczącymi przygotowania kandydatów do kapłaństwa, wieloletnia tradycja całego lwowskiego środowiska, wreszcie wybuch drugiej wojny światowej, oblężenie Lwowa, wkroczenie wojsk sowieckich 22 września 1939 roku, to były przeżycia jakie musiały wywrzeć wpływ na naszą ogólną formację duchową. Trzeba do tego dodać likwidację Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Jana Kazimierza z końcem października 1939 r., wypędzenie z budynków seminarium w połowie grudnia podczas surowej zimy, konieczność kontynuowania studiów w sposób konspiracyjny w warunkach jakże nietypowych wobec dotychczasowych. Cała okupacja sowiecko-niemiecka wraz z dramatycznymi przeżyciami na Kresach Wschodnich, a w końcu ekspatriacja w latach

1945/46 to wydarzenia, które nie mogły pozostać bez wpływu na naszą osobowość i w pewnym stopniu „zaciążyć” na stylu naszej posługi.

Jest to więc obfity materiał wspomnieniowy, z którego niełatwo wybrać treści mogące zainteresować odbiorców tego artykułu, tym bardziej, że były i są często opisywane. Chciałbym jednak mimo wszystko bardzo wyraźnie zaznaczyć i mocno podkreślić to, co w sposób trwały wywarło wpływ na nas, wówczas jeszcze bardzo młodych ludzi. A więc niepowtarzalną atmosferę narodową i patriotyczną, jaką żyło to Miasto w najbardziej trudnych i dramatycznych momentach oraz tę solidarność społeczną, jaka zawsze cechowała miasto ze wszystkich miast najbardziej polskie, tętniące życiem religijnym trzech katolickich metropolii, kilku wyższych uczelni, a zwłaszcza Uniwersytetu Jana Kazimierza, ku któremu codziennie zmierzały kroki tysięcy młodzieży, a wśród niej szeregi alumnów Metropolitalnego Seminarium Duchownego obrządku łacińskiego i ormiańskiego, a także kilkunastu kleryków zakonnych ze Stanów Zjednoczonych studiujących w Polsce.

Wykłady i ćwiczenia na Wydziale Teologicznym odbywały się codziennie od godziny ósmej według ustalonych norm ogólnych. Życie seminaryjne było ujęte przepisami regulaminu odczytywanego na początku roku akademickiego oraz przed wyjazdem na 3-miesięczne wakacje letnie, w których był przewidziany również 3-tygodniowy pobyt w koleżeńskej wspólnotcie w Rzepińcach koło Buczacza. Była to rezydencja ziemiańska z dużym parkiem i pięknym ogrodem, ofiarowana przez właścicieli klerykom naszego seminarium. Praca dydaktyczno-wychowawcza na uniwersytecie była kierowana przez wytrawnych i doświadczonych profesorów i wspierana przez odpowiednio dobranych wychowawców z księdzem rektorem seminarium na czele. Wielu z nich odnosiło sukcesy naukowe również i po wojnie. Były to poważne autorytety moralne i naukowe, co nam wielce imponowało. Ich pamięć chowamy do dziś z wdzięcznością.

Przywołanie niektórych szczegółów życia seminaryjnego we Lwowie pozwoli lepiej poznać ówczesne realia, jakie stanęły u podstaw osobowości ówczesnych adeptów kapłaństwa, w tym również i ks. Wacława Szetelnickiego.

Klerycy lwowscy spotykali się codziennie na modlitwach oraz mszy św. w kaplicy ozdobionej pięknymi freskami J. Rosena, zachowanymi do teraz jako wielkie dzieła sztuki, oraz w kościele pod wezwaniem Ofiarowania Chrystusa. Kościół ten podczas wojny i okupacji został udostępniony także wiernym. Kleryków łączyły również wspólne posiłki, przerwy między wykładami oraz przechadzki kilka razy w tygodniu do czterech lwowskich parków: Wysokiego Zamku, Kajzerwaldu, Parku Stryjskiego i Łyczakowskiego. Były to więc okazje do wzajemnego poznania się, wymiany myśli, dyskusji i nawiązania przyjaźni. Wacław Szetelnicki należał do tych kolegów, którzy aktywnie uczestniczyli w rozmowach i dyskusjach, jakie wtedy z młodzieńczym zapalem prowadziliśmy. Wywodząc się z najdalszych stron Małopolski Wschodniej, był dla nas pochodzącym z Polski centralnej i zachodniej, źródłem poznania wielu szczegółów społecznych i narodowościowych, zwłaszcza polsko-ukraińskich, jakie już wtedy pojawiały się w powszechnej świadomości. Wacław Szetelnicki czuł się w problemach budzących zainteresowanie „w swoim żywiole” i otoczony grupą kolegów budził podziw dociekliwością w poszukiwaniu historycznych źródeł, umiłowaniu stron rodzinnych i umiejętnością żywego przekazu. Uczestniczył też aktywnie w działalności Bratniej

Pomocy Studentów Teologii UJK oraz zebraniach Koła Odczytowego Alumnów, wygłaszając referaty. Tutaj dostrzegam początki jego późniejszej działalności historyczno-pisarskiej i publicystycznej, którą prowadził wśród licznych obowiązków jakie przyszło mu pełnić we Wrocławiu.

Wobec zagrożeń, jakie zaistniały po zajęciu Lwowa przez sowieckie wojska 22 września 1939 r. i ograniczeń działalności Kościoła, przełożeni seminaryjni po konsultacji z arcybiskupem metropolitą Bolesławem Twardowskim zdecydowali, że alumni piątego roku studiów otrzymają święcenia kapłańskie w terminie przyszłym, z obowiązkiem kontynuacji studiów przez cały rok. Wśród nich był ks. Wacław Szetelnicki, wyświęcony na kapłana w dniu 28 października 1939 roku przez biskupa Eugeniusza Baziaka. Obrzęd święceń, w którym uczestniczyliśmy ze wzruszeniem i emocjonalnym napięciem w tak nietypowych okolicznościach, miał miejsce nie w katedrze jak nakazywał dotychczas stosowany zwyczaj, lecz w kościele seminaryjnym.

Ks. Wacław Szetelnicki jest autorem trzynastu pozycji książkowych wydanych drukiem w latach 1970–1994. Początkowo drukowane były w Rzymie ze względu na panującą wszechwładnie cenzurę komunistyczną. Treściowo obejmują trzy działy: Lwów i Kresy Wschodnie – siedem pozycji, Wrocław i archidiecezja dolnośląska – pięć oraz praca doktorska pt. „Kaznodziejstwo polskie w XVI i XVII wieku w obronie ludu”. Są to opracowania oparte na sumiennie zbieranych źródłach archiwalnych oraz własnych, osobistych doświadczeniach i przeżyciach autora. Pragnę je wymienić przynajmniej tylko z tytułów, z podaniem krótkiej treści, by wykazać ogromną pracowitość i poszukiwawczą dociekliwość, czemu autor poświęcił olbrzymi trud podejmując nierzadko podróże celem zdobycia niełatwo osiągalnych materiałów.

Religijny klimat domu rodzinnego, atmosferę wiary i ducha patriotyzmu, jaki panował w środowisku kresowym, a zwłaszcza wiejskim, przedstawił bardzo szczegółowo i wnikliwie w książce „Parafia rzymsko-katolicka w Słobudzie Dżuryńskiej”. Tam bowiem w rodzinie rolniczej przyszedł na świat 7 czerwca 1916 r. Była to wieś polska w powiecie czortkowskim, województwie tarnopolskim. Parafią zarządzał doskonały duszpasterz i gorący patriota ksiądz Franciszek Sudoł, po wojnie wieloletni (1957–1990) proboszcz parafii św. Jana Apostoła w Oleśnicy, z którym łączyły autora więzy przyjaźni przez wiele lat powojennych już tutaj na Dolnym Śląsku. Ks. Szetelnicki nie ukrywał, że jego powołanie kapłańskie, formacja duchowa i patriotyczna ukształtowały się w domu rodzinnym i kresowym środowisku wiejskim, z czego był dumny.

Swój związek z archidiecezją lwowską i szacunek dla jej ostatniego arcybiskupa bolesnie doświadczono podczas okupacji i po wojnie w PRL-u wyraził na łamach książki dwukrotnie wydanej w Krakowie w 1989 i 1990 r. pt. „Arcybiskup wygnaniec Eugeniusz Baziak Metropolita Lwowski”. Arcybiskup Baziak pozostał w naszej pamięci jako ten, który był do 1939 roku rektorem naszego seminarium we Lwowie i udzielił nam święceń kapłańskich w najbardziej dramatycznych dla lwowskiego Kościoła czasach. Od roku 1946, jako biskup wygnaniec ze Lwowa, a później też z Krakowa, gdzie był więziony przez komunistów, na trwałe wszedł do historii Kościoła powszechnego, stając się narzędziem Bożej Opatrzności, albowiem udzielił sakry biskupiej na Wawelu Księdzu Karolowi Wojtyśle, pierwszemu z rodaków na Stolicy Piotrowej.

Swoim kolegom kursowym seminaryjnym i przyjaciółtom poświęcił ks. Szetelnicki dwie kolejne pozycje, a mianowicie „Ks. Wojciech Olszowski Biskup nominat kijowski 1916–1972”, Rzym 1981 oraz „Lwówianin na drogach świata Władysław kardynał Rubin”, dwa wydania: Rzym 1995 i Rzym 1996.

W pierwszej opisuje dramatyczne koleje lwowskiego kapłana aresztowanego przez NKWD i zesłanego w głąb Związku Radzieckiego, a po powrocie z zesłania przebywającego na terenie archidiecezji lwowskiej. W tym czasie Papież Jan XXIII wysłał pocztą jego nominację na biskupią stolicę w Kijowie. Pismo zostało przejęte przez władze sowieckie i nie zostało zrealizowane, a sam nominat został niezwłocznie deportowany do Polski i podjął pracę duszpasterską na Dolnym Śląsku. Treść tej publikacji jest ciekawym przyczynkiem do poznania warunków, w jakich znalazł się Kościół w państwie rządzonej totalitarnie.

Bardzo serdeczna i zażyła koleżeńska przyjaźń łączyła księdza Wacława z kardynałem Władysławem Rubinem, który po wywiezieniu w głąb Związku Radzieckiego w 1939 r. i uwolnieniu przez armię gen. Andersa, mógł przerwać wojną studia teologiczne ukończyć w Bejrucie i otrzymać święcenia kapłańskie. Pracował na różnych odpowiedzialnych stanowiskach w Stolicy Apostolskiej aż do uzyskania godności kardynalskiej. Przyjacielska więź pozwoliła ks. Szetelnickiemu na częste pobyty w Wiecznym Mieście, spotkania z papieżami Piusem XII, Janem XXIII, Pawłem VI i oczywiście Janem Pawłem II. Były to dla księdza Wacława niezapomniane przeżycia, a przede wszystkim okazja ożywienia łączności z Kościołem, któremu służył zawsze z pełnym oddaniem. To dzięki kardynałowi Rubinowi mogły ukazywać się drukiem publikacje autorstwa ks. Szetelnickiego w okresie represyjnym. Swego kolegę i przyjaciela wiele razy przyjmował u siebie w parafii św. Bonifacego we Wrocławiu.

Cenną pozycję stanowi wydana w Rzymie w 1984 r. książka „Zapomniany lwowski bohater ks. Stanisław Frankl”. Przekazuje bowiem ona wydarzenia związane z funkcjonowaniem lwowskiego seminarium duchownego w okresie okupacji sowiecko-niemieckiej w ścisie „katakumbowych” warunkach, dzięki nieustraszonej postawie rektora ks. Frankla, który zdołał utrzymać tę instytucję wśród licznych represji i prześladowań, oddając swoje życie za Polskę i Kościół. To właśnie dzięki jego bohaterskiej postawie kilkudziesięciu kleryków lwowskich mogło ukończyć studia i przyjąć święcenia, by służyć najpierw Kościołowi lwowskiemu, a po ekspatriacji pracować owocnie na Ziemiach Zachodnich i poza granicami.

O życiu religijnym ludu kresowego napisał ks. Szetelnicki w książce „Podolski Jan Vianney ks. Teodor Kasperski twórca Kalwarii w Winiatyńcach”, Kraków 1990. Ten pełen zapału i miłości do Kościoła i ludu polskiego na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej kapłan utworzył i ofiarne prowadził przez wiele lat w małej miejscowości w południowo-wschodniej części Małopolski ośrodek pielgrzymkowy, który w święta i uroczystości Matki Bożej gromadził tysiące wiernych trzech obrządków na przepięknych obrzędach religijnych na wzór znanych Kalwarii Zebrzydowskiej i Paclawskiej oraz wielu innych miejsc pielgrzymkowych. Było to jedno z największych osiągnięć organizacyjnych tego rodzaju na terenie Małopolski Wschodniej.

Dokumentację religijności ludowej i polskiego katolicyzmu na wschodnich rubieżach Polski stanowi inna pozycja ks. Szetelnickiego pt. „Trembowla – Kresowy bastion wiary i polskości”, Wrocław 1992. Już sam tytuł

publikacji mówi o treści zawartej w tym opracowaniu na podstawie dostępnych źródeł historycznych oraz własnego doświadczenia autora, gdyż była to pierwsza placówka duszpasterska, jaką mu wyznaczyła kościelna władza po święceniach otrzymanych we Lwowie w okresie pierwszej okupacji sowieckiej.

Jak widać z tych skrótowo przedstawionych treści dotyczących historii naszych Kresów, problemy te leżały mocno w pamięci i w sercu i były przedmiotem dociekań autora, który w ten sposób udostępnił współczesnym zagadnienia, jakie są częstym tematem badań nie tylko fachowych historyków. Rzetelnie zbądane i w sposób popularny przedstawione mogą dziś służyć jako ważny przyczynek źródeł historycznych. Z dużym pożytkiem można dziś do nich sięgać.

Słusznie więc zauważa jeden z zagranicznych recenzentów, że „prace te są prześięknięte wielką miłością do Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej, Archidiecezji Lwowskiej i ich przeszłości historycznej. ... Zrośnięty od dzieciństwa z Ziemią Wschodnią i ze Lwowem, był dla tych ziem gotów oddać wszystko i całe swoje życie ... im poświęcił”. (Wacław Netter: *Śp. ks. Wacław Szetelnicki*, Lwów i Kresy nr 81, 1997, s. 42)

80 lat życia, w tym 51 lat posługi kapłańskiej na wielu ważnych i odpowiedzialnych stanowiskach w rozmaitych zmieniających się okresach i warunkach historycznych „w udręce i cierpieniu wszystkich Polaków” w czasach „wielkich oczekiwań i rozczarowań społecznych”, to bogate doświadczenie życiowe i zasób wiedzy, którym ks. Szetelnicki umiał się posłużyć przez cały ten czas. Jako kanclerz Kurii Metropolitalnej Wrocławskiej w latach 1951–1969 przyczynił się wydatnie do erygowania 115 parafii w archidiecezji (Zob: Wincenty Urban: *Duszpasterski wkład księży repatriantów w Archidiecezji Wrocławskiej w latach 1945–1970*. Wrocław 1970 s.141).

Kanonik gremialny Kapituły Wrocławskiej, protonotariusz apostolski – ks. infułat dr Wacław Szetelnicki odszedł do Pana jako dobry pasterz polskiego ludu 19 lutego 1996 r.

Cechy osobowościowe, nieczęsto spotykane u jednego człowieka, jak np. poczucie odpowiedzialności, obowiązkowość, świadomość powinności, poczucie osobistej godności oraz wierność zasadom wpojonym przez dom rodzinny, Kościół i szkołę, a następnie kształtowane wysiłkiem samowychowawczym, były mocnym fundamentem wszystkiego co czynił i czym służył do ostatnich chwil życia. Ks. Szetelnicki wyróżił i wychował się na urodzajnej ziemi podolskiej, która ukształtowała jego młodość, wiek dojrzały, czym decydująco wpłynęła na całokształt jego życia i ofiarnej pracy duszpasterskiej. Ze Lwowem i jego historią, niepowtarzalnym klimatem kulturowym i patriotycznym był mocno powiązany do kresu swego życia.

Nigdy nie zapominał o swych lwowskich „korzeniach”, do których powracał myślami, wspomnieniami, rozmowami oraz sentymentalnymi podróżami, gdy stało się to możliwe. Mawiał często, że tam na Kresach „pozostawił część swojej duszy”. Był jednym z wielu kapłanów kresowych, którzy po ekspatriacji przybyli na Ziemię Zachodnią, by tutaj, każdy według swych możliwości, dawać świadectwo historycznej prawdzie i budzić ducha patriotyzmu oraz kształtować postawy humanistyczne. To właśnie dzięki takim osobowościom jak ks. Szetelnicki, każdy kto nie miał dotąd tego rodzaju możliwości, mógł poznać czym był Lwów i Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej w naszych polskich dziejach i polskiej kulturze. □

„Wrocławskie spotkanie wielkanocne”



W Klubie Oficerskim Śl.OW na „Jajku Wielkanocnym” spotkali się członkowie wszystkich wrocławskich Klubów TMLiKPW, sympatycy, zaproszeni goście.

Honorowym, serdecznie powitany Gościem był ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Wspólnie z zebranymi wrocławskimi lwowiakami i kresowianami odmówił modlitwę i pobłogosławił zebranych.



Po złożeniu serdecznych życzeń z okazji Zmartwychwstania Pańskiego, kardynał Gulbinowicz uhonorował red. Grażynę Orłowską-Sondej, dziennikarkę wrocławskiej TV zajmującą się od lat tematyką kresową, organizatorkę pomocy charytatywnej rodakom na Wschodzie oraz ratowania cmentarzy polskich na Kresach, Elżbietę Urbańską, prezes największego klubu wrocławskiego TMLiKPW, wielce zasłużonej dla jego wszechstronnej działalności oraz Andrzeja Kaminskiego, od kilku kadencji prezesa ZG TMLiKPW, redaktora naczelnego „Semper Fidelis” – Srebrnymi Pierścieniami Tysiąclecia Arcybiskupstwa Wrocławskiego.



W „Wrocławskim spotkaniu wielkanocnym” uczestniczył Krzysztof Świderek, konsul RP w Mińsku. Kardynał Gulbinowicz odbył z reprezentantem Rzeczypospolitej na Białorusi rozmowę.



Fot. E. Niewolska

JUBILEUSZ XX-LETNIEJ DZIAŁALNOŚCI

Krakowskiego Oddziału TMLiKPW



Jubileuszowe obchody z okazji XX-letniej działalności krakowskiego TMLiKPW, po uroczystej Mszy św. z udziałem ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który wygłosił kresową homilię, odbyły się w kapitułach klasztoru o.o. Bernardynów. Otworzyli je i prowadzili prezes Adam Gyurkovich i I prezes krakowskiego zarządu TMLiKPW Jerzy Kowalczyk.

W części oficjalnej jubileuszowych obchodów prezes ZG TMLiKPW Andrzej Kamiński uhonorował Złotymi Odznakami Towarzystwa zasłużonych działaczy krakowskiego TMLiKPW, m.in. otrzymała ją Romana Żuk.



W części naukowej jubileuszowego spotkania, którą przygotował członek zarządu oddziału krakowskiego TMLiKPW Andrzej Chłupalski, wystąpiła m.in. reprezentantka Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, Teresa Dutkiewicz.



Krakowskie obchody jubileuszowe zakończył występ „Tyliżentnych batiarów”, m.in. znanego i lubianego Adama Żurakowskiego i Andrzeja Jaworskiego, z programem lwowskich pieśni i piosenek.



Fot. A. Kamiński

Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej

Obchody Jubileuszu XX-letniej działalności TKPZL rozpoczęła uroczysta Msza św. w Katedrze Lwowskiej z udziałem Metropolity Lwowskiego abp. Mieczysława Mokrzyckiego. Na zdjęciu: poczet ze sztandarem Towarzystwa, ufundowanym przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” wkracza do katedry.



Delegacja TKPZL składa wieniec pod pomnikiem wieszczki Adama Mickiewicza.



Uroczysta akademia jubileuszowa. W prezydium byli prezesi TKPZL oraz b. pierwszy konsul Konsulatu RP we Lwowie W. Woskowski.



Towarzyskie spotkanie byłych prezesów i działaczy TKPZL z pierwszym konsulem RP we Lwowie w siedzibie Towarzystwa.

Fot. A. Kamiński

Z pobytu delegacji ZG TMLiKPW we Lwowie

Delegacja Zarządu Głównego TMLiKPW uczestnicząca w obchodach Jubileuszu XX-letniej działalności Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej w składzie: prezes Andrzej Kaminski, wiceprezes Danuta Śliwińska i sekretarz Jerzy Czyżycki odwiedziła Cmentarz Obrońców Lwowa i oddała hołd pamięci Orląt Lwowskich...



... a prezes A. Kaminski odwiedził grób swoich dziadków – Rozalii i Karola Kindinger na Cmentarzu Łyczakowskim.

Tak obecnie wygląda grób lwowskiej rzeźbiarki i malarki Leny Drekslerówny na Cmentarzu Łyczakowskim odrestaurowany z funduszy TMLiKPW.



Serdeczne pożegnanie Lwowa w gościnnym domu lwowskich rodaczek – Haliny i Jadwigi Pechatych.



WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

„Wesoły nam dziś dzień nastał...”

Tak, tegoroczna Wielkanoc wrocławska była i wesoła, i dla wielu radosna. Na „Wielkanocnym jakku kresowym” w Klubie Oficerskim spotkali się, jak nigdy dotąd, prawie wszyscy członkowie wrocławskich klubów TMLiKPW oraz zaproszeni goście z zaprzyjaźnionych oddziałów terenowych. Nasze spotkanie lwowian i kresowian zaszczylił JE ks. Kardynał Henryk Gulbinowicz i sprawił nam dużą, wielkanocną niespodziankę! Trzy osoby: red. Grażyna Orłowska-Sondej, znana dziennikarka wrocławskiej TV od lat zajmująca się tematyką kresową, organizatorka pomocy charytatywnej rodakom na Wschodzie, ratowania i porządkowania polskich cmentarzy na Kresach; Elżbieta Urbańska – wieloletnia wiceprezes i prezes największego wrocławskiego klubu TMLiKPW „Leopolis”, wielce zasłużona dla jego aktywnej działalności oraz Andrzej Kaminski – od kilku kadencji prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, redaktor naczelny „Semper Fidelis”, otrzymali z rąk Jego Eminencji Srebrne Pierścienie Tysiąclecia Arcybiskupstwa Wrocławskiego, ustanowione jako wysokie wyróżnienie kościelne przez kard. Gulbinowicza, gdy był Metropolitą Wrocławskim. Wręczenie poprzedziła laudacja wyróżnionych. Wzruszenie, radość, gratulacje... (relacja wewnątrz „SF”).

Wiosna w tym roku także dla mnie była radosna. Kapituła Krzyża II Obrony Lwowa wyróżniła mnie tym odznaczeniem – za „obronę piórem” miasta Semper Fidelis i Kresów – i przyjęła w poczet członków Krakowskiego Bractwa Orląt Lwowskich. Byłem wzruszony i zaszczycony. Tym bardziej, że mój Ojciec, jako podoficer w składzie I Dywizji Kresowej szedł z odsieczą miastu Semper Fidelis i walczył w jego obronie w 1939 r. Zrządzeniem losu Jego syn, w 70. rocznicę tragicznego WRZEŚNIA 39, został odznaczony za obronę Lwowa. Dziękuję Kapitułę tego Krzyża za wyróżnienie. Ma dla mnie wielką, symboliczną wartość...

Do pełnego szczęścia brakowało mi, żebym mógł być tej wiosny we... Lwowie. Bo tam:

**Paletą barw tęczyowych
płonie wiosna kresowa,
aby odczuć jej piękno
trzeba zacząć od Lwowa...**

– pisze lwowska poetka Krystyna Angielska.
Jakże bym chciał... Niestety.

Pamięci zdobywców Monte Cassino

W 65. rocznicę bitwy o Monte Cassino prezydent RP Lech Kaczyński, bawiący z oficjalną wizytą w Włoszech, odwiedził cmentarz wojskowy żołnierzy polskich

II Korpusu, którzy zginęli przełamując niemiecką linię obrony Gustawa i zdobywając Monte Cassino. Ci żołnierze to byli w większości kresowiaci, zesłańcy syberyjscy, których z „niehumanitarnej ziemi” wyprowadził gen. Władysław Anders. Spoczywa tam wraz z nimi.

Prezydentowi Kaczyńskiemu towarzyszyli kombataneci – bohaterowie spod Monte Cassino, Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego, harcerze. Prezydent oddał hołd pamięci poległym, a Kompania WP – salwę honorową. Jak przed 65. laty po zdobyciu wzgórza Monte Cassino, trębacz zagrał hejnał mariacki.

24 maja polski cmentarz wojenny na Monte Cassino odwiedził papież Benedykt XVI i oddał hołd pochowanym tu ponad tysiącu polskim żołnierzom II Korpusu.

... i Kołobrzegu

Inscenizacja bitwy o Festung Kolberg, w której uczestniczyło 200 „żołnierzy”, wozy bojowe z ostatniej wojny, w tym ciężki czołg SU-57 i okręt wojenny-muzeum, odbyła się po raz pierwszy w Kołobrzegu w 64. rocznicę zdobycia tego miasta-portu przez żołnierzy I Armii Wojska Polskiego.

Zacięte walki o Festung Kolberg trwały od 4 do 18 marca 1945 r. Brało w nich udział 29 tys. żołnierzy WP (3 dywizje piechoty, pułk czołgów ciężkich, 3 brygady artylerii, dywizja lotnicza) oraz kilka jednostek AR. Miasto broniło zaciekle 8 tys. żołnierzy niemieckich różnych formacji, wspomaganych przez 5 okrętów wojennych, pociąg pancerny i w niektóre dni Luftwaffe. Trwający dwa tygodnie bój o Kołobrzeg był największą bitwą stoczoną o miasto przez polskie wojsko podczas II wojny światowej. W walkach zginęło ponad 1200 żołnierzy.

W 64. rocznicę zdobycia miasta przy latarni morskiej, ostatnim punkcie niemieckiego oporu, kapelan garnizonu kołobrzesckiego WP ks. mjr Witold Kosiński odprawił Mszę św. za poległych w 1945 r. żołnierzy. Po nabożeństwie na plaży odbyła się inscenizacja ceremonii zaślubin Polski z morzem.

Państwo a pamięć ofiar

Rzecznik Praw Obywatelskich, dr Janusz Kochanowski, zorganizował 20 maja w Warszawie konferencję *Państwo a pamięć ofiar. Nieupamiętnione ofiary zbrodni wołyńsko-malopolskiej*. O obowiązkach państwa wobec ofiar zbrodni ludobójstwa mówiła dr Elżbieta Mikos-Skuzza z Instytutu Prawa Międzynarodowego UW, a o społecznych aspektach problemu „niepamięci” ofiar zbrodni wołyńsko-malopolskiej ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej, Fundacji Ormiańskiej i Stowarzyszenia „Huta Pieniacka” zaprezentowali działania środowisk społecznych i indywidualnych osób w zakresie porządkowania i urządzania miejsc pamięci narodowej na Ukrainie, a prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów Szczepan Siekierka wyliczył symboliczne miejsca pamięci w Polsce.

Z powodu nieprzybycia na konferencję przedstawicieli Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie zostały wygłoszone, wcześniej uzgodnione, referaty o problemach stosownego urzędowania miejsc polskiej pamięci narodowej na Ukrainie oraz stanowisko MSZ w sprawie tych miejsc pamięci za wschodnią granicą. Rzecznik Praw Obywatelskich, organizator konferencji, nie skomentował nieobecności przedstawicieli MSZ i ROPWiM. „Rzeczpospolita” dowiedziała się nieoficjalnie, że MSZ wycofało się z konferencji rzekomo po interwencji ambasady Ukrainy – nie podobał się temat konferencji oraz, że będzie występować ks. Isakowicz-Zaleski, który otwarcie domaga się uznania mordów na Wołyniu za ludobójstwo i upamiętnienia ofiar. A co powiedział on na konferencji? *Na pewno Polsce zależy na dobrych stosunkach z Ukrainą, ale w imię tego nie można poświęcić pamięci o zbrodni na Wołyniu. Droga do pojednania Polaków i Ukraińców wiedzie wyłącznie poprzez prawdę. Stanowisko TMLiKPW jest takie samo.*

W dyskusji przedstawiciele wielu środowisk kresowych przedstawili swoje racje na tematy omówione na konferencji. Zwracali uwagę na odradzanie się kultu UPA na Ukrainie, na indoktrynację tamtejszej młodzieży i brak ostrej reakcji władz polskich. Domagano się zamknięcia „Naszego Słowa”, organu Związku Ukraińców w Polsce, które wprost nawiązuje do zbrodniczej ideologii OUN. Wyrażono uznanie Rzecznikowi Praw Obywatelskich za zorganizowanie konferencji na te trudne i bolesne tematy. *Martwi nie mogą wołać o sprawiedliwość, obowiązkiem żywych jest czynić to za nich* – powiedział dr Janusz Kochanowski.

Red. Marcin Wojciechowski z GW nazwał dr. Kochanowskiego Rzecznikiem Praw Kresowiaków. Nie mam nic przeciw temu, żeby nim był.

List otwarty do Rektora KUL

W marcu br. media podały nieoficjalnie, że Katolicki Uniwersytet Lubelski w związku z obchodami 440-lecia podpisania aktu Unii Lubelskiej, zamierza nadać doktoraty honoris causa pięciu prezydentom państw, których współczesne terytoria należały w przeszłości do I Rzeczypospolitej. Jednym z przywódców, którego ma spotkać ten zaszczyt, jest prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko. Tygodnik „Nasze Słowo” organ Związku Ukraińców w Polsce, w numerze 16 z 19 kwietnia br. potwierdził, że na zaproszenie prezydenta RP 1 lipca przyjedzie do Polski pięciu prezydentów sąsiednich krajów i na KUL zostaną im uroczystie nadane honorowe wyróżnienia. Prezydent Juszczenko otrzyma *doktorat honoris causa*.

Ta wiadomość wywołała wielkie poruszenie i wzburzenie bliskich ofiar ludobójstwa OUN-UPA, tych, którym udało się uciec spod topora lub noża ukraińskich „rizinów”, środowisk patriotycznych, kresowych i kombatanckich 27 Wołyńskiej Dywizji Kresowej AK oraz indywidualnych Polaków. Posypały się protesty. Kresowy Ruch Patriotyczny, Społeczna Fundacja Pamięci Narodu Polskiego, Klub Inteligencji Polskiej, Fundacja Polskie Gniazdo, oddziały TMLiKPW oraz inne organizacje kresowe uchwaliły wspólny list otwarty do JM ks. prof. dr. hab. Stanisława Wilka, Rektora Katolickiego Uni-

wersytetu Lubelskiego, w którym czytamy m.in.: *Prezydent Wiktor Juszczenko znany jest jako zagorzały zwolennik uznania UPA za wojsko narodowo-wyzwoleńcze, oraz jako ten, dla którego dzieje nacjonalizmu ukraińskiego stanowią chwalebny wy-cinek historii Ukrainy. Z jego ust nawet podczas wspólnych polsko-ukraińskich uroczystości nie padły nigdy słowa potępienia OUN-UPA, czy ideologii Doncowa i Bandery. W ocenie historii stosunków polsko-ukraińskich Wiktor Juszczenko głosi zasadę równorzędności krzywd i odpowiedzialności.*

W imieniu rodzin około dwustu tysięcy bestialsko pomordowanych Polaków, ok. osiemdziesięciu tysięcy Ukraińców nieposłusznych wobec OUN/UPA, lub solidarnych z Polakami, kilkudziesięciu tysięcy pomordowanych Żydów, Ormian, Czechów i Cyganów, stu pięćdziesięciu pomordowanych księży, zakonnic i zakonników rzymskokatolickich oraz kilkunastu księży greckokatolickich i prawosławnych wiernych przykazaniu „nie zabijaj”,

– w imieniu tych, którzy, często okaleczeni, wynieśli życie z pożogi ludobójstwa dokonanego przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińską Armię Powstańczą i SS Galizien,

– w imieniu wszystkich Polaków znających prawdziwe oblicze OUN/UPA i historię ich zbrodni protestujemy przeciwko planowanemu nadaniu honoris causa Prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko.

Magnificencjo! Uhonorowanie prezydenta Juszczenki, admira-tora najgorszych tradycji Ukrainy, będzie wprawdzie gestem wobec obowiązującej poprawności politycznej, ale pozostanie ciemną, niezmywalną plamą na historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który jest dumą wszystkich Polaków.

28 kwietnia br. płk Jan Niewiński, prezes Kresowego Ruchu Patriotycznego, ostatni dowódca Samoobrony na Wołyniu udał się z listem otwartym, w imieniu jego syn-gnataruszy, do Rektora KUL. Rozmowa była, podobno, trudna, żadne ostateczne ustalenia nie zapadły. KUL miał dopiero w maju zająć się tym tematem. 28 kwietnia lubelskie wydanie „GW” podało informację: *Tymczasem władze KUL nie zamierzają się wycofać ze swojego pomysłu. – Nie widzę takiej możliwości – stwierdza ks. prof. Stanisław Wilk, rektor uczelni. – Staram się zrozumieć rodziny pomordowanych na Wołyniu. Ale z drugiej strony, jak długo jeszcze będziemy się sycić żądzą zemsty.*

Czy protest tysięcy Polaków pozostanie bez echa?

10-tysięczną Kartę Polaka...

... we Lwowskim Okręgu Konsularnym otrzyma Zofia Gawron ze wsi Pniuk k. Mościsk. Tu się urodziła w polskiej rodzinie, także jej syn, oboje tutaj pracują. 70 procent mieszkańców to Polacy. O przyznanie Karty Polaka zgłosiło się tu już ponad sto osób. „Byliśmy Polakami, jesteście Polakami i nimi pozostaniemy. Myślimy po polsku, mówimy, modlimy się” – oświadczyli pracownikom Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, którzy przybyli do Pniuk, żeby bezpośrednio na miejscu mieszkańcy mogli złożyć wniosek o Kartę Polaka.

Doczekali się wreszcie. Polska przyszła do nich...

Wybitny uczony, minister, poseł

Polska Akademia Umiejętności w Krakowie, wspólnie z rodziną Dzieduszyckich, zorganizowała sesję naukową z okazji 100-lecia śmierci Wojciecha Dzieduszyckiego (1848–1909) – członka PAU, wybitnego uczonego, ministra do spraw Galicji w rządzie austriackim, posła na Sejm Galicyjski i do parlamentu wiedeńskiego, pisarza. Uczestniczyli znani naukowcy polscy oraz potomkowie hrabiego W. Dzieduszyckiego: Małgorzata Dzieduszycka-Ziemilska, Izabela Cywińska, Dominika Sigsworth z Londynu i prawnuk Paweł Dzieduszycki.

Nie przybył nikt z zaproszonych naukowców ukraińskich.

Referaty uczonych krakowskich dopełniły wystąpienia członków „Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas”. Przybliżyli postać W. Dzieduszyckiego jako kolekcjonera dzieł sztuki, wytrawnego zbieracza cennych książek, w jego pałacu w Jezupolu było ich ponad 15 tys. tomów, cenna kolekcja starych ikon i malarstwa. Był człowiekiem bardzo oryginalnym.

Pochowany jest w zniszczonym kościele podomini-kańskim w Jezupolu w obwodzie lwano-Franowskim. Grób został zbezczeszczone, a nagrobek zrujnowany. Pozostała po Nim tablica pamiątkowa w Katedrze Lwowskiej i pamięć o wybitnym kresowianinie.

„Śmierć Lachom”

Napis tej treści, z hitlerowską swastyką, namalowa-no w maju br. na dwujęzycznej polsko-ukraińskiej tabli-cy informacyjnej na pomniku pamięci polskich profeso-rów rozstrzelanych w lipcu 1941 r. na Wzgórzach Wulec-kich we Lwowie. Kolejny raz sprofanowano ten pomnik wzniesiony na miejscu zbrodni niemiecko-ukraińskiego batalionu „Nachtigall”. Środowiska lwowskie w Polsce są poruszone i wzburzone tą profanacją.

Chulikański wandalizm? „Dzieło” szaleńca, fanatyka? Czy prowokacja, mająca na celu popsucie stosunków między Polakami i Ukraińcami? Czymkolwiek by nie były, są, niestety, kolejnym dowodem odradzającego się ukraińskiego nacjonalizmu Doncowa-Bandery w zachodniej części Ukrainy. Świadczą o tym coraz licz-niejsze miejsca i pomniki chwały UPA oraz jej „bohaterów”, sprawców masowych mordów na Polakach – we Lwowie, Stanisławowie i innych miastach ukraiń-skich...

Lwowskie służby szybko usunęły haniebne napisy na pomniku rozstrzelanych profesorów. Czy równie sprawnie postarają się odnaleźć, ujawnić i napiętnować ich sprawców?

„Skierowaliśmy list w tej sprawie do ministra Sikor-skiego z prośbą o podjęcie interwencji i wyjaśnienie tej sprawy u władz ukraińskich” – powiedział Andrzej Prze-woźnik, szef Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeń-stwa. Dodał, że podobny list trafi też do „mojego odpo-wiednika po stronie ukraińskiej z prośbą o informację, jakie działania zostały podjęte, by usunąć powstałe szkody i by tego rodzaju zdarzenia więcej nie miały miejsca”.

„Brylanty” Ossolineum w Wiedniu

Dwa lata trwały przygotowania wrocławskich ossoliń-czyków do prestiżowej wystawy Ossolineum w Austriackiej Bibliotece w Wiedniu, której pierwszym dyrektorem 200 lat temu był... Józef Maksymilian Ossoliński. Wro-cławianie zaprezentowali najcenniejsze rękopisy, stare druki, rysunki, grafiki, medale, mówiące o naszych dzie-jach, kulturze i związkach z Wiedniem. „Brylanty” Osso-lineum – jak mówią: rękopis *Pana Tadeusza*, manu-skrypt *Króla Ducha* Juliusza Słowackiego, karty spi-sane ręką Aleksandra hr. Fredry, a także dzieła pol-skich XX-wiecznych noblistów – *Chłopów* Władysława

Reymonta, *Quo vadis?* Henryka Sienkiewicza oraz rękopisy Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej. Były prezentowane w kraju, ale nigdy nie wyjeżdżały za granicę.

W 33 gablotach zaprezentowano wspaniałą kolekcję ossolińskich medali, która opowiada o wielkości pań-stwa polskiego od XVI w. po czasy najnowsze – medal z Lechem Wałęsą. Uzupełnieniem zabytków były plan-sze objaśniające, na których zapisane są dzieje Polski i Ossolineum, w tym także, jak Polacy, przybyli z róż-nych dzielnic Polski i z b. kresów Rzeczypospolitej, wrastali we Wrocław. Zwiedzający polską wystawę w Prunkssal, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś wię-cej, mogli to znaleźć w kilkusetstronicowym trójjęzycz-nym katalogu wystawy.

„Brylanty” wrocławskiego Ossolineum podbiły Wie-deń. Gratulacje dla organizatorów wystawy.

Warszawskie inicjatywy kresowe

Warszawski Dom Spotkań z Historią poinformował już prezesa Stołecznego Oddziału TMLiKPW Ryszarda Orzechowskiego, że tak jak w roku ubiegłym planuje ściśle współpracę z Towarzystwem przy organizacji w listopadzie br. Dni Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Warszawie.

Deklaruje zorganizowanie kilku imprez poświęconych dziedzictwu kulturalnemu Lwowa i Kresów II RP. M.in. w ramach cyklu „Opowieści z Kresów” zostanie przed-stawiona prezentacja multimedialna pt. *Smak Lwowa. Spacerkiem po lwowskich knajpach, restauracjach, ka-wiarniach i cukierniach*, z cyklu „Kino kresowe” w DSH wyświetlane będą w listopadzie filmy dokumentalne dotyczące Lwowa i Małopolski Wschodniej – m.in. po-kaz jednego z najnowszych filmów o tej tematyce, zre-alizowanego w br. pt. *Obrona Lwowa* w reż. Krzysztofa Langa, a także ukraińskiego filmu dokumentalnego uka-zującego obecny wygląd Lwowa. Niezależnie od imprez organizowanych w Domu Spotkań z Historią odbędą się 2–4 spotkania o tematyce kresowej w innych obiektach na terenie Warszawy.

Warto dodać, że w warszawskim DSH co miesiąc organizowane są interesujące spotkania, imprezy, dyskusje na tematy kresowe. Ostatnio, 5 maja br., dysku-sja o książce Ihora Iliuszyna pt. *UPA i AK. Konflikt w Zachodniej Ukrainie*, z udziałem autora, przedstawicieli środowisk 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Związku Ukraińców w Polsce; 15 maja *Represjonowani na Wschodzie – co wiadomo*; 20 maja, z cyklu „Opowie-ści z Kresów” – *Polskie Eton nad Strwiążem. Majów-ka u oo. Jezuitów w Chyrowie*, a wcześniej z tego cyklu *Kresowi Wokulscy: od Baczewskiego i Ruckera do Stollego i Elekritu* – opowieści o znanych przedsię-biorcach z Kresów.

Inicjatorem i realizatorem warszawskich inicjatyw klubowych jest Tomasz Kuba Kozłowski. Godne naśladowania.

Wielkanoc w Ojczyźnie

Już po raz dziesiąty grupa rodaków z Kazachstanu i z Syberii spędzała Święta Wielkanocne w ojczyźnie ich ojców. W tegorocznej akcji „Wielkanoc w Polsce 2009”, organizowanej przez stowarzyszenie „Wspólne

Korzenie" uczestniczyło 32 rodaków. Odwiedzili Lublin, Kraków i Częstochowę i na zakończenie pobytu stolicę Polski, do której zostali zaproszeni przez warszawski Ratusz (pokrył koszty pobytu i przejazdu).

Goście zwiedzili stolicę, Muzeum Powstania Warszawskiego i spotkali się z wiceprezydentem Warszawy Włodzimierzem Paszyńskim.

Jakże byli wdzięczni wszystkim, którzy umożliwili im odwiedzenie ojczyzny ich ojców!

Nowy lwowski talent?

Anna Kleopatra Babiczewa ma 14 lat, jest uczennicą Szkoły Średniej nr 10. Píše wiersze w języku polskim, ukraińskim, rosyjskim. Urodziła się we Lwowie w rodzinie o tradycjach artystycznych. Jej matka Nina Babiczewa jest znaną artystką-malarką, a ojciec Artur Tarnowski dziennikarzem w Polsce. Matka wychowuje córkę samotnie.

Anna Kleopatra uczęszcza do ósmej klasy. Uczy się celując. Niejednokrotnie brała udział w konkursach recytatorskich i poetyckich. Gra na gitarze, komponuje muzykę do swoich wierszy, wiele czasu poświęca projektowaniu strojów własnego stylu – otrzymała nawet dyplom uznania za nie.

Od 2007 r. Kleo wydaje gazetkę szkolną, w której umieszcza własne wiersze, opowiadania. Wielokrotnie pisała do polskich i ukraińskich magazynów młodzieżowych. Jest wesołą, emocjonalną dziewczyną, uwielbia książki, miłość do których przekazała jej mama, do teatru. Kocha Lwów.

Muzy opiekujcie się nią, prowadźcie!

Dni Lwowa w Katowicach

Oddział TMLiKPW w Katowicach, który w tym roku obchodzi jubileusz XX-lecia działalności (obecnie zrzesza ok. 50 rodzin, prezesem jest Stanisław Grossman) zorganizował wspólnie z Górnośląskim Oddziałem „Wspólnoty Polskiej” w dniach 8–10 maja „Dni Lwowa” w Katowicach.

Inauguracja „Dni” odbyła się z udziałem prezydenta Katowic Piotra Uszoka w Bibliotece Śląskiej, w której zaprezentowano część zbiorów nazwanych „Spotkamy się we Lwowie”. Prof. Stanisław Nicieja wygłosił prelekcję dotyczącą współczesnego Lwowa i legendy Kresów Wschodnich.

W niedzielę, w intencji zmarłych założycieli i członków katowickiego TMLiKPW, została odprawiona Msza św. Aktor teatru im. St. Wyspiańskiego Jerzy Głybin recytował „Strofy lwowskie” M. Hemara, a prof. Michałina Growiec z katowickiej Akademii Muzycznej wykonała, przy akompaniamencie organów, dwie pieśni maryjne związane ze Lwowem. Tego dnia na scenie Śląskiego Teatru im. St. Wyspiańskiego aktorzy Lwowskiego Teatru Ludowego wystąpili z komedią M. Hemara „Dwaj Panowie B.”. W holu teatru widzowie mogli obejrzeć pamiątki przywiezione przez ekspatriowanych aktorów Teatru Wielkiego ze Lwowa.

Spotkanie po spektaklu organizatorów „Dni” z lwowskimi aktorami, gospodarzami teatru im. Wyspiańskiego i licznie przybyłymi gośćmi było końcowym akcentem „Dni Lwowa” w Katowicach.

Pomogli przyłączyć Śląsk do Macierzy

2 maja minęła 88. rocznica wybuchu III Powstania Śląskiego. Prof. Zygmunt Woźniczka z Uniwersytetu Śląskiego uważa, że było to polskie powstanie na Śląsku, przygotowane perfekcyjnie przez polski wywiad. Wykorzystano propolskie ciągoty części Ślązaków i zorganizowano oderwanie kawałka niemieckiego państwa oraz przyłączenia go do Polski. Dla wielu Polaków powstania śląskie wpisywały się w ciąg naszych wielkich, romantycznych zrywów.

Z pomocą dla powstańców wyruszyli m.in. kadeci lwowscy. Jeden z nich, kapral Karol Chodkiewicz, potomek sławnego hetmana i zwycięzcy spod Kircholmu, zginął pod Lichynią niedaleko Koźla. W powstaniu brali udział ludzie tak różni jak Michał Żymierski, w 1945 r. marszałek Polski z woli Stalina, i Stefan Korboński, delegat rządu londyńskiego na kraj. Z kolei Adam Remigiusz Grocholski, ziemianin z Podola, uczestnik wojny z bolszewikami, był autorem rozkazu operacyjnego o rozpoczęciu III Powstania Śląskiego – pisze prof. Z. Woźniczka na łamach „GW”.

Dowodem na to, jak duże było zainteresowanie powstaniem śląskim, może być „Kurier Lwowski” – przysłał na Śląsk swojego specjalnego korespondenta Romana Lutmana. Z kolei rada miejska Lwowa na wieść o wybuchu III powstania śląskiego odbyła specjalne posiedzenie w sprawie solidarności i pomocy dla Śląska. Przy pomocy hrabiny Franciszki Skarbkowej Lwów ufundował pierwszy sztandar powstańczy, a delegacja władz miasta pojechała specjalnie do Szopienic, żeby go przekazać.

Polska wyciągnęła rękę i pomogła przyłączyć Śląsk do Macierzy. Z perspektywy historycznej powstania na Śląsku to, oprócz powstania wielkopolskiego, jedno z nielicznych wydarzeń, które nam, Polakom, się udało. Lwów też miał w tym swój udział.

Z Breslau do Lwowa...

... pojechał niemiecki komisarz policji Eberhard Mock, w najnowszej powieści kryminalnej pt. *Głowa Minotaura* wrocławskiego pisarza Marka Krajewskiego, aby z polskim komisarzem policji Edwardem Popielskim wspólnie prowadzić śledztwo w sprawie wrocławskiego zabójcy kanibala, znanego także w lwowskim środowisku przestępczym jako „Minotaur” – popełnił tu identyczne zbrodnie. Komisarz Eberhard Mock jest bohaterem „kryminałów” (przetłumaczonych już na kilkanaście języków) wrocławskiego powieściopisarza. W najnowszej książce Krajewski, z wykształcenia filolog klasyczny, proponuje czytelnikom współczesną reinterpretację mitu o Minotaurze Asterionie w lwowskiej scenarii.

Pisarz przywołuje nieistniejący już świat lwowskich batiarów, lwowskie zaułki, knajpy, gdzie przesiaduje półświatki, żydowskie targowiska z chasydami w charakterystycznych strojach i śpiewną lwowską gwarę, tzw. bałak. Przypomina też genialnych lwowskich matematyków: Stefana Banacha i Hugona Steinhausa, których uczniowie kontynuowali we Wrocławiu tradycje lwowskiej szkoły matematycznej. Krajewski odtworzył szczegółową topografię miasta, złożoność etniczną i

kulturową, a także konflikt polsko-ukraiński na kresach przedwojennej Rzeczypospolitej. Odmalowując miniony świat, podkreśla wyjątkowy związek, jaki łączy przedwojenny Lwów z obecnym Wrocławiem.

Głowę Minotaura czyta się jednym tchem...

Nie tylko obiekt sakralny

Gdy w 2005 r. pożar strawił kaplicę rzymskokatolickiej parafii św. Barbary w Boryslawiu, z pomocą polskiej parafii i jej wiernym pośpieszyli boryslawianie z różnych stron Polski, oddziały Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej. Rok później przystąpiono do budowy nowego kościoła w Boryslawiu.

Świątynia jest już przykryta dachem, zamontowane są okna, rozpoczęto montaż instalacji elektrycznej. W tym roku ma być także zakończona budowa wieży. Obok wzniesiono obiekt gospodarczy, w którym będzie kotłownia, garaż i magazyn parafialny Caritasu. Razem będą tworzyć zaplecze duszpastersko-katechetycznego centrum, stwarzającego możliwości zintegrowania wspólnoty Polaków i ludności o polskich korzeniach w tym mieście i jego okolicy. W części duszpastersko-katechetycznej nowo wzniesionej świątyni znajdzie się sala katechetyczno-lekcyjna, mała pracownia komputerowa, biblioteka i czytelnia oraz sala spotkań ogólnych i okolicznościowych, wyposażona w sprzęt audiowizualny, a także aneks kuchenny.

Marzeniem o. Jakuba Zielińskiego, proboszcza parafii Truskawiec-Boryslaw jest, aby na Boże Narodzenie 2009 modlić się w nowym kościele i mieć do dyspozycji zakrystię i salkę katechetyczną. Wierni parafii i wspólnota zakonna w Truskawcu liczą na dalszą pomoc „ludzi dobrego serca”.

Z. Herbert i „Miasto – Natchnienie”

W Pałacu Sztuki otwarto wystawę monograficzną zatytułowaną „Zbigniew Herbert 1924–1998. Portrety i autoportrety z archiwum pisarza”.

Ekspozycja została przygotowana w oparciu o archiwum Herberta przechowywane w zbiorach Biblioteki Narodowej. Głównym organizatorem wystawy była Fundacja Pomocy Polakom na Wschodzie. W uroczystości otwarcia ekspozycji, z udziałem Metropolity Lwowskiego abp. Mieczysława Mokrzyckiego, uczestniczył Rafał Żebrowski siostrzeniec poety.

Z okazji Światowego Dnia Polonii i Polaków za Granicą, Konsulat Generalny RP we Lwowie oraz Lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizowały w Pałacu Sztuk wystawę pt. „Miasto – Natchnienie”. 32 artystów, Polaków i Ukraińców, zaprezentowało na wystawie swoje prace fotograficzne i obrazy, prezentujące Lwów i jego zabytki, porterty, pejzaże, martwą naturę. Lwów był, tak jak dla Rosjanina Walerego Bortiakowa, ich natchnieniem.

„Moje serce zostało we Lwowie”

To nie są słowa znanej piosenki lwowskiej, lecz tytuł koncertu który się odbył z okazji jubileuszu XX-lecia działalności Oddziału TMLiKPW w Lesznie. Tytuł sym-

boliczny, bo jak się okazuje, nie tylko lwowianie opuszczając rodzinne miasto, zostawili tam swoje serce. Także wielu Wielkopolan, którzy pojechali na wycieczkę do Lwowa, organizowaną latem co roku od lat przez prezesa Janusza Ragankiewicza – zauroczeni miastem Semper Fidelis pozostawili tam swoje serce. Podobno takich jest już wielu...

Zamiast jubileuszowej sesji, akademii, odbył się uroczysty koncert lwowski w Miejskim Ośrodku Kultury, gdzie leszczyńscy lwowiaczy czują się jak u siebie w domu. Tu przez dwanaście lat Janusz Ragankiewicz urządzał Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej „Ta joj!” Tu odbywają się imprezy kresowe, kulturalne, rocznicowe i in. Przybyli sami swoi i sympatycy, a że ich jest wielu, sala była pełna. Zamiast okolicznościowego referatu, ciepło i serdecznie przemówił kapelan Towarzystwa ks. Konrad Kaczmarek, radni miejscy złożyli prezesowi serdeczne życzenia i gratulacje od prezydenta Leszna i okolicznościowy prezent i ... na tym zakończyła się część oficjalna koncertu – do głosu doszły śpiew i piosenka.

Wystąpili, dobrze znani leszczyńskim lwowiakom i lubiani – małżeństwo Ewa i Ryszard Klanieccy, artyści Wrocławskiego Teatru Muzycznego, Maciej Adamczyk z Filharmonii Wrocławskiej, laureaci wspomnianych wyżej festiwali dziecięcych z Domu Kultury w Górze, zespół śpiewaczy „Viola” ze Świątoszowa i inni. To była piękna rewia piosenki i melodii lwowskiej. Wykonawcy zebrali zasłużone brawa. Scenariusz koncertu przygotowała i prowadziła Elżbieta Kuśmirek. Gratulacje!

Po koncercie prezes Ragankiewicz częstował gości szampanem (to nam się podoba!), a ci, którzy chcieli więcej wiedzieć o XX-letniej działalności leszczyńskiego TML – mogli się dowiedzieć z okolicznościowej jednodniówki – gazety pt. „Semper Fidelis”. Leszczyńscy lwowiaczy pokazali lwowską klasę.

Wrzawa wokół samowoli na Chryszczatej

Jak już informowaliśmy, na zboczu Chryszczatej w Bieszczadach nieznani „budowniczości” postawili nielegalnie pomnik z tablicą z dwujęzycznym napisem: *Cześć pamięci żołnierzom UPA poległym 23.01.1947 r. w walce z żołnierzami w obronie podziemnego szpitala. Cześć ich pamięci. Towarzysze broni.*

Władze zdecydowały o usunięciu nielegalnie, bez zezwolenia, postawionego pomnika ku czci UPA (najprawdopodobniej przez ukraińskich turystów z Kanady). 28 kwietnia media poinformowały o likwidacji *samowoli budowlanej w postaci banderowskiego pomnika*. Ocalało jedynie 7 metalowych krzyży, które stały wokół pomnika.

Na tę wiadomość zareagował krytycznie (choć przyznał, że pomnik postawiono nielegalnie) Piotr Tyma, prezes Związku Ukraińców w Polsce. Lwowska Rada Miejska nazwała usunięcie pomnika aktem wandalizmu i domaga się oficjalnego potępienia go przez władze ukraińskie. Zażądali od prezydenta Juszczynki i ukraińskiego MSZ wysłania protestacyjnej noty do polskiego MSZ...

I kto to mówi! Historycznym ulicom we Lwowie nadaje się nazwiska ounowskich zbrodniarzy, stawia po-

mniki Bandery, popiersie Szuchewycza na polskiej szkole, kurhany chwały UPA na Cmentarzu Łyczakowskim, panteon SS Galizien obok Cmentarza Obrońców Lwowa... Te działania są wyrazem wielkiej pogardy wobec ofiar UPA. Protest lwowskich radnych jest kpina z ustaleń umowy polsko-ukraińskiej w sprawie upamiętnień.

A polskie władze wszystkich szczebli milczą ...

100-letnia wrocławianka

„SF” prezentuje kolejną 100-letnią kresowiankę: Aniełę Stojanowską, emerytowaną nauczycielkę. Urodziła się 22 stycznia 1909 r. w Kobyłowlókach, w dawnym województwie tarnopolskim. Maturę zdała we Lwowie, a w Poznaniu, na tamtejszym uniwersytecie, zdobyła tytuł magistra filozofii. Po studiach wróciła w rodzinne strony, we Lwowie podjęła pracę w prywatnym seminarium dla wychowawczyń przedszkoli. Po wybuchu wojny udała się do rodziców na wsi, ale musiała uciekać przed UPA. Schroniła się u brata, udzielała prywatnych lekcji wnućce Kazimierza Przerwy-Tetmajera. W Dynowie, gdzie zamieszkała, prowadziła tajne nauczanie m.in. żołnierzy Armii Krajowej.

W 1946 r. przyjechała do Wrocławia, tu był już jej brat, profesor na uniwersytecie. Podjęła pracę w Archiwum Wojewódzkim, była potem zastępcą dyrektora, tu pracowała do emerytury. Od 1980 r. jest członkiem „Solidarności”. Nigdy nie zerwała ze szkolnictwem, z młodzieżą szkolną, organizowała spotkania, koła tematyczne dla uczniów i całych szkół.

Jubileusz setnych urodzin pani Aniela obchodziła wraz z rodziną i uczennicami, które nie zapomniały o Niej. Jubilatkę odwiedził Rafał Dutkiewicz, prezydent Wrocławia, który w imieniu mieszkańców i własnym złożył Jej najserdeczniejsze życzenia. Dołącza się do nich „Semper Fidelis”.

Z ostatniej chwili

26 maja br. odbyło się posiedzenie Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód, które podjęło decyzję o powierzeniu stanowiska p.o. Prezesa dr. Tadeuszowi Samborskiemu, pełniącemu dotychczas funkcję wiceprezesa. T. Samborski urodził się 8 sierpnia 1945 r. Polityk, dziennikarz, historyk i dyplomata, poseł na Sejm. Jego korzenie to Ziemia Lwowska, a matczynikiem Rogów Legnicki położony w gminie Prochowice w powiecie legnickim.

Sprawował mandat posła na Sejm II i IV kadencji z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego, wybranego w okręgu legnickim, był członkiem Komisji Kultury i Środków Przekazu pełniąc funkcję prezesa Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Od 2002 r. jest prezesem Stowarzyszenia Kulturalnego „Krajobrazy” w Legnicy, organizuje wiele akcji na rzecz Polaków zamieszkałych na Wschodzie, m.in. „Dzieci Lwowskie Gośćmi Piastowskiej Ziemi Dolnośląskiej” oraz „Legnickie Dni Kultury Kresowej, stale współpracuje m.in. z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz Związkiem Polaków na Litwie. Organizuje wyjazdy do Lwowa i na Kresy.

Swoją głęboką wiedzę i znajomość spraw wschodnich zdobył podczas kilkuletniej pracy korespondenta prasy ludowej na Wschodzie.

Więści ze Lwowa

● Metropolita Lwowski abp M. Mokrzycki w Katedrze Lwowskiej wyświęcił 9 maja br. trzech nowych kapłanów: ks. Tadeusza Legowicza z Mościsk i ks. Andrzeja Bezkorowajna ze Złoczowa dla Archidiecezji Lwowskiej oraz ks. Andrzeja Borkowskiego należącego do Wspólnoty Księża Salezjanów.

● Lwów ma szansę zostać jednym z czterech ukraińskich miast – gospodarzy piłkarskich mistrzostw EURO 2012. O ile do 30 listopada br. miasto nadrobi wszystkie opóźnienia w przygotowaniach – postawiła warunek UEFA. Narazie rozpoczęto budowę nowego stadionu przy ul. Stryjskiej.

● Otwarto nowe muzeum: „Muzeum Historii Poczty” w XVI-wiecznej kamienicy – pałacu Bandinellich w Rynku. W urządzeniu go pomogło wrocławskie Muzeum Poczty i Komunikacji. Można zobaczyć niezwykle ciekawe eksponaty, w tym wiele polskich.

● Trzy dni (9–11 maja) świętowano 753. rocznicę Lwowa. Przez miasto jechali na koniach rycerze i książę Daniel, stare samochody, maszerowały kolorowe zespoły artystyczne, ludowe i sportowe, odbyły się liczne koncerty i spektakle. W międzynarodowym jarmarku na Rynku uczestniczyli twórcy ludowi z Polski.

● Pod patronatem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie odbył się I konkurs wiedzy o języku i kulturze polskiej „Znasz-li ten kraj” dla dzieci polskich. Uczestniczyło 26 uczniów młodszych i 67 starszych. Laureatami zostały: Zofia Rewkowycz z Borysławia i Anna Rabarska z Kałuszyna.

● Nowa atrakcja turystyczna Lwowa: w każdy weekend o godz. 10 rusza z Rynku na przejażdżkę po mieście mechaniczny „pociąg”, z pseudoparowozem i wagonami. Czas przejazdu ok. półtorej godziny. Ostatni kurs o godz. 16. Cena biletu 30 hrywien. Jeżdżą dwa takie „pociągi”. Każdy mieści 56 osób.

● 1,5 mln turystów odwiedziło Lwów w ub. roku.

● Uczniowie X i XI klasy polskiej szkoły nr 10 przez tydzień byli gośćmi wielkopolskich kolegów, uczniów szkoły w Swarzędzu. W czasie pobytu zwiedzili Gnieźno, poznańską Starówkę, byli na spektaklu w Operze Poznańskiej. Pożegnali gościnnych gospodarzy podarunkami i programem artystycznym „Lwów miasto poetów”.

KRONIKARZ KRESOWY

Errata

Inicjatorem nadania IV LO w ZSO nr 1 w Gliwicach imienia Orląt Lwowskich był prezes Oddziału TMLiKPW w Gliwicach **Alfred Kaziewicz**, a nie członek ZG Marian Gryniewicz i prezesi TMLiKPW regionu śląskiego – jak podaliśmy w „SF” nr 1/2008 – mylnie poinformowani. Przepraszamy prezesa A. Kaziewicza i Czytelników.

Kazimierz Górski nie grał w barwach lwowskiej „Pogoni”, lecz w barwach RKS, tj. Robotniczego Klubu Sportowego, jak mylnie poinformowałem w informacji o reaktywowaniu lwowskiej „Pogoni”. Choć nie jestem daltonistą, pomyliłem kolory. Przepraszam Czytelników.

Kronikarz Kresowy

Andrzej Przewoźnik o pomniku ofiar OUN-UPA

(Przedruk z „Naszego Dziennika” z dn. 17.03.2009 r.)

Na jakim etapie jest projekt budowy pomnika Ofiar Ludobójstwa Dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich?

– Otrzymaliśmy propozycje od władz miasta co do lokalizacji pomnika. Mieliśmy jedno spotkanie z przedstawicielami środowisk kresowych i nie ma tu jeszcze jednoznacznego stanowiska. Przygotowujemy w tej chwili kolejną, szerszą konferencję, żeby przeprowadzić z nimi konsultacje, które z miejsc nam zaproponowanych byłoby najlepsze dla lokalizacji pomnika, która będzie zaakceptowana i przedstawiona władzom Warszawy. W tych rozmowach będą oczywiście uczestniczyć przedstawiciele środowisk i władz Warszawy, bo tutaj jest wola, żeby dojść do porozumienia i wspólnie tę rzecz wykonać.

Będzie porozumienie w sprawie formy pomnika?

– Zakładamy – i to od razu mówię – że w momencie, kiedy wybierzemy miejsce, będziemy ogłaszali konkurs na wykonanie pomnika, bo takie są procedury. Jeżeli mamy w to zaangażować publiczne środki finansowe, wtedy nie możemy tego zrobić bez zastosowania procedur. A te wyraźnie mówią, że należy przeprowadzić konkursy, przetargi – i tak też umówiliśmy się z władzami miasta. Otworzyły się one na propozycję, żeby taki pomnik wybudować, i na to, że w momencie, kiedy podejmą decyzję co do jego lokalizacji – a wcześniej będzie to skonsultowane ze środowiskami kresowymi – wtedy zostanie uruchomiony konkurs.

Kto będzie decydował o wyniku przetargu?

– Mamy z władzami Warszawy wstępną umowę, że będzie to wspólne działanie ROPWiM oraz władz mia-

sta, ponieważ byliśmy inicjatorami, żeby tego rodzaju pomnik od strony formalnej powstał w Warszawie. W związku z tym na pewno powołamy całą komisję i zostaną dobrani specjaliści, którzy będą wypowiadali się od strony ideowej, artystycznej itd.

Ogólnopolski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Ludobójstwa Dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich uważa, że nikt bardziej nie ma prawa i obowiązku decydować o formie pomnika aniżeli spadkobiercy i uczestnicy tych zdarzeń...

– A ludzie z innych środowisk kombatanckich, ich przedstawiciele, którzy współpracują z nami i mają też swoje własne doświadczenia, bo stracili rodzinę albo sami się uratowali, nie mają prawa? Myślę, że rzecz nie polega na tym, kto ma tutaj palmę pierwszeństwa, mniejsze czy większe prawo moralne lub inne, ale na tym, żeby rzeczywiście wreszcie ten pomnik w Warszawie powstał.

Czy w komisji, która zadecyduje o wyniku konkursu na wygląd pomnika, będą zasiadali przedstawiciele środowisk kresowych?

– Nie wyobrażam sobie, żeby nie było tych ludzi. Tym bardziej, że zrobiliśmy już jeden wielki konkurs na cmentarz katyński i udało się pogodzić jury, które było obszerne, jeśli chodzi o liczbę osób w nim zasiadających. Byli to przedstawiciele rodzin katyńskich oraz specjaliści, architekci, rzeźbiarze itd. W jury zasiadali także architekci i rzeźbiarze, którzy wywodzili się z tego katyńskiego środowiska. Zatem organizacja przetargu na pomnik ofiar OUN-UPA na pewno w takim kierunku będzie zmierzała. □

Tadeusz Kukiz

Roman Aftanazy

7 czerwca tego roku minęła piąta rocznica zgonu Romana Aftanazego, kustosa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, autora monumentalnego wieloksięgu *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Znaczenie jego dzieła dla historii i kultury polskiej jest trudne do przecenienia.

Urodził się 2 kwietnia 1914 r. w Morszynie koło Stryja w województwie stanisławowskim, w rodzinie urzędnika kolejowego. W Morszynie uczęszczał do szkoły powszechnej, w Stryju do wówczas jeszcze ośmioklasowego Gimnazjum Klasycznego, z nauką greki i łaciny; maturę uzyskał w 1934 r. Studia wyższe w zakresie historii, rozpoczęte we Lwowie w 1934 r. na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza i kontynuowane na tajnym nauczaniu, ukończył w 1942 r. Na podstawie pracy *Szkolnictwo polskie w czasach Księstwa Warszawskiego (1807–1816)* Rada Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu (stanowiły

wtedy jedną uczelnię) nadała mu stopień magistra filozofii.

Podczas II wojny światowej, od stycznia 1940 r., pracował w Zarządzie Zdrojowym w Morszynie; od kwietnia 1944 r., przez prawie dwa lata, był pracownikiem różnych działów Biblioteki Ossolineum we Lwowie; po bombardowaniu miasta wiosną tego roku brał udział w zabezpieczaniu zbiorów, także w przenoszeniu do klasztoru i podziemi kościoła Dominikanów. Na początku stycznia 1945 r., zapewne wskutek donosu, że brał udział w rozpowszechnianiu pism konspiracyjnych, został aresztowany przez NKGB i osadzony w więzieniu przy ul. Łackiego. Przetrzymywany był przez cztery miesiące i poddawany ciężkiemu śledztwu.

Kiedy po latach 1945–1946 w wyniku zarządzeń ukraińskich władz partyjno-rządowych, w Bibliotece Ossolineum dokonywano wydzielenia z jej zbiorów dzieł do tzw. „daru” narodu ukraińskiego dla Polski, prace te zlecono pracownikom polskim, wśród nich Romanowi Aftanazemu, z tym że ostateczne decyzje co do zawartości tego „daru” podejmowała strona ukraińska. Udało się jednak przemyścić trochę wydawnictw lwowskich

książek dotyczących ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Wraz z prof. Mieczysławem Gębarowiczem oraz kilkoma najbardziej zaufanymi pracownikami Ossolineum i we współpracy z Dominikanami (głównie z o. Pawłem Kielarem) Aftanazy uczestniczył w potajemnym przewożeniu do Polski części niezinventaryzowanych zbiorów, sam zaś, wyjeżdżając ze Lwowa w 1946 r. przewiózł i zdeponował w Bibliotece Jagiellońskiej komplety niektórych lwowskich pism konspiracyjnych. W lipcu 1946 r. był członkiem wrocławskiej delegacji, która w Przemyślu przejmowała pierwszą partię zbiorów Ossolińskich, zwaną cynicznie „darem” oraz zbiory muzealne i Panoramę Raclawicką; w marcu 1947 r. na przejściu granicznym w Medyce uczestniczył w odbiorze drugiej części.

Po osiedleniu się we Wrocławiu początkowo pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej. W czerwcu 1948 r. powrócił do Ossolineum, gdzie zatrudniony został na stanowisku kustosa (tak też był tu zawsze tytułowany) – kierownika Działu Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów. Jego zabiegi i starania w antykwariatach, na aukcjach, a także w księgozbiorach prywatnych, zwłaszcza podworskich, owocowały pozyskiwaniem nierzadko bezcennych książek. W ciągu trzydziestu dwóch lat pracy doprowadził do czterokrotnego wzrostu zbiorów; przez jego ręce przeszły niemal wszystkie książki zgromadzone w tym czasie.

W roku 1981 został emerytem, ale zatrudniony był jeszcze w niepełnym wymiarze godzin do października 1987 r. Wieloletnią pracę Romana Aftanazego w Bibliotece Ossolineum upamiętniono bibliofilską publikacją z okolicznościowym przemówieniem dyrektora i przedrukami dwóch najwcześniejszych wrocławskich artykułów Kustosza: *Jak zbiory Ossolineum odbyły drogę do swej ostatecznej siedziby...* i *Gmach św. Macieja. Siedziba Ossolineum we Wrocławiu*. Właśnie w tym najwcześniejszym okresie zamieszkania we Wrocławiu, już parę miesięcy po przyjeździe i w kilku następnych latach, Roman Aftanazy ogłosił we wrocławskiej prasie wiele artykułów o tym mieście, o Dolnym Śląsku i Ossolineum, pragnąc zapewne przybliżyć je nowym mieszkańcom. Później w prasie już nie publikował; powrócił do rozpoczętego przed wojną gromadzenia materiałów i opracowywania dziejów rezydencji.

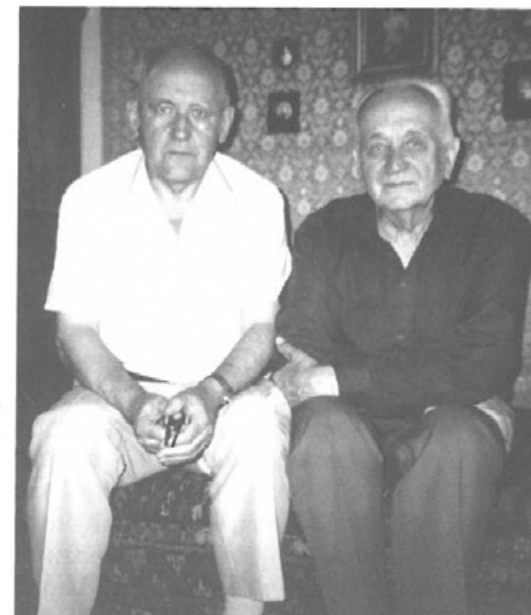
Jak to nieraz bywa, jego zainteresowanie tą tematyką, które z czasem przerodziło się w pasję, powstało dość przypadkowo. Oto przyjeżdżając do Morszczyna Zdroju na kurację Jadwiga Smolkówna, siostra właścicielki dóbr w Nowoszybach na Polesiu, Marii Ordziny (z tej rodziny wywodził się słynny rysownik Napoleon Orda), poznała matkę Romana Aftanazego i kiedyś zapytała ją, czy syn chciałby zobaczyć prawdziwy dwór polski, taki, jaki opisują Rodziewiczówna i Weysenhoff. Kilkunastoletni wówczas chłopak był tą propozycją zachwycony. Dwór nowoszycki był niewielki, ale stylowy, staropolski, miał wszystkie dobre cechy ziemiańskie, a niedaleko znajdował się dwór szczególnie później przez Aftanazego ulubiony: przepiękny Mołodów Skirmunttów. Przyszły autor *Dziejów rezydencji* już wówczas miał „jakąś podświadomą pewność, że życie ziemiańskie w takiej postaci, w jakiej istniało dotąd, kończy się”. Zaczął fotografować te dwory „na pamiątkę”. Jeździł do innych dworów i pałaców, także w głąb Polski, i je fotografował,

a czasem opisywał i publikował w popularnych pismach, takich jak „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Światowid”, „As”. Do 1939 r. ogłosił co najmniej kilkanaście artykułów pod pseudonimem Ksawery Niedobitowski. Nawiasem: Obecnie, zdaje się, mało kto wie, że pod tym pseudonimem krył się dwudziestokilkuletni Roman Aftanazy. Np. w poprzednim numerze „Semper Fidelis” cytuję Niedobitowskiego p. Marta Jucherska, nie wspominając, że to tekst późniejszego autora *Dziejów rezydencji*... Zebrane przed wojną materiały ikonograficzne kilkudziesięciu dworów i pałaców szczęśliwie ocalały i kiedy w 1946 r. Aftanazy znalazł się we Wrocławiu, zaczął się zastanawiać, co z nimi dalej robić. Wobec utraty przez Polskę ziem wschodnich, zdecydował, że zajmie się wyłącznie rezydencjami na Kresach i to w granicach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Postanowił bowiem udokumentować świat kultury ziemiańskiej, który pozostał poza granicami Polski.

W pierwszych dziesięcioleciach PRL wyjazd do położonych tam miejscowości był praktycznie niemożliwy, toteż źródłami informacji – oprócz archiwów, bibliotek i muzeów – mogły być tylko relacje ostatnich właścicieli. Aftanazy szukał ich po całym świecie. Opracował szczegółową ankietę i codziennie wysyłał kilka listów; robił to przez ponad czterdzieści lat i – jak szacował – wysłał kilkadziesiąt tysięcy listów. Nierzadko do tej samej osoby trzeba było pisać kilkakrotnie, by w końcu otrzymać kompletne informacje o opisywanym obiekcie. Oprócz ankiet zgromadził około 7000 rycin i fotografii, które po wykonaniu odbitek odsyłał. Zebrane materiały stanowiły podstawę do opracowywania dziejów blisko 1500 rezydencji. A wszystko to robił w godzinach popołudniowych i wieczorami, poświęcając cały swój wolny czas, gdyż w okresie PRL o temacie dworskim ówczesna rada naukowa Biblioteki Ossolineum nawet słyszeć nie chciała. Nie otrzymał też od nikogo wsparcia moralnego ani finansowego. Po latach mówił: „Samotność pomogła mi w tej pracy” (nie założył bowiem rodziny). Cały czas nie miał najmniejszej nadziei, że ta praca ukaże się w druku. A jednak... Do jej wydania przyczynił się przede wszystkim wybitny historyk sztuki prof. Tadeusz Chrzanowski, który namówił Andrzeja Ciechanowieckiego, znanego londyńskiego kolekcjonera, do sfinansowania druku. Obaj zwrócili się do dyrektora Instytutu Sztuki PAN w Warszawie prof. Stanisława Mossakowskiego, który po krótkim wahaniu wyraził zgodę na publikację. Cenzura jednak ograniczała nakład do 200 egzemplarzy i to pod warunkiem, że będą dostępne jedynie pracownikom naukowym. Redaktor dzieła, Andrzej Baranowski „wymyślił” tytuł *Materiały do dziejów rezydencji* – bez sprecyzowania, że chodzi o Kresy Wschodnie. Ostatecznie pierwsza część, obejmująca cztery tomy, ukazała się w nakładzie 500 egzemplarzy, a część druga (7 tomów) – w 1000. Całość wyszła w latach 1986–1993 i obejmuje 11 tomów, każdy w dwóch woluminach: oddzielnie tekst i oddzielnie ilustracje. Na pierwszej stronie każdego tomu widnieje nazwisko fundatora – Andrzej Ciechanowiecki. Jeszcze przed ukończeniem edycji Instytutu Sztuki zaczęły ukazywać się tomy drugiego wydania (w większym formacie i w wysokim nakładzie), rozpoczętego we Wrocławiu przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; tym razem ilustracje zamieszczono łącznie

z tekstem. Nowy tytuł – *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej* – już odpowiadał treści dzieła; wyszło ono w latach 1991–1997.

Jak wysoko ocenione jest dzieło życia Romana Aftanazego świadczą liczne nagrody, którymi został za nie obdany i to jeszcze przed ukazaniem się pierwszej edycji w całości (ale pisał do mnie: „Nie moja to zasługa, lecz tematu”). Pierwsza nagroda nadeszła z Ministerstwa Kultury, po niej Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (z Londynu) i z Polskiej Akademii Nauk.



Roman Aftanazy z autorem artykułu.
Wrocław, lipiec 2001 r.

W latach następnych otrzymał kolejne nagrody: Fundacji Władysława i Nelly Turzańskich z Toronto, Rady Miasta Wrocławia, Redakcji „Przeglądu Wschodniego”,

nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka, a przede wszystkim – najabrdziej prestiżową – nagrodę Fundacji Nauki Polskiej, zwaną polskim Noblem. Co najmniej część pieniędzy uzyskanych z nagród (a może wszystkie) przeznaczył na cele społeczne.

Kiedy 2 kwietnia 2004 r. kończył 90. rok życia wzbierał się przed juleuszem. Skromna uroczystość odbyła się w jego mieszkaniu w jednym z wrocławskich wieżowców: dyrektor ZNiOss. dr Adolf Juzwenko i przewodniczący Rady Kuratorów Zakładu prof. Janusz Degler złożyli Romanowi Aftanazemu życzenia i wręczyli List Gratulacyjny, w którym napisano m.in.: „Pana wielkie dokonania patriotyczne, biblioteczne i naukowe stanowią piękną kartę w dziejach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”. Jubileusz ten odnotowała wrocławska prasa.

Roman Aftanazy do końca życia zachował jasność i żywotność umysłu, poczucie humoru, wielką życzliwość dla ludzi, także dla mnie. Osobiście bardzo sobie cenię, że miałem szczęście spotkać Go na swojej życiowej drodze. Zmarł 7 czerwca 2004 r.; uroczystości pogrzebowe odbyły się we Wrocławiu i w Warszawie; urna z jego prochami została złożona w grobie na Cmentarzu Powązkowskim.

5 czerwca tego roku staraniem Dyrekcji Zakładu w Zaułku Ossolińskich we Wrocławiu została umieszczona tablica memoratywna następującej treści: ROMAN AFTANAZY (1914–2004). HISTORYK KULTURY. ABSOLWENT UNIwersytetu JANA KAZIMIERZA. OD ROKU 1944 PRACOWNIK ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE, A PO WOJNIE W LATACH 1946–1981 WE WROCŁAWIU. UCZESTNICZYŁ W PRZEWÓŻENIU ZBIORÓW OSSOLINEUM ORAZ PANORAMY RACLAWICKIEJ ZE LWOWA DO WROCŁAWIA. AUTOR MONUMENTALNEGO DZIEŁA „DZIEJE REZYDENCJI NA DAWNYCH KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ”.

Henryk Mitraszewski Ze Lwowa w Karkonosze



Stanisław
Bialikiewicz

Dr Stanisław Bialikiewicz, syn Józefa i Marii, urodził się dnia 8 lutego 1905 roku we Lwowie, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej, a następnie do III Gimnazjum im. Stefana Batorego. Po ukończeniu gimnazjum rozpoczyna studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, które kończy otrzymując tytuł doktora. Kończy również studia w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego. Podejmuje pracę w Banku Gospodarstwa Krajowego we Lwowie na stanowisku proku-

renta i jest tam zatrudniony do września 1939 roku, tj. do wybuchu II wojny światowej.

W okresie młodości S. Bialikiewicza działalność sportowa na Kresach II Rzeczypospolitej dopiero się rozwijała. We Lwowie powstają m.in. Akademicki Klub Turystyczny (z wieloma sekcjami), Karpackie Towarzystwo Narciarzy. Od najmłodszych lat interesował się sportem. Jego pasją było narciarstwo i kajakarstwo. Terenami wspaniale nadającymi się do uprawiania turystyki i narciarstwa były niedalekie Karpaty Wschodnie. Organizowano w niedziele i święta zbiorowe wycieczki, konkursy skoków i jazdy norweskiej. Warto przypomnieć, że dopiero w sezonie zimowym 1912–1913 zaczęto używać we Lwowie dwa kijki narciarskie, za sprawą norweskiego instruktora W. Werenskiolda.

Młody ambitny Stanisław potrafił pogodzić naukę, a w późniejszym okresie życie rodzinne oraz pracę z aktywnością sportową. Był członkiem Karpackiego Towarzystwa Narciarzy i Polskiego Związku Kajakarzy. Organizował i uczestniczył w spływach kajakowych. W 1926 roku wspólnie z prof. Tadeuszem Owsińskim odbył wyprawę łodzią wiosłową ze Lwowa do Konstan-

tynopola. Fragment tej trasy powtórzył w 1935 roku z żoną Krystyną (z d. Sichulską), płynąc z Kerlibaba (Rumunia) Złotą Bystrycą, Seretem, Dunajem, Morzem Czarnym do Konstancy.

Jako działacz KTN brał udział w wyprawach narciarskich w pasmach Bieszczadów Wschodnich, Gorganów i Czarnohory. Startował we wszystkich zawodach narciarskich, które organizowano najczęściej we Lwowie i Sławsku (przedwojenny ośrodek narciarski KTN w Bieszczadach Wschodnich). Narciarstwo uprawiano m.in. na stokach Trościana (1253 m), Zielonego Wierchu (1000 m), Wysokiego Wierchu (1245 m) i górze Stoh (1679 m).

Dr Stanisław Bialikiewicz był wybitnym narciarzem, uprawiając różne dyscypliny zawsze plasował się na czołowych miejscach:

- 1922 r., Worochta – trzecie miejsce w biegu,
- 1922 r., Sławsko – pierwsze miejsce w biegu i drugie w skokach,
- 1922 r., Tuchla – drugie miejsce w zjeździe,
- 1923 r., Zakopane – trzecie miejsce w biegach podczas II Międzynarodowych Zawodów,
- 1924 r., Krynica – drugie miejsce w zjeździe podczas III Międzynarodowych Zawodów,
- 1924 r., Sławsko – drugie miejsce w biegu i trzecie w skokach,
- 1924 r., Lwów – zostaje Mistrzem Lwowa,
- 1925 r., Lwów – pierwsze miejsce w skokach,
- 1927 r., Sławsko – pierwsze miejsce w zjeździe.

Lista jego sukcesów sportowych jest bardzo długa. W 1936 roku bierze udział w akcji poszukiwawczej narciarzy zasypanych przez lawinę w kotle Howerli.

Podkreślić należy, że był nie tylko wybitnym narciarzem, wodniakiem, kierowcą, ale też świetnym fotografikiem. Wykonane przez niego zdjęcia umieszczano w wielu czasopismach, przewodnikach turystycznych, wydawnictwach książkowych przedwojennych i powojennych. Kazimierz Sasse-Tobczyk, redaktor trzytomowego dzieła pt. „W skałach i lodach świata” (1959), stwierdza, że „zdjęcia dr. St. Bialikiewicza należą do najciekawszych fotografii historycznych”.

Praca w banku, aktywne życie sportowe są brutalnie przerwane we wrześniu 1939 roku przez wybuch II wojny światowej – zostaje powołany do wojska. Jako porucznik 40 pułku piechoty bierze udział w obronie Lwowa przed Niemcami.

Dnia 21/22 września 1939 roku Niemcy przekazują Lwów Armii Czerwonej. Dowództwo sowieckie zapewnia, że oficerowie WP po złożeniu broni wyjdą bezpiecznie ze Lwowa i będą wolni. Z placu Bernardyńskiego dr St. Bialikiewicz z grupą polskich oficerów wyruszył do Winnik. Na ul. Łyczakowskiej zostali podstępnie otoczeni przez żołnierzy sowieckich i pod bagnietami doprowadzeni do Winnik. Tam po noclegu na belach tytoniu w fabryce papierosów rano załadowani do bydzących wagonów, a transport skierowany do Katynia. Dr St. Bialikiewicz dokonuje brawurowej ucieczki z transportu. Przez okres miesiąca, pieszo, najczęściej nocami wraca do Lwowa, gdzie się ukrywa. Nawiązuje kontakt z ruchem oporu i prowadzi działalność konspiracyjną. W czerwcu 1941 roku, gdy ponownie do Lwowa wkraczają Niemcy, zostaje aresztowany pod zarzutem handlu złotem. Po kilkudniowym pobycie w areszcie, zostaje zwolniony z braku

dowodów winy. Działalność konspiracyjną w ruchu oporu prowadził do końca wojny. Był mianowany delegatem rządu londyńskiego, ściśle współpracował z Tadeuszem Tabaczyńskim.

Po zbombardowaniu w 1944 r. Lwowa i wobec zbliżającego się frontu sowieckiego dr St. Bialikiewicz wraz z żoną Krystyną i synem Jerzym wyjechali do Zbylitowskiej Góry (koło Tarnowa) zostawiając na pastwę losu własny dom zbudowany w 1938 roku. Zamieszkali w majątku Franciszka hr. Żaby (rejon aktywnej działalności AK). Podejrzewany o kontakty z AK zostaje kolejny raz aresztowany przez Gestapo i przewieziony do więzienia w miejscowości Pławna. Po kilku dniach wobec przedstawienia wiarygodnego alibi zostaje zwolniony.

W listopadzie 1944 roku, gdy wojska sowieckie zbliżają się w kierunku Dunajca, ewakuował się wraz z rodziną do Zakopanego. Zamieszkali w domu leśniczego Andrzeja Krzeptowskiego przy ul. Kościeliskiej w Krzeptówkach. Dnia 6 stycznia 1945 roku patrol niemiecki aresztował dr. St. Bialikiewicza, gdyż nie posiadał potwierdzenia miejsca pracy. Po dwóch dniach pobytu w „areszcie”, w sali balowej hotelu „Morskie Oko”, został wyreklamowany do pracy w kamieniołomie przez znajomego Janusza Kobylańskiego, który podczas pobytu we Lwowie ukrywał się u Bialikiewiczów.

Natychmiast po zakończeniu wojny zostaje wezwany do Krakowa przez organizujące się tam władze polskie. Jako delegat rządu zostaje skierowany do Legnicy celem ewidencji oraz przejmowania zakładów przemysłowych na Ziemiach Zachodnich. Gdy Legnicę zajmuje sztab Rokossowskiego zostaje przeniesiony do Jeleniej Góry. W październiku 1945 roku rozpoczął pracę w Banku Gospodarstwa Krajowego i wkrótce został mianowany dyrektorem tej placówki. W latach 1963–1970 pracował w Powiatowym Wydziale Sportu i Turystyki, do chwili odejścia na emeryturę.

Również po wojnie dr St. Bialikiewicz aktywnie uprawiał narciarstwo i turystykę. Działal społecznie dzieląc się swym doświadczeniem. Był inicjatorem powołania do życia w Karkonoszach Górskiego Pogotowia Ratunkowego – posiadał odznakę nr 392. W roku 1967 z okazji 15-lecia tej organizacji zostaje odznaczony imienną odznaką „SUDETY GOPR 1952–1967”. Po zejściu lawiny w Białym Jarze (20 marca 1968 r.) kieruje akcją ratowniczą. Wytyczał szereg tras narciarskich. Dzięki jego staraniom i negocjacjom z dyrekcją KPN powstała m.in. trasa narciarska „Lolobrygida”. To właśnie dr St. Bialikiewicz zainspirował swojego znajomego dr. inż. Zbigniewa Schneigerta, który zaprojektował i nadzorował budowę pierwszych wyciągów krzesełkowych po polskiej stronie Karkonoszy.

Był jednym z nielicznych w tym czasie sędziów narciarskich klasy międzynarodowej FIS. Uhonorowany wieloma odznaczeniami i dyplomami za działalność na rzecz rozwoju turystyki i narciarstwa w kraju i naszym regionie. Był człowiekiem skromnym, uczynnym, oddanym społecznikiem. Potrafił pogodzić życie rodzinne, pracę zawodową z aktywną działalnością społeczną i sportową.

Zmarł 9 kwietnia 1982 roku, został pochowany na cmentarzu komunalnym w Jeleniej Górze. □

Aleksandra Owsieńska

Wspomnienia najbliższe sercu...

1

Lwów – mój Boże, miasto cudownego dzieciństwa, beztroskich dni, ciepła niepowtarzalnej miłości i dobroci Rodziców i Dziadków, pierwszych niezdamnych samodzielnych kroków małego szkraba.

Pierwsze słowa – Mama, Tata – opiekuńczy dotyk rodzicielski, pierwsze spacer.

Właśnie spacer po Lwowie.

Po tym jedynym w świecie mieście, gdzie słońce nigdy nie gasło, gdzie ludzie byli zawsze wszystkim życiowi, gdzie nie było obłudy, zakłamania i fałszu.

Gdzie najpiękniejsza zieleń parków¹⁾, gdzie najdźwięczniejsze śpiewy ptaków, gdzie najbardziej polska historia murów i nekropolii.

Po tym mieście, w aurze beztroski, było mi dane chodzić zaledwie sześć lat, do dnia naszej narodowej tragedii – 1 września 1939 r. I nastąpiła wojna, Lwów zszarzał i krwawił...

Droga, Czytelniczko, drogi Czytelniku – o ile jesteś w jakikolwiek sposób emocjonalnie związana(-y) z tym Miastem, może poprzez koligacje rodzinne, może krajoznawczo i turystycznie, zapewne zrozumiesz moją miłość i nostalgię za tym, co utracone tak niesprawiedliwie.

W naszych kolejnych spotkaniach postaram się – razem z Państwem – odświeżać miniony czas, przemierzać niezapomniane ulice i wspominać tradycje rodzinne mieszkańców grodu zawsze wiernego.

Dziś – ze względu na zbliżający się miesiąc pamięci – listopad – zatrzymamy się u wrót bramy wejściowej na Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Orląt, Obrońców Lwowa – głównie z lat 1918–1920.

Obie nekropolie, różniące się wiekiem istnienia (pierwsza – ostatnie dwudziestolecie XVIII w., druga – pierwsze dwudziestolecie XX w.), dla mieszkańców Lwowa były sercem i pamięcią. Łyczaków – symbol i wizytówka lwowskiej kultury i miejsce spoczynku luminarzy lwowskich, polskich i europejskich, myśli twórczej, sztuki, nauki (Banadr, Abraham, Axentowicz, Belza, Godebski. Zapolska, Konopnicka, Grottger i wielu, wielu innych; Orlęta – chwała, zaduma i wdzięczna pamięć o żołnierzach, młodzieży i dzieciach, które w porwie dobrze rozumianego patriotyzmu własną krew obroniły polskość Lwowa przed rebelią ukraińską z 1 listopada 1918 r. (np. Janek Bitschan – jeden z najmłodszych, 14-latek). I tak jak Cmentarz Łyczakowski był Sepulcrum Patriae – Grobem Ojczyzny, tak Cmentarz Orląt był Campo Santo – miejscem uświęconym krwią Bohaterów.

Z tego cmentarza też – za sprawą gen. Władysława Sikorskiego – w 1925 r. ekshumowano zwłoki jednego z poległych i spoczęły one w Warszawie, tworząc Grób Nieznanego Żołnierza.

Dziś Cmentarz Orląt jest zrekonstruowany i odnowiony – ale czy na długo?

Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki były dla lwowian dniami modlitw, pamięci i wdzięczności dla tych, którzy odeszli. Całymi rodzinami szli na groby, niosąc świece, znicze i obowiązkowo białe chryzantemy w doniczkach.

Na cmentarzu przebywało się długo – były to modlitwy i rozmowy już ze świętymi obcowania. Nikt się nie

śpieszył, nastawał wieczór, niejednokrotnie padał śnieg. Poważny, zadumany, refleksyjny Lwów żywych wracał do domów, a na Łyczakowie i Orlętach dogasały światła żywego ognia.

I tak pisał Witold Szolginia:

*Urody swej istnym rajem
Śmiało być może nazwane –
Pyszny starodrzew, śliczne gaje,
Duktami alej przecinane –
Oto niezwykły Hades lwowski.
Zwany cmentarzem Łyczakowskim...*

2

We Lwowie już zima.

Grudzień – biały puch otula wszystko: kamienice, parki, ulice, kościoły, skwery. Mróz jeszcze nie dokucza, ale już jest.

A przed nami okres najpiękniejszych, najbarwniejszych i najbardziej rodzinnych dni: Boże Narodzenie i wyprzedzający je Święty Mikołaj.

Dla naszych rodziców – to okres przygotowań, planów, zakupów, a dla nas, dzieciaków – okres gorączkowych wyczekiwań, marzeń i nadziei. Co też przyniesie św. Mikołaj, czy zawsze byłem grzeczny – czy będą wymarzone zabawki, książki, laski, czy tylko... różga?

Ale najpierw, obowiązkowo, list do św. Mikołaja, położony wieczorem na parapecie okna. Zniknął, więc odebrany; teraz – czekanie...

No i nadszedł upragniony dzień. Tata, dziadzio, wujek (różnie z tym bywało), majestatycznie przebrany i ucharakteryzowany, a z nim wór prezentów. Przemowa wysłannika Niebios, obowiązkowy pacierz malucha – no i prezenty w garści. Więc jednak byłem grzeczny! Drobne rączki rozpakowują pudła, worki, a tam – istne cuda. Na buzi wypieki, a z boku ukochani Rodzice i Dziadkowie z łezką szczęścia w oku towarzyszą rozradowanemu malcowi.

Tam, we Lwowie, kochało się naprawdę całym sercem, a nie tylko deklaracją słowną. Może właśnie dlatego my, przedwojenna dzieciarnia, po latach umieliśmy prawdziwie i całkowicie bezinteresownie kochać i szanować naszych już starych, nieraz schorowanych i nieporadnych Rodziców i Dziadków. Odebraliśmy to w genach i przykładach od naszych przodków.

Ale wracajmy do przedwojennego Lwowa. Minął dzień 6 grudnia, ale przed nami Boże Narodzenie. W domach – okres przygotowań, porządków i zakupów kolejnych podarunków. Przyjdzie bowiem Aniołek. Bo we Lwowie św. Mikołaj przychodził tylko 6 grudnia, a w Noc Wigilijną przylatywał Aniołek. W dzień poprzedzający Wigilię u nas w domu drzwi do olbrzymiego salonu były ściśle zamknięte (naturalnie dla mnie). Było jasne – Aniołek musi mieć spokój.

Wreszcie – Wigilia.

W jadalni (we Lwowie nie było pokoju stołowego, tylko jadalnia) stół przykryty śnieżnym obrusem, sianko, piękna zastawa, rodzinne srebra, kryształ. Na honorowym miejscu opłatek, zgodnie z lwowskim zwyczajem posmarowany pszczelim miodem.

Pierwsza gwiazdka. Wszyscy domownicy eleganccy, dostojni, odświętni. Naprawdę czuło się Boga. Dziadek

rozpoczyna dzielenie się opłatkiem z całą rodziną i ze służbą, a potem wszyscy ze sobą. Szczerze, gorące, najlepsze życzenia. Zaczyna się wieczerza wigilijna. Dwanaście potraw, rozpoczynając barszczem z uszkami. Druga zupa – migdałowa. Ryby – ogrom ryb: karpie, szczupaki, sandacze – w galaretach, smażone, faszerowane. Pierogi – z kapustą słodką, kwaśną, z serem i ziemniakami (nie żadne „ruskie”), z grzybami, z powidłami i orzechami, z makiem. Dla mnie, szkraba, a do tego niejadka, był to okres mąk Tantala – bo wszystkiego trzeba było jeść, choćby „ociupinkę”.

A potem kompot z suszu, makowce, pierniki, zawiąnięte z orzechami i migdałami, różnego rodzaju orzechy, bakalie, no i naturalnie cudowna kutia.

Po takim biesiadowaniu, około dwugodzinnym, odzywa się dzwoneczek w salonie, otwierają się bezszelestnie rozsuwane drzwi do jadalni i oczom wszystkich ukazują się lśniąca dziesiątkami świeczek, olbrzymie, pod sufit, drzewko (tak, tak – we Lwowie choinka to drzewko) pełne najpiękniejszych ozdób, cukierków, orzechów złotych, czerwonych jabłek, łańcuchów i anielskich włosów. I znowu – nasz tradycyjny rytuał: na progu salonu, na klęczkach „Aniele Boży, stróżu mój...”, a potem... wagon prezentów. Też dla wszystkich.

Boże, co to były za cudowne czasy, naprawdę wierzyliśmy w Anioła, byliśmy tak ufni i tak szczęśliwi.

A potem – kolędy. Babunia grała na fortepianie, a wszyscy śpiewali „Wśród nocnej ciszy”, „Bóg się rodzi”, „Mizerna cicha” i jakoś najbardziej bliska dziecięcemu sercu „W dzień Bożego Narodzenia” (bo tam tyle o ptaszkach...). Niebo nad Lwowem było w tym czasie tak cudownie roziskrzane, jak dziecięce serduszka, wdzięczne Bożi za wszystko dobre. O północy rodzice szli na pasterkę.

A potem nastawał czas odwiedzania „Bożych żłóbków”. Ale o tym – w naszym następnym spotkaniu.

3

Minęły najcudowniejsze, najcieplejsze i najbardziej rodzinne święta Bożego Narodzenia. I już tylko przypomina o nich kolorowe drzewko. Stary Lwów przykrył grubą warstwą biały puch. Rodzice wrócili do codziennych obowiązków, dzieciarnia powyciągała sanki. Zaludniły się, rozkrzyczały i rozbawiły stoki Wysokiego Zamku i Pohulanki, zapelniły się spacerowiczami aleje Stryjskiego Parku i terenów powystawowych Targów Wschodnich. Za kilka dni Sylwester i Nowy Rok – dla dorosłych okres szampańskich bali, wytwornych zabaw i zadumy nad przyszłością. Co przyniesie? Niestety – ostatni przedwojenny przyniósł za kilka miesięcy tragedię miasta, kraju, rodzin. Lwów i jego mieszkańców czekały trzy kolejne okupacje: bolszewicka, niemiecka i znów bolszewicka. Koszmar wszystkich godzin każdej doby.

Ale dzień Nowego Roku 1939 jeszcze był szczęśliwy, kiedy obwieszczał go swym majestatycznym biciem stary Bernardyn (zegar kościoła oo. Bernardynów). A wewnątrz, w kościołach, aż do Matki Bożej Gromnicznej czekał na wiernych dużych i małych – Nowo Narodzony.

Boże żłóbki były piękne, pełne inwencji i ciepła. Od miniaturowych figurek w minichatkach ze strzechą (tych było najwięcej) np. u ss. Sakramentek, po postacie naturalnej wielkości, np. u oo. Dominikanów²⁾. I wszędzie drobne rączki rozmodlonych dzieciaków wrzucały grosiki do skarbonki jako dary serca na utrzymanie ochronki (dziś zwą ją sierocińcami). A w domach,

wieczorami, przychodzili kolędnicy – przebierańcy, z Gwiazdą, a od Nowego Roku – z banią. Naturalnie, zawsze sowicie nagradzani.

Zmieniał się też repertuar kolęd w domach i kościołach w zależności od chronologii dat: „Nowy Rok bieży”, „Mędrcy świata”³⁾. Dla starszych dzieciaków rozpoczynają się już zajęcia szkolne. Mnie to jeszcze nie dotyczyło.

4

Na chwilę musimy rozstać się ze wspomnieniami kolorowego, radosnego Lwowa i wyprzedzić czas o rok.

Rok – mój Boże, to przecież zaledwie 12 miesięcy. A może – aż tyle?

W aurze pogody, miłości i szczęścia – czas mknął ze zwielokrotnioną szybkością. Ale gdy nastaje czas tragedii, rodzinnych dramatów, szczyt rozpacz – czas zwalnia tempo, wskazówki zegara niemal stają w miejscu.

Rok 1940 – Lwów ciemniejszy, skuty kajdanami niewoli „wschodnich wybawicieli”. Sroga, bardzo ostra zima, brak opału, ogólna bieda, głód, sponiewierane godności ludzkie, niemal conocne „perewirki” (sprawdzenia) dokumentów po domach, aresztowania Bogu ducha winnych ludzi. I wreszcie to najgorsze – wywózki na Sybir.

Jakim prawem? Nie prowadziliśmy wojny ze Wschodem. Wschodni uzurpator bezprawnie wdarł się do naszego kraju. Dzień 22 września 1939 r. – tragiczny piątek – był najtragiczniejszym w życiu tego miasta. Nasze miasto musiało złożyć broń – tragedia wierności ojczyźnie, honorowi, bezsilność – zbiorowa i zwielokrotniona samobójstwami wielu oficerów i żołnierzy.

A teraz – w 1940 – wywózki osób cywilnych. spokojnych ludzi: 10 II 1940, 13 IV 1940 i koniec czerwca 1940. Do dziś, po tylu, tylu latach, mam przed oczyma stojące pod kamienicami Lwowa odkryte ciężarowe samochody – lory, przy nich „soldatów” z bagnietami, a na nich setki zrozpaczonych ludzi z węzełkami w ręku. Wszystko, cały dobytek, nieraz prawdziwe bogactwa – dorobek całego życia własnego i przodków, trzeba było zostawić na pastwę nieokrzęszonej dziczy. Mieszkania plombowano. A potem osadzano w nich bolszewickich dostojników, głównie ciemnotę, oniemiała na widok wyposażenia domów. Prawowici zaś ich właściciele, zamknięci w zaplombowanych bydłych wagonach, ruszali w nieznane. Bez jedzenia, picia, w niepojętych warunkach sanitarnych. Po drodze zamarzali, umierali z głodu i chorób, by wreszcie po tygodniach, u kresu „podróży”, wylądować wśród śniegów, mrozów, na całkowicie odludziu tajgi. Tak zaczynała się ich wieloletnia gehenna, Golgota Wschodu.

Los ich na nieludzkiej ziemi złagodził dopiero w 1941 r. na skutek interwencji i dyplomatycznych zabiegów gen. Władysława Sikorskiego – Naczelnego Wodza i premiera Rządu Polskiego na emigracji, które zwińczyła podpisana 4 grudnia deklaracja Sikorski-Stalin. I – chyba – najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że administratorami wywożonych byli rodzimi zaprzańcy: Ukraińcy, Żydzi i polscy komuniści. Wywózki objęły nie tylko Lwów, ale i Kresy Wschodnie. Bywało na tzw. prowincji, że z parafianami dobrowolnie na zsyłkę jechali też ich kapłani. Np. śp. ks. Wojciech Olszowski, znajomy moich śp. Rodziców, który nawet po latach zsyłki nie skorzystał z możliwości powojennej repatriacji i prowadził nadal misję duszpasterską w okolicach Ka-

ragandy w Kazachstanie, a po mianowaniu go w 1958 r. przez Stolicę Apostolską biskupem tytularnym Kijowa – został w 1959 r. wydalony do Polski, gdzie wkrótce zmarł.

Moja najbliższa rodzina cudem uniknęła tego koszmaru, ale dalsza jej część przeszła – bardzo licznie – przez to piekło. Pomoc materialna z kraju (paczki żywnościowe) była znikoma. We Lwowie była bieda i głód. Inteligencja nie umiała się dostosować do zaistniałej sytuacji, nie umiała kombinować, handlować. Żył się z powolnej wyprzedaży mienia.

Marta Jucherska

O Maryli Wolskiej i jej „Storożce”

Wśród starych dokumentów, rękopisów, brulionów i karteczek odnalezionych po śmierci Maryli Wolskiej w jej lwowskiej willi na „Zaświeciu” była jedna szczególna, bo zawierała takie oto wyznanie poetki skreślone odręcznie i bez daty:

„Po Storożce tęsknić będę do śmierci – o Storożce będę pamiętać umierając. Tak ją kocham, że jej nigdy nie opowiem nikomu. Gdybyż można razem z tą garsteczką ziemi przekazać dalej to moje własne nie dobito niczym kochanie – ale nie można!”

I rzeczywiście Maryla Wolska (1873–1930) czołowa przedstawicielka lwowskiej literatury okresu „Młodej Polski” nigdy w swojej twórczości nie opisała tego jedyne go i najukochańszego dla niej skrawka ziemi położonego u podnóża Karpat, na ziemi skolskiej, nad rzeką Opór. Nie opowiedziała o małym skromnym, lecz jakże przytulnym domku, zbudowanym tam przez jej rodziców dla niej i z myślą o niej, dla podreperowania jej młodego lecz kruche go zdrowia. Nie opisała Storożki bo, być może, wbrew temu co wcześniej wyznała, po prostu tego zrobić już nie zdążyła. Zmarła mając 57 lat, niedługo po tym jak zaczęła spisywać swoje wspomnienia. Jej pamiętnik „Quodlibet” wydany po jej śmierci, ale dopiero w 1974 roku, obejmuje zaledwie okres kilku lat z jej najwcześniejszego i bardzo szczęśliwego dzieciństwa u boku ukochanych rodziców: Wandy (z domu Monne) i Karola Młodnickiego, oraz rodziny ze strony dziadka Karola Monne zamieszkałych tak jak i ona we Lwowie. „Storożkę” opowiedziała za nią i dla niej (jak to wyraźnie zaznaczyła) Beata Obertyńska, jej córka, również poetka, kontynuując niedokończony dzieło swojej matki w „Quodlibeciku”, a dokładniej w rozdziale zatytułowanym „O maminej Storożce” tak oto uzasadniając swoją decyzję: „Nie mogłam zagłuszyć nachodzącej mnie coraz częściej pokusy, aby w zastępstwie Mamy spisać – czy spróbować spisać – choć część tego, na co jej samej nie starczyło tchu i żeby bodaj to, co dostałam od niej „ciepłą ręką” w opowiadaniach, w pogaduszkach, popartych mnóstwem fotografii, rysunków czy listów, przechować dla nas – dla rodziny, dla jej wnuków...”. A także: „Żał mi było i szkoda, że razem ze mną przepadną różne rodzinne i nierodzinne okruciny zdarzeń, które choć domowe, potoczne i często błahę, mogłyby mimo wszystko obyczajowo być ciekawe jako przyczynek czy świadectwo czasów i środowiska”.

Przypisy:

1) Stryjski Park, Pohulanka, Wysoki Zamek, Plac Powystawowy Targów Wschodnich.

2) Od 6 stycznia – zarówno w szopkach kościelnych, jak i domowych (bo we Lwowie zawsze pod drzewkiem w domu ustawiało się małą szopkę, misternej roboty, w zależności od sytuacji finansowej rodziny – bywały też istne cudowne porcelanowe, alabastrowe albo proste wycinanki tekturowe) obok Świętej Rodziny pojawiali się też Trzej Królowie.

3) W lwowskiej Katedrze Łacińskiej w czasie każdej sumy, oprócz kolęd śpiewanych przez wiernych i chór, występowali też w partiach solowych artyści – soliści Opery Lwowskiej, dając mini-koncerty i uświetniając ceremoniał mszalny. □

Swoje opowiadanie o maminej Storożce rozpoczyna Beata Obertyńska od 1882 roku.

Marylka Młodnicka (a właściwie Marysia, bo takie imię otrzymała na chrzcie) ma niewiele więcej niż dziewięć lat. Jest wątłym, nerwowym, chorowitym dzieckiem i z „płucami ciągle jeszcze krucho”. Aby jej więc zapewnić coroczny pobyt w żywicznym, górskim powietrzu za skromną „wentzowską sumkę – cioci Buni i Tereni – zostaje kupiony mały „splacheć ziemi”, na płaskowzgórzu zwanym w księgach gruntowych miasta Skolego Storożką – tak jakoś z ruskiego storoż – stróża, strażnica (dawniej była tam w pobliżu strażnica celna) jako, że „dolina zwężała się tu nagle w przełęk, trochę tylko szerszy od pieniającej się w jarze rzeki, tak, że na dobrą sprawę jeden szeroko „rozpostarty” strażnik mógł jak nic stawić czemuś opór nad Oporem! Jeszcze owo najwęższe miejsce drogi można było w razie czego założyć łańcuchem... i zamknąć na kłódkę. Stąd do dziś mówi się o nim „Kłódka”...

Kiedy budowa domu była już w toku, latem rodzina państwa Młodnickich udawała się do pobliskiej Demni, gdzie wynajmowała mieszkanie, aby dochodząc spacerkiem na Storożkę, „tuczyć pańskim okiem” radośnie rosnący nad urwiskiem drewniany dom. W tych wyprawach zawsze towarzyszyły rodzicom dzieci: Marylka i jej brat Adaś. Prowiant brało się na cały dzień ze sobą w koszykach, a jadło go na wietrze i słońcu. Ręce można było umyć obok, o dwa kroki, bo „brzegiem kusej jeszcze wtedy storożańskiej granicy sączył się i pochlepywał w podbiałach nikły, niknący w suszy strumyczek... Górą od lasu szedł ciepły zapach żywicy na przemian z niskimi podmuchami cienistego chłodu, zwalony obok budulec ział świeżością i terem, a od płaczących się wśród belek cieśli zaciągał słoność i liche tytoły...”. Były to niewątpliwie szczęśliwe chwile dla całej rodziny bo – jak mówi poetka – „Szczęście może mieć jednak przedziwnie złożoną gamę zapachów!”.

Z owych wakacji na Demni zostało Maryli Wolskiej wspomnienie paru chwil, które utrwaliła w cyklu „Godzin łaskawych” w dzbanku z ostatnimi swoimi skolskimi malinami... A z licznych późniejszych już pobytów na Storożce zapamiętała cudowny krajobraz i widok na całą okolicę z pasmem gór w tle. Pięknie to opisała Beata Obertyńska, dlatego też przytoczymy tu dłuższy fragment jej opisu:

„Przyparta okolem do podnóża Karpat, skolska dolina Oporu musiała chyba od początku swego istnienia robić wrażenie olbrzymiej, błękitnej miski o stromych, świerkowym lasem porośniętych ścianach. Rzeka – kilka pętami rzucona na jej dno – parla z gór suta zaśpiewana.... W roztopy rozlewała się buro po całej dolinie, w susze prześlizgiwała się szmaragdowym grzbietem między białymi od spieki kamieniami brzegów, które z kolei zima zakuwała w lód. Okrążywszy Skole szerokim łukiem, otarłszy się o północny i wschodni skłon ku rzece osuniętego lasu, Opór przed samym opuszczeniem doliny wpadał z nienacką na zakręt, a ten przekazywał go wąskiej gardzieli wgniecionego między spadziście zbocza jaru. Wpadał weń zły i zbuntowany, pobielający od pian, sprężysty od szumu i prac dalej kamienistym łożyskiem – pod Dębina dopiero wyszarpnąwszy się z cieśni – odłapywał kolor i dech.... A tam daleko, na przeciwnym krańcu równiny, rozsiadło się Skole, mizerna jeszcze wtedy i głęboko prowincjonalna miejscina, rozplatana na pół „cesarską drogą” na Węgry. Gościńiec ten biegnąc od Stryja na południe, wypływał na skolską dolinę dosłownie w tym samym miejscu, w którym – od przeciwnej strony prac z gór ku Stryjowi – Opór wlatywał w jar. Tyle, że droga szła wysokim kabląkiem terenu, a rzeka szumiała nisko pod nim, dnem leśnego parowu. I tak pewnie „chodziły koło siebie” od początku. Nie było innego sposobu dostania się przez góryste pasmo Karpat na Węgry, jak właśnie tym szlakiem. Najpierw wywęszyła go rzeka, potem wszędzie niemal równolegle do jej biegu ludzie zbudowali drogę”.

Działka nabyta przez rodziców Maryli była tuż nad Oporem, w najbliższym sąsiedztwie owego wąskiego przełyku rzeki. Była częścią sporej pochyłości, spływającej łagodnie od strony lasu, a urwanej z nienacką na samym obrzeżu jedynej w okolicy płaskowzgórza. Usadowiła się na wysokim gzymsie terenu. Za sobą miała „pasiak cudzych zagoników, pod sobą na dnie wąwozu bity gościńiec, a przed sobą już tylko rzeką srebrzoną, otwarty świat”. Boże! Co za świat! – wspomina poetka, „Opór tym swoim ostatnim zbuntowanym zakrętem podpełzał tak blisko pod Storożkę, że się jego nieustanny szum wdychiwało nieświadomie razem z powietrzem. A dokoła nic, tylko jak okiem sięgnąć – garby, pasma i płynny kontur zachodzących na siebie gór, zrazu zielonych, potem granatowych, wreszcie błękitnych, rozdartych potem przez oddal w mętny opal, w pastelową mgłę... I to powietrze! To jedyne na świecie, wonne, przeczyste, błogosławione powietrze!”.

O kolei, która miała wkrótce przeciąć wzdłuż cały „widok” przed Storożką, jeszcze nikt nie słyszał... Pociągi dochodziły tylko do Stryja, skąd dylżansem – takim prawdziwym, grającym na trąbce – lub najętymi końmi ruszało się na południe, ku małym, na „sztabowych tylko mapach” wymienianym miejscowościom, jak Lubieńce, Synowódzko, Dębina czy pierwsza za Skolem: Demnia i Świętosław. Storożka leżała mniej więcej w połowie drogi między Dębina a Skolem. Dom, który tam postawili rodzice Maryli był skromny i prosty, bo przypominał w założeniu podłużne pudełko, obite zewnątrz deskami i przykryte gontem, z oknami „gdzie należy i z drzwiami gdzie się patrzy”. Weranda poprowadzona na całą południową długość domu była kryta, bo cofnięta pod okap dachu. Jeszcze tylko dwa kominy,

dwie kadzie i jedna drabina – „doprawdy trudno o coś prostszego w założeniu” – stwierdza poetka.

Wypożyczenie domu było również skromne: wnętrza wysokie, bielone, tak jak i kamyczkowe piece, meble sosnowe nie lakierowane, tak samo jak podłogi. Tylko dwa niskie pokoiki na strychu były drewniane. Dopiero z upływem lat przybyło nieco lepszych mebli i obrazów, ale zawsze takich które harmonizowały z otoczeniem. Na lato przyjeżdżały wraz z letnikami ze Lwowa (z ul. Zimorowicza, gdzie mieszkali państwo Młodnicki, a potem z „Zaświecia”) kilimki, dywany i różne „szmatki-makutki”, którymi upiększano pomieszczenia na czas pobytu w górach, żeby było ładnie, przytulnie i kolorowo. Do tego bukiet gencjany w glinianym dzbanie, pęk jarzębiny przypięty skosem nad drzwiami, gałąź sosny „z ciężarkami zielonych szyszek” – wszystko to „bardzo letniskowe, bez śladu pretensji czy udawania, ale wygodne, mieściwe i najdroższe”. Tak zaprojektowany i urządzony dom miał „duszę” i tę niepowtarzalną atmosferę, która przyciągała do niego nie tylko rodzinę bliższą i dalszą, ale też przyjaźni państwa Młodnickich, a potem także Wolskich. W pierwszych latach po postawieniu „Storożki” wynajmowano pokoje letnikom, bo jak pisał autorka „dziadziów, zwłaszcza na początku, nie bardzo było stać na to, aby cały dom zatrzymywać tylko dla siebie”. Ale dodaje równocześnie, że to przyjmowanie letników miało prócz finansowych i towarzysko miłe strony, bo coroczny wakacyjny zespół dobierało się „muzykalnie” jak akord. Tak więc cały lipiec, sierpień, a przy pogodzie często jeszcze cały wrzesień „kochane drewniane pudełko pełne było ruchu, gwaru, młodzieży i muzyki”. Wynajmowano na lato fortepian (jeden z dwóch jakie wówczas posiadało całe Skole) – bo czyż można żyć bez muzyki?! Prócz letników w ścisłym znaczeniu tego słowa przyjeżdżali na Storożkę zapraszani goście. Bywał tu kilkakrotnie pod koniec lat osiemdziesiątych Kornel Ujejski (ojciec chrzestny Maryli) przyjeżdżał także Edward Porębowicz – profesor Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, sławny romanista i tłumacz arcydzieł literatury zachodniej, później bywali tzw. „Planetnicy” z „Zaświecia”, przyjaciele Maryli Wolskiej z Leopoldem Staffem na czele i wiele innych znanych osób, z którymi poetka spotykała się już wcześniej w swojej willi, we Lwowie. Odwiedzał to miejsce Władysław Bełza, poeta, publicysta i lwowski sąsiad Młodnickich. Tu również, tak jak na „Zaświeciu”, odbywały się rozmowy o literaturze i sztuce, oraz przyjacielskie pogawędki na świeżym powietrzu, w ciepłe letnie popołudnia i wieczory. Czytano i śpiewano. Chórem i solo (mama Maryli miała piękny głos). Grano na fortepianie. Pięknie na nim grał K. Ujejski, zwłaszcza polki i mazury. Spędzano przyjemnie czas.

Na Storożce lato miało w zasadzie bardzo prosty program: każdy robił co chciał, albo wszyscy jeżeli chcieli, robili coś wspólnie. W deszczowe popołudnia z reguły coś się na głos czytało. Ktoś przy tym czytał, ktoś rysował lub przebiegał maliny do smażenia. W pogodne ranki dom świecił pustką. Goście kąpali się w Oporze, a gospodarz (profesor rysunku i malarz) siedział sobie na „pejzaż” do lasu.

W czasie obiadu wszyscy natomiast gromadzili się w jadalni – wąskim, długim pokoju ze szklanymi drzwiami na werandę, zawsze otwartymi na oścież, z pięknym

widokiem na najdalsze błękitne wzgórza. Wieczory spędzano zazwyczaj na werandzie, a rozmowy tam prowadzone milkły dopiero wtedy, gdy przez otwarte okno zaczął dochodzić cudowny śpiew pani domu – Wandy Monne-Młodnickiej. W ogóle dużo się śpiewało na Storożce. Często na głosy i najczęściej już po ciemku, póki zaświecona w głębi domu lampa nie przypominała o kolacji. Podstawową jednak atrakcją każdego lata były kąpiele w rzece, na które chodziło się grupkami i osobno – panie sobie i panowie sobie. Trzeba było tylko zejść do gościńca, przeciąć go i minąć kamienistą, pełną ostów i pasących się gęsi, łączkę.

Rzeka płynęła szerokim korytem po kamiennym dnie, była miejscami płytka, miejscami głęboka, czasem rozlewała się płasko między płaskimi brzegami, i czasem „ściśnięta białała od zakrętu, złości i pian”. Każdy więc mógł wybrać, jaką kąpiel woli: czy taką z pływaniem z prądem i pod prąd, czy „samo borykanie się w huczającym ukropie spienionych wodospadów, gdzie nie słyszało się własnych słów, krzyczanych do kogoś tuż obok, za drugim spienionym kamieniem”.

Drugą radością wakacji było grzybobranie. Na grzyby szło się wczesnym rankiem, kiedy las był siwy i mokry, a „gałęzie z nocy powiązane jeszcze pajęczyną”. Nie brało się ze sobą ani kosza, ani torby, żeby grzybów nie spłoszyć. Najwyżej – niby od rosy i igieł – wiązało się podstępnie na warkocz dużej kolorowej chusty, w którą potem już w lesie, zsypywało się zbierane wcześniej w łopuch grzyby. Powrót z lasu z grzybami był osobnym przeżyciem dla Storożki. Mimo wczesnej godziny, kto żył wylegał przed dom koło kuchni by „dzielić na świeżo, całą lasem jeszcze pachnącą radość takiej chwili. Wszystko stawało się nieważne. Bo grzyby to święto! Od razu też następowało segregowanie: te do suszenia, te na marynatę, te na kolację... A potem cudowny obrzęd ich krajania... I ten zapach!...”.

Oprócz grzybów, innym ważnym i „czarownym” obrzędem lata było smażenie konfitur i robienie soków głównie z malin. Ten malinowy szum, cóż to za rzadkie paskudztwo! – wspominała po latach Maryla – ale „niech bym go tak była nie dostała! Łakoma byłam zawsze, ale w tym wypadku to nie było tylko to... Chodziło o te wszystkie cudowne, dorocznie ze smażeniem związane leśno-malinowe gusła. Każda w zimie na ul. Zimorowicza odetkana butelka miała „zaraz pod korkiem – Storożkę!”. Tak oto wyglądały codzienne przyjemności skolskich wakacji. Ale były też i inne – wycieczki w góry. A było ich tyle prawie co wzgórz. Do jednych szło się częściej (jak wspomina Beata), bo były to wyprawy łatwe, bliskie, takie jak wycieczka na Żelmin, lesisty szczyt po tamtej stronie Oporu. Potem była Paraszka – najwyższy ze skolskich szczytów, ale tam już się szło dłużej i trzeba było na to przeznaczyć cały dzień. Trzy garby wysokich Korczanek broniły do niej dostępu. Trzeba było je kolejno i z coraz większym wysiłkiem pokonywać, aby dostać się na szczyt. Bliższe wypady to na Horbań czy na Ostaszowskie Pole, spacer ku Klódcie lub do Wilczego Potoku, który jednak nie był już taki dziki i wspaniały jak ten ku Kamionce, ale „tak samo jak tamten tłukł się wściekle pod nawisem świerkowych gałęzi czy pod zwisającą nad samą wodą zielenią leszczyn i kalinowych krzaków”.

Najczęściej jednak po wczesnym obiedzie cały dom (oprócz „babciów”) wyruszał w las z tabliczką czekolady i kilkoma gruszkami w huculskiej krobieńce. Często bez określonego celu, byle przed siebie, byle pod górę. A kiedy doszło się już na górską łączkę, na „hyl” – słoneczny, wietrzny i otwarty, padało się płasko na wznak lub siadało patrząc dookoła, a wtedy w oczach robiło się niebiesko – bo jak wzrokiem sięgnąć wszędzie falisty, płynny błękit gór. Jak podkreśla Beata Obertyńska „na tych właśnie wyżach przewiewnych, na tych mszystych, dziewięciornikami patrzących łąkach, razem z „zadymionym mlekiem” ich niebieskich dalekości – mając jeszcze przed sobą ich oczami wygłaskane pasma – nasiąkała Mama nieuleczalną za nimi tęsknotą, która – wierzyła – pójdzie za nią aż na Tamtą Stronę”.

*Wiele zapomnęLecz i w życiu wtórem,
gdy myśl człowieka już na Bożą czas ma,
za tym rodzonym moim gór konturem
zatęsknię....*

W sercu Maryli Wolskiej na zawsze zostało również drogie wspomnienie dalszych wycieczek konnych do Rozhurcha i do Bubniszcz. Jechało się tam zwykle skoro świt, w kilka wozów, z dużym zaopatrzeniem w prowiant i w niezbędne rzeczy, bo były to dalekie, całodziennie wyprawy, z których wracało się już „wygwieżdżoną nocą po ledwie rozeznawanej przed końmi białawej smudze gościńca”. Żeby trafić do Rozhurcha trzeba było dobrze znać drogę – jechało się najpierw promem przez rzekę, a potem już drogą przez bukowy las, gdzie była ukryta kamienna, niewiadomego kultu



Rozhurche. Świątynia pogańska na widokówce z okresu międzywojennego (wyd. D. Brauner)

świątynia?, pustelnia? czy też zbójcka kryjówka (kto to wie?). Opowiedziała o tym miejscu Maryla Wolska w noweli pod tytułem „Piastun,” ale pokazała je inaczej, niż je sama знаła, bo „zawiała go śniegiem po oczy i w zakutej mroźnej samotni odcięła od świata razem ze starym żertwiennikiem, tak samo skazanym na śmierć jak ten jego święty, dogasający, do ostatka tchu ofiarne piastowany ogieniek”. A Skalom w Bubniszczu „miejscu świętemu swoich wspomnień” poświęciła „Ognie kupałne”. Inna wyprawa to do Kamionki. Też końmi, bo to szmat drogi. Jechało się od Dębiny przez pierwszy most na tamtą stronę Oporu, potem drogą stromą, kamienistą, ale jakże cudowną, której towarzyszył sre-

brzysty potok „szarpiący się z furją wśród olbrzymich, rdzawych, mchem porośniętych głazów, o wodzie sto razy zmieniającej kolor, o głębi sto razy zmieniającej dno, lodowaty, rozpędzony, pełen łoskotu i pian, w dół na oślep ku rzece pędzący potok. A równocześnie po obu stronach wózka szedł sobie wolniutko pod górę wilgotny, przydrożny chaszcz – łopuchy jak parasole, o czepliwym srebrze bodiaków, wiechy słonecznej miodunki, rozkołysane trzmielami, całe zatrząsienie ziół znanych tylko oczom, nosowi i radości corocznych powitań (...). Łoskot po kamieniach pędzącej wody był tak bliski i tak nieustanny, że się go dopiero wtedy zaczynało słyszeć, kiedy się przezeń czasem od przeciwnej strony próbował przebić skrzek sójki czy drążone dudlenie dudka”.

Wycieczki do Bubniszc (Bubnisk albo najprościej „do kamienia”) były dla Maryli Wolskiej najdroższe i najczęściej wspominane – zwłaszcza jedna – ta, w której uczestniczyła już jako dorosła panna, po pierwszym roku studiów malarskich w Monachium. Wtedy to wśród tych „olbrzymich kamiennych bloków w bukowy las naniesionych, które się potem z nudów zrosły w tej samotni w kolosalną kamienną całość” poznała Maryla swojego przyszłego męża Wacława Wolskiego, który tam przyjechał na wycieczkę ze Lwowa. Uśmiech losu? Przeznaczenie? – i jedno i drugie, bowiem zanim się pobrali upłynęło wiele miesięcy, a w międzyczasie Maryla zaręczyła się za granicą z Arnoldem Pentherem (jednak te zaręczyny zerwała w niedługim czasie ku radości całej rodziny). A jak bardzo była zawsze szczęśliwa i ucieszona jazdą do Bubnisk opowiedziała po latach w „Dzbanek malin” w wierszu „do Bubniszc”.

*Czy to mną radość, czy ten wóz tak trzęsie?
Czy to mnie śni się, czy ja temu śnię się?*

*Kosze, samowary, bułki koc znajomy,
wóz drabiniasty garbaty od słomy,*

*w dziewcząt jaskrawe strojny sukieneczyny,
białym gościńcem dudni od godziny...*

Taka jazda mogła trwać godzinami i tak zawsze była za krótka. Toteż w ostatniej zwrotce tego wiersza czytamy:

*Nie spiesz tak, wozie! Wiem, że śnię, czy nie śnię
Zawsze na miejscu będziemy za wcześniej.*

Małżeństwo Maryli i Wacława, poprzedzone dosyć długim narzeczeństwem, a zawarte w 1894 roku było wyjątkowo udane i szczęśliwe, choć rodzina Wolskich początkowo z dużą rezerwą podchodziła do narzeczonej. Malarka! Artystka! Studia za granicą! – to nie jest dobry materiał na żonę – uprzedzali Wacława. Ale ich obawy i niepokoje przysły po pierwszym poznaniu Maryli. I odtąd już cudownie wszystko się układało. Kupno domu na „Zaświeciu”, udane dzieci, których przybywało co roku: syn Ludwik (Luk) i Kazimierz, córka Beata (urodzona na Storożce w 1899), potem Juliusz i Aniela (Lela – malarka, późniejsza żona Michała Pawlikowskiego z Medyki), liczne grono przyjaciół, z którymi łączyło ją umiłowanie poezji i przyrody – szczęśliwe, cudowne lata. Zarządzaniem domu zajmowała się matka Maryli, a ona sama głównie literaturą i sztuką. Prowadziła dom otwarty, zawsze pełen gości i przyjazny dla każdego.

Życie wiodła spokojne, pozbawione codziennych trosk i niepokojów. Ale nadszedł rok 1914, a z nim wojna. Tego lata jeszcze w lipcu Maryla była wraz z rodziną na Storożce. Pojechała tam w tydzień po zamachu w Sarajewie, nieświadoma tego, co nadejdzie i co jest nie-



Maryla i Wacław Wolscy (fot. z „Quodlibeciku”)



Dom M. i W. Wolskich we Lwowie na „Zaświeciu”

uchronne. Wróciła do Lwowa w kilka dni później z powodu „wyraźnych już alarmów”.

Jeszcze raz udała się do Skolego wraz z matką w jesieni 1915 r., ale ten moment był dla niej wyjątkowo przygnębiający i przykry, bo to już nie była ta sama jej ukochana Storożka. Odczuła to od razu, od chwili przekroczenia progu, od samych drzwi. Coś się zmieniło, coś pękło, coś bezpowrotnie minęło i nie było to jej przywiązanie do tego miejsca tylko „cała dotychczasowa pierwotność Storożki, jej ciągłość, jej niechybność w jej życiu i to czekanie, ta pewność, że tak samo, że zawsze”. Bardzo mocno odczuła tę odmienność. Wróciła do Lwowa rozbita, prawie chora. Nie mogła spać. Nie mogła pogodzić się z nową rzeczywistością. Wtedy podjęła decyzję, że tam więcej już nie wróci, bo „jeśli już nigdy nie będzie tam tak, jak wtedy, to niechże będzie już nigdy”. I było nigdy. Słowa dotrzymała, bo ta drobna kobieta o czarno-kruczonych włosach i zdawałoby się istota krucha i delikatna, tak naprawdę była wewnątrz osobą bardzo silną i zdecydowaną. Jeśli raz

coś postanowiła, to się tego trzymała i zdania nie zmieniła, pomimo, że cierpiała. W ciągu ostatnich piętnastu lat życia do Skolego nie pojechała już ani razu. Podobnie było z jej długoletnią przyjaźnią ze Staffem. Kiedy pewnego dnia przekonała się, że jest on w stosunku do niej nielojalny, zerwała znajomość (choć nie przyszło jej to łatwo) i odtąd drzwi jej domu we Lwowie, a także na Storożce i w Perepelnikach (majątku Wolskich odziedziczonym po Padlewskich), gdzie poeta spędzał wakacje, zostały raz na zawsze dla niego zamknięte. Od czasu rozpoczęcia wojny, aż do końca lat dwudziestych zaczął się dla Maryli Wolskiej okres niezwykle trudny i bolesny. Żyjąc dotąd w atmosferze bezpieczeństwa, była przerażona ogromem zła, któremu starała się stawić czoło, pracując jako wolontariuszka – siostra miłosierdzia w szpitalu wojskowym na Łyczakowie, pomagając osobom dotkniętym nieszczęściem. Żyła w ciągłym strachu o dwóch synów walczących na froncie. I z tej strony spotkał ją straszliwy cios. W 1919 roku, podczas wojny polsko-ukraińskiej w spokojnych wydawałoby się Perepelnikach został aresztowany przez nacjonalistów ukraińskich jej najstarszy syn Luk i przewieziony do więzienia na zamku w Złoczowie. Tam okrutnie katowany zginął 1 kwietnia 1919 r. wraz z grupą 24 Polaków. Ostatnie chwile jego młodego życia opowiedział rodzinie ksiądz infułat Czajkowski, który był przy egzekucji. Luk nie pozwolił sobie zawiązać oczu przed rozstrzelaniem. Zwrócony twarzą ku łufom krzyknął „Niech żyje Polska”.

Katechizm polskiego dziecka napisany dla niego przez Władysława Belzę – jego ojca chrzestnego pytał Luka

*„Coś jej winien?” –
odpowiedź brzmiała „Oddać życie”.*

Po tej tragedii Maryla Wolska nie mogła się długo otrząsnąć. Całymi miesiącami rozpamiętywała ostatnie chwile życia swego ukochanego syna i tortury, jakim był poddany na śledztwie. Śmierć dziecka była dla niej, dla jej szczęśliwego dotąd życia pierwszym, ale miazdzącym ciosem. Za nim nastąpiły inne ciężkie życiowe doświadczenia. W trzy lata później zmarł jej mąż Wacław Wolski. Rokrocznie 1 kwietnia, z inicjatywy rodziców, odprawiano się uroczyste nabożeństwo za dusze ofiar złoczowskiego mordu.

Kwiecień w 1922 r. był wyjątkowo zimny. W styczniu tego roku (jak pisze Beata) było włamanie na „Zaświeciu”. Oprócz sreber złodzieje zabrali wiszące w przedpokoju futra, ciepłe płaszcze i swetry, w tym płaszcz ojca. Wacław Wolski, pozbawiony ciepłego okrycia, przemarł w kościele, zachorował i po trzech miesiącach zmarł. W następnym roku zmarła matka Maryli – Wanda Monne-Młodnicka, a w 1926 roku poetka pochowała najmłodszego syna Juliusza. „Skończyło się „Zaświecie” – pisała do jednej ze swoich przyjaciółek – jest już tylko cmentarz”. Wokół niej powstawała pustka. Naturalną kolejną rzeczy odchodziły z domu jej dzieci. Beata zamieszkała z mężem Józefem Obertyńskim w majątku Odnów. Lela przeniosła się do Medyki Pawlikowskich, a syn Kazio gospodarzył w Perepelnikach. Odwiedzali się wzajemnie, głównie w porach letnich. Maryla Wolska pisała wiersze, wspólnie z Michałem Pawlikowskim podjęła zamiar wydania książki ukazującej dzieje miłości jej matki i Artura Grottgera i zbierała do tego źródłowy materiał. Ale wspomnieniami wracała stale do najpięk-

niejszych swoich dni, ku skolskim szczytom, gór, lasom i tamtej rzece spod „Storożki”. W swoich ostatnich utworach w przeczuciu zbliżającej się śmierci pragnęła i wierzyła, że tamten, drugi świat będzie podobny do tego, do którego tyle razy radośnie biegła jako dziecko, dorastająca dziewczynka i jako dojrzała kobieta.

*Nie wiem jaki tam będzie świat wtóry,
Jakie grzesznych radości ominą;
Moje niebo musi pachnieć świeższczyną,
W moim niebie będą lasy i góry
– i rzeka tam szumieć powinna,
Ta jedyna, ona,
Jak żadna inna Zielona....*

W 1926 r. Maryla Wolska opublikowała swój ostatni tom wierszy zatytułowany „Dzbanek malin”, który został entuzjastycznie przyjęty przez krytykę i uznany za najbardziej dojrzały i wartościowy artystycznie. Wycieńczona chorobą woreczka żółciowego, zmarła nagle 25 czerwca 1930 roku, na „Zaświeciu”. Została pochowana na cmentarzu Łyczakowskim we wspólnym grobowcu rodziny Młodnickich i Wolskich.

Jej córka Beata Obertyńska, która po śmierci męża, w 1937 roku została właścicielką majątku w Odnowie, podzieliła los wielu tysięcy Polaków zesłanych na Sybir. Aresztowana we Lwowie w 1940 r. przez NKWD jako „obszarniczka” i oskarżona o działalność antykołchozową, została wywieziona do łagrów sowieckich. Wyostała się z Rosji wraz z II Korpusem armii gen. Władysława Andersa. Po wojnie osiadła na emigracji w Londynie, gdzie zmarła w 1980 r. Spoczywa na cmentarzu londyńskim Nord Sheen. Swoje wspomnienia z pobytu na „niehumanitarnej ziemi” spisała w książce-reportażu „W domu niewoli”, która została wydana w Polsce dopiero po jej śmierci. Do ukochanego Lwowa i na Storożkę nie było jej dane wrócić już nigdy.

Dom na „Zaświeciu” we Lwowie stoi do dzisiaj (obecnie jest to ul. Czajkowskiego, dawniej ul. Kalecza) i jest w rękach prywatnych (do 1979 r. mieścił się tam ośrodek zdrowia dla pracowników Urzędu Bezpieczeństwa). A Storożka? Trudno powiedzieć. Zapewne już jej nie ma tak jak i większości domów i dworów polskich, które albo czas zniszczył, albo ludzie zdewastowali. Jeśli nawet zostało „coś” z dawnej Storożki, to z pewnością nie jest to owa belka świerkowa na poddaszu domu, na której odjeżdżający goście zostawiali swoje autografy, a Leopold Staff wiersz (z którego Beata Obertyńska zapamiętała pierwszą zwrotkę i ją zapisała):

*Znów mej młodości lato jedno
przeszło... Na drzewach liście rzadną,
Zwiedle padają u mych stóp
Na niewyjaśnionych tęsknot grób...*

Lata mijają. Ślady polskości na Kresach zanikają coraz bardziej – z roku na rok. Groby naszych przodków, albo się chylą ku upadkowi, albo już ich nie ma (tak jak grobowca rodzinnego Obertyńskich – moich dziadków – w Złoczowie, który jeszcze niedawno tam stał). Na szczęście pozostają wspomnienia – te które są w sercach ludzi z Kresów, nie spisane i te spisane, w formie literackiej: opowiadania, wiersze i pamiętniki jak np. *Quodlibet* i *Quodlibecik* Maryli Wolskiej i Beaty Obertyńskiej, na podstawie których został napisany ten artykuł. □

Powrócili do Macierzy

(Przedruk z „Gazety Częstochowskiej” nr 4/II/2009 r.)

13 stycznia bieżącego roku w Częstochowie zamieszkała polska rodzina, przesiedlona z Kazachstanu. Państwo Anatolij i Tamara Golcowie przybyli do Polski z dwójką swoich dzieci – ośmioletnią Kariną i trzyletnią Olgą – w ramach programu rządowego, realizowanego w myśl przepisów Ustawy o repatriacji z dnia 9 listopada 2000 roku. By mogli zamieszkać w naszym mieście, zgodę musiała wydać Rada Miasta. Rajcy stosowną uchwałę przegłosowali w ubiegłym roku.

Miasto objęło nowych obywateli specjalną opieką. Dzięki państwowej dotacji przygotowano dla nich mieszkanie w pobliżu Jasnej Góry – czuwali nad tym pracownicy Wydziału Organizacyjnego Urzędu Miasta Jadwiga Łażewska, Mirosław Kujawski, Paweł Ruksza. – Aktualnie państwo Golcowie uczą się języka polskiego. Później pomożemy im znaleźć pracę – informuje prezydent Tadeusz Wrona.

Anatolij Golec złożył wniosek o repatriację w 2002 roku. – Długo czekaliśmy. Dziś jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy powrócić do ojczyzny naszych przodków, z której zostali wywiezieni do Kazachstanu w ramach zsyłek. Tu chcemy żyć i pracować – mówi A. Golec.



Ojciec rodziny jest kierowcą, matka do tej pory opiekowała się dziećmi. Karina już chodzi do szkoły (SP nr 18). Społeczność przyjęła ją serdecznie.

Repatriowana rodzina mogła zabrać do nowego miejsca zamieszkania tylko osobiste rzeczy na podróż. Trwała ona trzy tygodnie pociągami. Państwo Golców witali pracownicy częstochowskiego UM oraz siostra pani Tamary, która w Polsce mieszka już od 12 lat.

UG

Jan Tarnowski

20 lat Oddziału TMLiKPW w Zielonej Górze

Od początku 2008 r. pracowaliśmy intensywnie nad tym, aby ta uroczystość wypadła okazale. Główne uroczystości zaplanowaliśmy na miesiąc październik, dzięki ofiarności naszych członków udało nam się zebrać odpowiednią ilość gotówki i zamówiliśmy sztandar dla Towarzystwa. Z Wojewódzką Biblioteką im. Cypriana Norwida wspólnie przygotowaliśmy wystawę kresową. Na wystawie prezentowane były zbiory Tadeusza Marcinkowskiego oraz Czesława Nycza. Wystawa została przygotowana przez fachowy personel, prezentowana była w salach wystawowych biblioteki. Zainteresowanie przeszło nasze oczekiwania. Wystawa była zwiedzana przez młodzież szkolną oraz przez wielu mieszkańców Zielonej Góry oraz okolic. W ramach Dni Kultury Kresowej przy współpracy ze Stowarzyszeniem Wspólnota Bukowiny i Centrum Animacji Kultury rozpoczęliśmy pierwszą edycję Przeglądu Kultury Kresowej i mimo skromnych środków mogliśmy zaprosić zespoły z Białorusi, Ukrainy oraz z naszego regionu; mieliśmy ponad 200 wykonawców, zakończenie prezentacji odbyło się w pięknej scenerii Zamku w Koźuchowie. Główne uroczystości 20-lecia rozpoczęła msza św. z poświęceniem sztandaru. Następnie autokarem udaliśmy się na cmentarz, gdzie znajdują się w miejscu Pamięci Narodowej dwa kresowe pomniki – tym, co pozostali na Kresach, a drugi Ofiarom OUN i UPA. Następnie w przestronnej sali kolumnowej Urzędu Marszałkowskiego uroczystość zaszczycił swoją obecnością wicewojewoda lubuski Jan Świrepo. Obecny był prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki, wójt gminy Mariusz Zalewski,

przedstawicielem Zarządu Głównego był kolega Leszek Mulka. Przybyła delegacja oddziału TMLiKPW z Gorzowa z pocztą sztandarową, której przewodniczył prezes Piotr Franków. W czasie uroczystości prezes Jan Tarnowski w swoim wystąpieniu wspominał tych, którzy byli inicjatorami powstania oddziału w Zielonej Górze, a dwie osoby, kol. Beata Ileak oraz kol. Wiesław Podgórski do dnia dzisiejszego są aktywnymi członkami.

Odniesienie państwowe: Złoty Krzyż Zasługi otrzymał kolega Roman Garbacik, który od wielu lat jako muzyk jest kierownikiem zespołów muzycznych: chóru „Pohulanka” oraz zespołu „Kresowe Nuty”, pełni również funkcje wiceprezesa Towarzystwa. Szereg osób otrzymało Złote Odznaki za aktywną działalność. Inne otrzymały dyplomy. Pod koniec Organizowanych Dni Kultury Kresowej gościliśmy pana prof. Stanisława Sławomira Nicieję, którego wykład o cmentarzu Łyczakowskim cieszył się dużym zainteresowaniem. Przed wykładem przy okazji pobytu w Zielonej Górze prof. Nicieję zwiedził wystawę razem z rektorem Uniwersytetu Zielonogórskiego panem prof. Czesławem Osękowskim. W tym dniu, który był zakończeniem Dni Kultury Kresowej w Zielonej Górze miało miejsce bardzo ważne wydarzenie. Decyzją marszałka woj. lubuskiego w uznaniu za całokształt działalności oddziału Towarzystwa w okresie dwudziestu minionych lat. W zakresie krzewienia kultury kresowej oraz promocji miasta Zielonej Góry Sztandar Towarzystwa został odznaczony Medalem za Zasługi dla Województwa Lubuskiego. Odznaczenia dokonał w imieniu marszałka wiceprzewodniczący sejmiku lubuskiego Zdzisław Paduszyński. □

V Kędzierzyńsko-Kozielski Dzień Kultury Kresowej

Alicja Nocoń

„Polska–Ukraina: Przyjaźń i Współpraca” „OUN-UPA: Hańba i potępienie”

Pod tym hasłem obchodzono w Kędzierzynie-Koźlu w dniu 7 czerwca 2008 r. już po raz piąty Dzień Kultury Kresowej zorganizowany przez Oddział TMLiKPW.

W ramach Dnia Kultury Kresowej zorganizowano również wojewódzkie uroczystości 65. rocznicy ludobójstwa na Kresach Wschodnich II RP, dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN-UPA.

Świętowaliśmy także w tym dniu 19-lecie działalności naszego Oddziału.

Uroczystości rozpoczęły się o godz. 9.30 konferencją naukowo-historyczną dotyczącą ludobójstwa na Kresach. Po wysłuchaniu Hymnu Sybiraków łos zabrał prezes Oddziału TMLiKPW Witold Lisowski, który powitał przybyłych gości – wojewodę opolskiego Stanisława Jastrzebskiego, pełnomocnika wojewody do spraw kombatanów Bogdana Bocheńskiego, asystenta Marszałka Województwa Artura Rolkę, przedstawicieli władz powiatowych i miejskich ze starostą Józefem Gismem i prezydentem miasta Wiesławem Fafarą na czele,

borka, Brzegu, Tychów, Katowic, Bielska-Białej, Zabrze, księży Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, Józefa Marfińskiego, Alfonsa Schuberta, ojca Wojciecha Piętowskiego, dyrektora Publicznego Gimnazjum nr 1 w Kędzierzynie-Koźlu im. Orłat Lwowskich Annę Mainusz, grono pedagogiczne i młodzież tej szkoły, przedstawicieli Wojska Polskiego, policji, straży pożarnej, harcerzy z Kędzierzyna-Koźla i Głubczyc, nauczycieli i uczniów szkół



kędzierzyńsko-kozielskich, poczty sztandarowej, orkiestrę wojskową i kompanię honorową Wojska Polskiego, mieszkańców miasta.

Asystent Marszałka Województwa Artur Rolka odczytał list skierowany do uczestników uroczystości przez Marszałka Józefa Sebestę, głos zabrał też prezydent miasta Wiesław Fafara.

Konferencję prowadził Szczepan Siekierka, prezes SUOZUN.

Jako pierwszy głos zabrał profesor Józef Wysocki z Wrocławia, następnie z dłuższym wykładem wystąpił profesor Czesław Partacz z Koszalina. Profesor przyjechał do nas prosto ze Lwowa, gdzie uczestniczył w konferencji. W dalszej kolejności głos zabierali Stanisław Srokowski, Jan Skalski, Zdzisław Kuhl – prezes Oddziału TMLiKPW w Opolu, Szczepan Siekierka, Adam Śmiech, redaktor portalu internetowego „Jedynówka”.

Minutą ciszy uczczono pamięć zmarłych w ostatnich miesiącach profesora Edwarda Prusa i księdza profesora Mieczysława A. Krąpca.

Po konferencji zebrani udali się do kościoła pod wezwaniem św. Zygmunta i św. Jadwigi Śląskiej, gdzie o godz. 13 rozpoczęła się uroczysta msza święta, odprawiana przez księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego i ojca Wojciecha Piętowskiego w intencji Polaków pomordowanych na byłych Kresach Wschodnich II RP. Przed kościołem odbywała się kwesta na budowę w Warszawie pomnika ofiar ludobójstwa. Do kościoła



posła PSL Stanisława Rakoczego z Opola, profesorów Józefa Wysockiego z Wrocławia, Czesława Partacza z Koszalina, przedstawicieli Polskiego Towarzystwa Historycznego z Opola z Januszem Korczykiem na czele, przedstawicieli SZŻAK z Kędzierzyna-Koźla, Wrocławia, Opola i Głubczyc, prezesa Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów Szczepana Siekierkę z Wrocławia, prezydenta Światowego Kongresu Kresowian Jana Skalskiego z Bytomia, prezesów i przedstawicieli organizacji kombatanckich z naszego miasta – Związku Sybiraków, Związku Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, Związku Inwalidów Wojennych RP, Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego, Związku Byłych Żołnierzy Batalionów Chłopskich, pisarzy Stanisława Srokowskiego z Wrocławia i Stanisława Jastrzebskiego z Chorzowa, liczne delegacje Oddziałów TMLiKPW z Bytomia, Nysy, Głubczyc, Kłodzka, Wrocławia, Kluc-

wkroczyła kompania honorowa Wojska Polskiego z Brzegu ze sztandarem, za nią liczne poczty sztandarowe organizacji kombatanckich, oddziałów TMLiKPW, policji, szkół. Msza rozpoczęła się od hymnu państwowego, odegranego przez orkiestrę wojskową Śląskiego Okręgu Wojskowego z Wrocławia. Kazanie wygłosił ojciec Wojciech Piętowski.

Pod koniec mszy głos zabrał ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Mówił m.in. o swych kresowych korzeniach, zbrodni ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów również na członkach jego rodziny. Piękne, wzruszające słowa księdza zebrani nagrodzili gromkimi oklaskami. Mszę zakończyła pieśń „Boże coś Polskę” zagrana przez orkiestrę wojskową.

Po mszy św. przed kościołem uformował się pochód. Na czele szła kompania honorowa Wojska Polskiego ze sztandarem, po niej orkiestra wojskowa, poczty sztandarowe, przedstawiciele władz wojewódzkich, powiatowych i miejskich, zaproszeni goście, członkowie Towarzystwa, młodzież i mieszkańcy miasta. Okrężną drogą – ulicą Pamięci Sybiraków, przez Rynek, ulicą Złotniczą, Bończyka, Bohaterów Westerplatte przeszliśmy, przy akompaniamencie marszów granych przez orkiestrę, pod budynek publicznego Gimnazjum nr 1 im. Orłąt Lwowskich przy ul. Piramowicza.

Tam, przed tablicą inskrypcyjną, upamiętniającą ofiary ludobójstwa, orkiestra wojskowa odegrała hymn państwowy, po czym głos zabrali wicewojewoda opolski Stanisław Jastrzębski i poseł PSL Stanisław Rakoczy. Po salwie honorowej, oddanej przez kompanię honorową

Wojska Polskiego, przedstawiciele władz wojewódzkich, powiatowych i miejskich, organizacji kombatanckich, oddziałów TMLiKPW, zaproszonych gości i młodzież złożyli pod tablicą kwiaty. Uroczystość przed tablicą zakończyło odegranie i odśpiewanie Roty.

Po obiedzie wróciliśmy do nowej sali sportowej PG nr 1 im. Orłąt Lwowskich, gdzie przed rozpoczęciem koncertu głos zabrał ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Koncert rozpoczął występ młodzieży gimnazjalnej, która zaprezentowała pokaz tańców z przepięknym polonezem na czele. Po nich wystąpiła wspólnie z Pacalichą grupa dziecięca „Ychtis” z Katowic. Koncert zakończyła grupa „Ta joj” z Lewina Brzeskiego.

Przez cały dzień w holu przed salą działały stoiska, gdzie można było kupić książki wydawnictwa „Norton” z Wrocławia, wydaną przez wydawnictwo Arcana najnowszą książkę Stanisława Srokowskiego „Ukraiński kochanek” i wydane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka wcześniejsze książki tego autora – „Nienawiść” i „Samotność”, książki Stanisława Jastrzębskiego „Oko w oko z banderowcami”, „Moje Kresy wczoraj i dziś” i inne pozycje tematycznie związane z historią Kresów. Obecni na uroczystościach autorzy podpisywali swe książki, rozmawiali z czytelnikami.

Uroczystości przebiegały sprawnie i bezkolizyjnie. Dużą w tym zasługą prezesa Oddziału TMLiKPW Witolda Listowskiego i koleżanek z Zarządu Oddziału, którym wyrażam w tym miejscu serdeczne podziękowania. □

Wanda Butowska

20 lat TMLiKPW w Poznaniu

Przy tak okrągłej rocznicy czas na podsumowanie. Chciałabym i ja w zarysie przybliżyć działania Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Staramy się zainteresować tematyką Kresów i ich dziedzictwem mieszkańców Poznania i Wielkopolski.

Poznański Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa powstał w lutym 1989 r. Zrodził go entuzjazm lwowskich dzieci: ludzi tam urodzonych i stamtąd wygnanych, a może tylko wyproszonych?

Były więc radosne spotkania, wspomnienia, pikniki, wycieczki, wspólne świętowanie i organizowanie przedsięwzięć wychodzących poza własne grono.

Swoją siedzibę Towarzystwo posiada od lat – dzięki gościnności dyrekcji – w Centrum Kultury „Zamek”. Pierwszym prezesem oddziału był Andrzej Alexiewicz, następnie Tomasz Naganowski, a obecnie Bożena Łączkowska.

Wydawany jest biuletyn, w którym zapisywane są bieżące wydarzenia, wspomnienia, przypomnienia, interesujące przedruki. Redaguje go Hanna Telesińska, Danuta Szwarz i Iwo Werschler.

Od samego początku każdy wyjazd na Kresy związany był z pomocą charytatywną, a od kilku lat na początku grudnia wyjeżdża transport, by zdążyć przed

św. Mikołajem do przedszkoli i środowisk polskich we Lwowie, Mościskach, Brzeżanach, Przemyślanach, Rohatynie, Podhajcach. „Głównodowodzącym” w tych działaniach jest Stanisław Łukasiewicz, a pomaga mu w tym zespół z naszego oddziału i harcerze z kręgu „Orłąt” ZHR z Oś. Rusa. Ofiarodawcami są dzieci i młodzież z poznańskich szkół, parafii, mieszkańcy, firmy. Na zbiórkę darów udostępnia nam miejsce Szkoła Podstawowa nr 84, za co jesteśmy bardzo wdzięczni.

Kilkakrotnie też gościliśmy dzieci z Kresów, które miały okazję zobaczyć Poznań i atrakcje Wielkopolski.

Organizowaliśmy szereg spotkań z gronem interesujących ludzi związanych z Kresami, np. z pp. Dzieduszyckimi, Witoldem Szolginą, Jerzym Michotkiem, Dorą Kaznelson z Drohobycza, Danutą Nespiak, prof. Nicieją i z wielu innymi. W roku 1997 obchodziliśmy bardzo uroczyste jubileusz 60-lecia pracy scenicznej Krystyny Feldman.

Od lat jedenastu już organizujemy Dni Lwowa i Kresów. W ramach „Dni” staramy się przygotować dość urozmaicony program, a w nim wykłady dotyczące historii, spotkania z ludźmi nauki przybliżające postacie osób ważnych dla Wielkopolski, a wywodzących się z dawnych kresów Rzeczypospolitej. Z cyklu tych spotkań powstawały zeszyty z biogramami, a w 2007 książ-

ka pod redakcją Juliusza Rozmiłowskiego: „Udział Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w życiu naukowym i kulturalnym Poznania i Wielkopolski”.

Od dwóch lat podczas uroczystości inauguracji „Dni” wręczana jest statuetka „Lwa Semper Fidelis” według projektu Jarosława Lebieźdza. Przyznana została ministrowi Andrzejowi Przewoźnikowi i prof. Andrzejowi Stelmachowskiemu.

Nieodłącznym elementem „Dni” są zawsze oczekiwane i oklaskiwane występy zespołów artystycznych: chór „Echo”, „Lwowska Fala” ze Lwowa, „Bukowińskie Kolory” z Czarniowca, „Werhowyna” z Żabiego, „Wołyńskie Słowiki” z Łucka, a także: „Paka Rycha” z Bytomia, „Biedronki” z Brzegu, „Baniaki”, poznański chór „Arion”, Młodzieżowa Orkiestra Dęta z Tarnowa Podgórnego i in. Zespoły występowały na wieczornym koncercie i na niedzielnym pikniku na Starym Rynku.

Stałym punktem programu są też wystawy. Było ich wiele: makietę cmentarza Orłąt, ekslibrisy, wystawa poświęcona muzyce Lwowa, na którą mnóstwo pamiątek w postaci dawnych programów, afiszy, nut, biletów itp. udostępnił pan Janusz Wasylkowski, pocztówki

z kolekcji Zdzisława Piwki, zbiory filatelistyczne Władysława Aleksiewicza, fotograficzne: Krzysztofa Hejke, Feliksa Sikorskiego, Zdzisława J. Zielińskiego.

Pamiętką z „Dni” są wydawane okolicznościowe kartki pocztowe z również okolicznościowym stemplem.

Współorganizatorami Dni Lwowa jest Wspólnota Polska, Biblioteka Raczyńskich, Restauracja Kresowa, Centrum Kultury „Zamek”, ZHR „Orłęta”.

„Ludzie, miasta i dzieła żyją tak długo – jak długo żyją w ludzkiej pamięci”.

Od 1989 r. do Towarzystwa zgłosiło się ponad 600 osób. Nie wszyscy z zakładających przed dwudziestu laty Oddział Poznański Towarzystwa są z nami nadal. Pamiętamy o nich i wspominamy. Wspominamy również tych, którzy zostali zamordowani na Kresach. W ich intencji odprawiane są uroczyste msze św. w Farze. Modlimy się w nich, by zło i nienawiść nie odbierały ludziom serca i rozumu.

Wszystkie te przedsięwzięcia byłyby bardzo trudne lub niemożliwe do zrealizowania bez zapалу członków Towarzystwa, pomocy i życzliwości wielu, wielu ludzi. Dziękujemy! □

Bożena Policińska

Konkurs „Lwów zawsze wierny”

Druga edycja konkursu powiatowego „Lwów – zawsze wierny” pod honorowym patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy odbyła się 2.04.2009 r. w Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich w Częstochowie. Impreza miała na celu zainteresowanie uczniów historią Lwowa, rozbudzanie patriotyzmu i propagowanie wśród młodzieży pozytywnych wzorców Orłąt Lwowskich.

W konkursie wzięły udział szkoły gimnazjalne z terenu miasta Częstochowy, jak i z powiatu częstochowskiego. W komisji konkursu, oprócz nauczycieli ze szkół, zasiadli eksperci z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich: Wacław Baczyński



Od lewej: nauczycielka mgr Magdalena Dębska-Kołodziejczyk, zwycięzcy konkursu Łukasz Piłula i Sebastian Skalik. Nagrody wręczają: dyrektor Gimnazjum nr 21 mgr Jacek Rudolf oraz prezes Częstochowskiego Oddziału TMLiKPW Wacław Baczyński.

ski i Jerzy Turkiewicz. Uczniowie zmierzali się z różnorodnymi zadaniami: test z historii Lwowa wzbogacony został elementami zapożyczonymi z dramatu G. Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”, znajomością zabytków miasta. Mogli też wykazać się znajomością biografii postaci Polaków związanych z miastem, znajomością gwary lwowskiej „bałaku”. Rywalizujące drużyny obliczały różnice czasu słonecznego między Lwowem i różnymi miastami na kuli ziemskiej oraz odpowiadały ustnie na pytania z geografii tego regionu.

I miejsce zajęło Gimnazjum nr 21 w Częstochowie reprezentowane przez Sebasiana Skalika i Tomasza Piłulę.

II miejsce Gimnazjum nr 12 w Częstochowie reprezentowane przez Agatę Mierzejewską i Patrycję Grajcę.

III miejsce w konkursie zajęło Gimnazjum nr 6 w Częstochowie i uczennice Joanna Stampka i Magdalena Wielgosz.

Wyróżnienie otrzymała drużyna z Gimnazjum nr 9 w Częstochowie i uczennice Karolina Parzeniewska i Wioleta Sarnat.

Wszyscy uczestnicy otrzymali dyplomy za udział w konkursie oraz nagrody książkowe dla swoich szkół. Dla zwycięzców nagrody rzeczowe i wspaniałe albumy ufundowało Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Konkurs został przygotowany przez nauczycielkę historii i wiedzy o społeczeństwie magister Bogumiłę Kogut, nauczycielkę-bibliotekarkę magister Bożenę Policińską i nauczyciela geografii i fizyki magistra Szymona Kwapisiewicza. Konkurs spełnił oczekiwania organizatorów, bo spotkał się z dużym zainteresowaniem innych szkół, a cele jakie zostały przed nim postawione zostały osiągnięte. Lwów, jego dzieje i kultura są wciąż żywe. □

Minęło 20 lat TMLiKPW w Krakowie

Oddział Krakowski TMLiKPW jest dziś jednym z siedemdziesięciu kilku działających na terenie RP. Należy jednak do bardziej znanych. W ubiegłych latach zastanawialiśmy się wielokrotnie, co jest tego przyczyną: szczególne dokonania, potencjał intelektualny, szczególne miejsce? Zapewne wszystkiego po trochu.

Oddział Krakowski zawiązał się na samym początku 1989 r., w kilka miesięcy po powstaniu Towarzystwa we Wrocławiu. Na zebranie organizacyjne 25 lutego do sali Filharmonii przybyło kilkaset osób, a wkrótce zapisało się około półtora tysiąca ekspatriantów osiadłych pod Wawelem: ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Drohobycz, Kołomyi, Sambora, Złoczowa, Brodów oraz parudziesięciu mniejszych miast i miasteczek Małopolski Wschodniej. Wiele osób z tego środowiska spotykało się w Krakowie na pół konspiracyjnie od lat: na okolicznościowych mszach św., katakumbowych imprezach itp. lub w domach prywatnych. Odradzającej się wspólnoty patronowali – wszyscy nieżyjący już – o. gen. (wtedy pułkownik) Adam Studziński, dr Janina Winowska i Stanisław Wasiuczyński (pisał o tym szerzej w folderze jubileuszowym na X-lecie).

Oczywiście dziś nie mamy już tylu członków – czas robi swoje. Jednak stały napływ nowych – starszych i młodszych członków – nie ustaje. Magnesem jest zarówno idea, przyświecająca działalności Towarzystwa w Krakowie, jak i jego działalność statutowa: pomoc rodakom na Wschodzie, działalność na rzecz ratowania Cmentarza Łyczakowskiego, comiesięczne spotkania, ciekawe imprezy, wycieczki (których Towarzystwo nie organizuje bezpośrednio, lecz im patronuje), dostęp do książek i czasopism, a także własny kwartalnik „Cracovia-Leopolis”, cieszący się stale rosnącą popularnością.

Od marca 2008 trwa czteroletnia VI kadencja Zarządu Oddziału Krakowskiego. Przypominamy poprzednie kadencje (zob. także foldery jubileuszowe na X- i XV-lecie):

I 1989–1992: prezes Jerzy Kowalczyk, wiceprezesi Teodozjusz Bojanowski i Andrzej Chlipalski (łącznie 9 osób);

II 1992–1996: prezes Jerzy Kowalczyk, wiceprezesi Andrzej Chlipalski i Jerzy Żuk (łącznie 9 osób);

III 1996–2000: prezes Andrzej Chlipalski, wiceprezesi: Adam Gyurkovich i Jerzy Żuk (łącznie 9 osób);

IV 2000–2004: prezesem został wybrany powtórnie Andrzej Chlipalski, jednak po krótkim czasie zrezygnował. Funkcję prezesa od lipca 2000 przejął Adam Gyurkovich;

V 2004–2008: prezes Adam Gyurkovich, wiceprezesi: Edward Adles i Jerzy Żuk (skład Zarządu powiększono do 11 osób);

VI od marca 2008: prezes Adam Gyurkovich, wiceprezesi: Edward Adles i Stanisław Czerny, sekretarz:

Urszula Kogut, skarbnik: Edward Adles, członkowie Zarządu: Andrzej Chlipalski, Ryszard Defort, Romana Machowska, Anna Madej, Krystyna Stafińska, Zdzisława Stopczyńska, Barbara Szumska.

Komisja rewizyjna: Maria Berek (przew.), Henryk Kleinrok, Anna Stengl.

Sąd koleżeński: Jerzy Kowalczyk (przew.), Andrzej Pawłowski, Leszek Wajda.

W skład Oddziału Krakowskiego wchodzi – jak w poprzednich kadencjach – 4 Koła Regionalne: Stanisławowian, Tarnopolan, Stryjan i Zaleszczykówian (omówione niżej).

Siedziba Zarządu Oddziału mieści się nadal (od 1992) w gmachu PTG „Sokół” przy ul. Piłsudskiego 27. Nieodpłatne użytkowanie pokoju biurowego zawdzięczamy przede wszystkim prezesowi druhowi Konradowi Firlejowi oraz b. naczelnikowi druhowi Andrzejowi Pawłowskiemu.

Oddział liczy obecnie ok. 180 aktywnych członków oraz nieokreśloną liczbę sympatyków, pozostających w stałym kontakcie z Towarzystwem (udział w spotkaniach itp.).

Oddział Krakowski wchodzi w piąte pięciolecie aktywności i kontynuuje szóstą kadencję Zarządu z optymizmem. Zapisów nowych członków nie brakuje. Utrzymujemy dotychczasowe kontakty i nawiązujemy nowe z instytucjami i organizacjami, z ludźmi, którzy pragną uczynić coś dobrego w sprawach nam bliskich, tak w kwestiach dotyczących polskości w naszej Małej Ojczyźnie, jak i pomocy potrzebującym, a oddzielnym Rodakom.

Na zakończenie wypada przeto podziękować dawnym i nowym przyjaciółom, którym bliskie nam sprawy coś zawdzięczają. Wyrażamy wdzięczność Władzom Miejskim, przede wszystkim Panu Prezydentowi Miasta Jackowi Majchrowskiemu i Panu Dyrektorowi Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Stanisławowi Dziedzicowi, Kościołowi, Uczelniom i Szkołom, Instytucjom i Organizacjom, a w szczególności „Sokołowi”. Dziękujemy wszystkim życzliwym osobom w nich działającym, a także szlachetnym Przyjaciółom, którzy świadczą dobro całkiem prywatnie.

Dziękujemy za dwadzieścia lat wspólnej pracy i wspólnej satysfakcji (a czasem i wspólnej goryczy). Bądźmy zawsze razem.

Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów południowo-Wschodnich

Fotoreportaż z Jubileuszu XX-lecia – na str. 26.

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Tadeusz Kamiński

(1928–2009)

W Szczecinie zmarł 9 marca br. red. Tadeusz Kamiński. Miał 81 lat. Urodził się w Stanisławowie, ekspatriowany z Kresów, w Szczecinie ukończył studia – Wyższą Szkołę Ekonomiczną i w 1952 r. podjął pierwszą pracę dziennikarską – w „Głosie Szczecińskim”. Po wielu latach w tej redakcji przeszedł do „7 Głosów Tygodnia”. Był sekretarzem redakcji, zastępcą redaktora naczelnego. Potem pracował w Tygodniku Młodych Wybrzeża „Jantar”, kierował pismem „Rybak Dalekomorski”, pełnił funkcję sekretarza redakcji w tygodniku „Morze i Ziemia”.

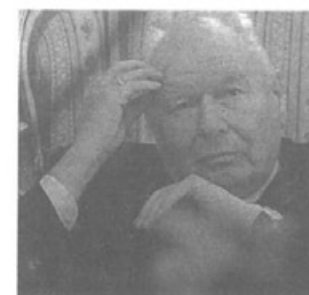
Był wszechstronnym dziennikarzem. Specjalizował się w tematyce ekonomiczno-społecznej i w publicystyce morskiej, ale skala Jego zainteresowań była szeroka, miał też dar uważnej lektury w pracy nad tekstami innych. Umiał i lubił pracować z młodymi dziennikarzami, którzy z tej Jego umiejętności często korzystali. Był przyjazny dla kolegów, dowcipny.

Tadeusz Kamiński był jednym z pierwszych dziennikarzy w Polsce, który zaczął pisać na tematy kresowe, o wymordowaniu przez hitlerowców inteligencji polskiej w Stanisławowie. Na łamach szczecińskiej prasy zamieścił 9 reportaży o tej zbrodni w Czarnym Lesie. Potem je wydał w formie książkowej pt. *Tajemnice Czarnego Lasu*. Do końca życia czuł się stanisławowskim kresowikiem.

Cześć Jego Pamięci!

Śp. Andrzej Stelmachowski

(1925–2009)



15 kwietnia br. na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie odbył się pogrzeb profesora Andrzeja Stelmachowskiego – jednego z twórców niepodległego Państwa Polskiego.

Andrzej Stelmachowski zmarł 6 kwietnia br. w wieku 84 lat. Przed wojną był

członkiem Młodzieży Wszechpolskiej. W okresie II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej. Studia prawnicze ukończył w 1947 r. na Uniwersytecie Poznańskim, na tej uczelni uzyskał stopień naukowy doktora. Od 1962 r. był profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, od 1969 r. profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizował się w prawie cywilnym i rolnym.

W 1980 r. był doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. W latach 1982–1985 przewodniczył Komitetowi Organizacyjnemu Kościelnej Fundacji na rzecz Rolnictwa. W latach 1987–1990 był również prezesem warszawskiego Klubu Inteligencji Ka-

tolickiej. Należał do inicjatorów okrągłego stołu, uczestniczył w jego obradach plenarnych i pracach zespołowych. W 1989 r. został senatorem I kadencji z ramienia Komitetu Obywatelskiego, objął stanowisko Marszałka Senatu. W rządzie Jana Olszewskiego pełnił funkcję ministra edukacji narodowej (1991–1992).

W 2005 r. wszedł w skład honorowego komitetu poparcia Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich. W lutym 2007 r. został doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. Polonii.

Od lutego 1990 r. do 11 maja 2008 r. był prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie. Właśnie z tej działalności był najbardziej znany Polakom rozsiądanym po całej kuli ziemskiej.

Odnaczony pośmiertnie Orderem Orła Białego.

Cześć Jego Pamięci!

Wspomnienie o Kazimierzu Szubie

Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięć im się płaci. Chwiejna to waluta. Nie ma dnia, by ktoś wieczności swej nie stracił.

(W. Szymborska)

Kazimierz Szuba, mój stryjeczny brat (kuzyn), syn Józefa i Julii urodził się 29 sierpnia 1921 roku w Królewskim Wolnym Mieście Stryju w zacnej i szlachetnej rodzinie kolejarskiej. Ojciec Kazimierza, mój stryj, był długoletnim rzemieślnikiem PKP. Kuzyn miał dwie siostry: starszą o pięć lat Zofię i młodszą o osiem lat Emilię.

Kształcił się w Szkole Powszechnej im. Jana Kochanowskiego, później w I Gimnazjum Państwowym (599), w końcu w I Państwowym Liceum Humanistycznym im. Józefa Piłsudskiego w Stryju. Świadek dojrzałości uzyskał w 1939 r., jeszcze w wolnej Polsce (ostatnia matura w Stryju). Dalszą edukację przerwała wojna.

W okresie od września 1936 do lipca 1938 r. ukończył obozy szkoły starszych przysposobienia wojskowego, uzyskując II stopień pw ogólnego.

W latach pierwszej (sowieckiej) i drugiej (niemieckiej) okupacji pracował, by pomóc licznej rodzinie. Jakiś czas pracowaliśmy razem jako robotnicy. W 1941 r. zostaliśmy zatrudnieni w Przedsiębiorstwie Budowlanym „Bau-Tief”, przy obsłudze kafara (urządzenia obsługiwano wówczas za pomocą siły ludzkiej) na budowie niskowodnego mostu kolejowego na rzece Stryj. Później przez dłuższy czas pracowaliśmy w magazynie wojskowym jako tragarze.

W pierwszych miesiącach 1943 r. po złożeniu przysięgi i otrzymaniu pseudonimu „Krępy” rozpoczął służbę wojskową jako żołnierz Inspektoratu Armii Krajowej oddziałów leśnych w rejonie Daszawa–Korczunek–Antonówka pod kryptonimem „Zapora”, jako żołnierz Samodzielnego Batalionu Operacyjnego 11 Karpackiej Dywizji Partyzanckiej AK pod dowództwem płk. Zdzisława Pacak Kuźmierskiego ps. „Andrzej”, „Mandaryn”, „Jarema”,

legendarnego oficera kampanii wrześniowej w obronie Warszawy. Tam też uczestniczyłem z kuzynem do końca lipca 1944 r., to jest do momentu internowania dowódcy przez czołwarkę pododdziałów Armii Czerwonej (może NKGB?). Zgodnie z rozkazem dowódcy zostaliśmy zwolnieni od pełnienia dalszej służby w oddziale partyzanckim. Wróciliśmy przypadkowo napotkaną furmanką, jednak większą część trasy do Stryja pokonaliśmy pieszo.

Wkrótce rozstaliśmy się. Ja zostałem powołany do Wojska Polskiego, gdzie znajdował się kuzyn – nie wiedziałem. Dopiero we Włodawie, gdzie stacjonowałem, otrzymałem od niego list z informacją, że jest żołnierzem w orkiestrze. Z firmowego nadruku na kartce wyniosowałem, że przebywa na terenie Czechosłowacji. Treść była skąpa ze względu na ścisłą cenzurę. Jakiś czas potem dowiedziałem się, że Kazimierz pełni służbę wojskową w Orkiestrze Reprezentacyjnej Wojska Polskiego w Warszawie.

Zbiegiem okoliczności, po likwidacji mojej jednostki wojskowej w Ursusie zostałem przeniesiony do Samodzielnego Batalionu Ochrony Sztabu Generalnego w Warszawie na terenie którego stacjonowały reprezentacyjne pododdziały jednostek WP, w tym Orkiestra Reprezentacyjna WP. Często spotykaliśmy się, przy tym korzystałem z możliwości udziału w różnych uroczystościach państwowych, w których z reguły uczestniczyła orkiestra.

Niezapomnianym był mój udział w imprezie (już nie pamiętam w jakiej) zorganizowanej w sali Roma przy ul. Nowogrodzkiej. W każdym razie był na niej obecny Stanisław Mikołajczyk. W trakcie zakłócanego przez nielicznych prowokatorów przemówienia Mikołajczyk zwrócił się do prezydium Zjazdu z oświadczeniem: „Nie będę kontynuował przemówienia, ponieważ prezydium nie umożliwia mi tego”. Następnie wyszedł z sali żegnany przez uczestników pieśnią Gustawa Ehrenberga ze znanymi słowami: „O cześć wam, hrabiowie, magnaty...” i udał się z towarzyszącą mu grupą do hotelu przy Nowogrodzkiej, gdzie z balkonu zwrócił się do zebranych manifestantów z prośbą, by się rozeszli, ponieważ do-

szły go słuchy, że UB aresztował niektórych członków PSL.

Po demobilizacji w 1946 r. Kazimierz zamieszkał w Gliwicach, gdzie, po przymusowym opuszczeniu Stryja, przebywała jego najbliższa rodzina.

W Gliwicach ożenił się ze stryjenką Ireną Pohopin. Z tego małżeństwa dochował się syna Andrzeja i córki Aliny. Pierwsza córka Jolanta zmarła w trzecim miesiącu życia. Doczekał się wnuka Miłosza (35 lat) i wnuczki Oli (26 lat). Dane mu było również doczekać prawnuczki Madzi (10 lat).

Kazik z Ireną przeżyli prawie 62 lata w zgodzie i miłości.

Utrzymywał stały kontakt z TMLiKPW z oddziałami w Gliwicach (z „Nurtem Stryja”) i z klubem we Wrocławiu (Strzecha Stryjska). Był człowiekiem głęboko wierzącym. Wielką godność i prawość cechowała wszystkie jego uczynki. Gorąco kochał Polskę i Stryj. Pogodny i zawsze życzliwy ludziom. W latach 1952–1957 studiował w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, uzyskując tytuł magistra ekonomii.

Utrzymywał przyjazne stosunki z kolegami ze Stryja, do których należeli: W. Jakimow, A. Wartalski, J. Kobel, Z. Kłaczak, S. Tomanek, S. Flach, Z. Scheffernacker i inni, najczęściej kombatanci, niestety już nieżyjący, z wyjątkiem Tomanka. Sam Kazimierz też był kombatantem i czynnym członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Posiadał wiele odznaczeń pamiątkowych.

W marcu 2007 podczas mszy świętej w kościele w Gliwicach zasłabł, stracił przytomność i został przewieziony do szpitala, gdzie podczas badań ujawniono straszną nieuleczalną chorobę. Odszedł do Pana we śnie 4 stycznia 2009 r. Mocno wierzę, że dobry Bóg da Kazimierzowi miejsce w swoim Królestwie Niebieskim, bo na nie zasłużył w pełni swoim przykładnym życiem.

Niestety, ze względu na wiek i moje inwalidztwo nie mogłem wziąć udziału w jego ostatniej drodze do wieczności. W moim sercu pamięć o Kaziu pozostanie na zawsze.

Cześć Jego Pamięci.

Bolesław Szuba

Poszukiwania

Poszukuję rodziny, dalszej rodziny lub osób, które zostały repatriowane – wysiedlone na wiosnę lub latem 1944 r. ze wsi Żelechów Mały przysiółek „Chatki” lub Żelechów Wielki, powiat Kamionka Strumiłowa, woj. Tarnopol, na tereny Ziemi Odzyskanych, którzy osiedlili się w miastach lub wioskach na tych terenach.

Jan Kanas

33-100 Tamów
ul. Zamenhova 43

Poszukuję pani **Marii Kuźniar**, która wyjechała ze Lwowa w 1956 r.

Larisa Hylak ze Lwowa
Adres w posiadaniu Redakcji

Poszukuję informacji do biografii panny **Wandy Kretowicz (Kretowiczówny)**, córki Józefa i Marii, zmarłej ok. 1962 r., zamieszkałej we Lwowie od roku być może 1908 lub 1909. Panna Kretowicz mieszkała we Lwowie przy ówczesnej ul. S. Wyspiańskiego nr 33 od około 1920 (1921) do 1935 (może i do zgonu).

Za każdą informację na temat osoby panny Wandy Kretowicz będę szczerze wdzięczny.

Z wyrazami szacunku

Zbigniew Baran
ul. J. Lambora 2/11
33-300 Nowy Sącz

„Prezentacje Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny 2009”

Postanowienia organizacyjne:

Prezentacje muzyczne odbędą się w dniach **od 16 do 18 października 2009 r.** w Zielonej Górze, Żaganiu i Kożuchowie.

Warunki zgłoszenia:

Prezentacje Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny mają formułę konkursu. Impreza przeznaczona jest wyłącznie dla amatorów muzyki, plastyków i literatów (dopuszcza się udział dzieci szkół muzycznych stopnia podstawowego). Dolna granica wieku uczestnika wynosi 8 lat.

1. W prezentacjach sztuki muzycznej mogą wziąć udział:

- a) soliści, duety, instrumentalni, kompozytorzy,
- b) zespoły wokalne (do 8 osób) i wokalo-instrumentalne (do 16 osób),
- c) chóry (do 40 osób) działające w szkołach, domach kultury, parafiach, stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezarzeszone.

2. W warsztatach sztuki plastycznej mogą wziąć udział:

- a) artyści zawodowi i amatorzy,

- b) pracownice plastyczne,
- c) plastycy działający w stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezarzeszone.

3. W warsztatach literackich mogą wziąć udział autorzy działający w stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezarzeszone.

4. Szczegółowych informacji udziela i przyjmuje zgłoszenia do Prezentacji **do dnia 31 lipca 2009 r.** Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze, tel.: 068/452-93-01, tel. i fax: 068-320-88-34, rcak@man.zgora.pl (www.rcak.pl).

Lista Ofiarodawców za miesiące IV–V 2009 r.

- 1. Ks. Karol Wójcik, Węgorzyno 150.-
- 2. Józef Wojciechowski, Legnica 50.-
- 3. Andrzej i Elżbieta Poraj Malina, Warszawa 200.-
- 4. Bożena Sobolewska, Białostoczek,
pomoc Polakom we Lwowie 100.-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom
składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Jan Karpa – "How long are the unawfuls going to rejoice?"	1
Alfred Janicki – A resolution	2
Ryszard Kilar – My dream of Lwów	2
Czesław Filipowski – The Ukrainian murder of Huta Pieniacka – is any understanding possible?	3
Tadeusz Samborski – A recollection of Z. J. RUMEL, soldier of the Peasants' Battalion	5
Jarosław Tadeusz Leszczyński – The Roztocze charming towns at the Polish-Ukrainian border	7
Janusz Hodyr – Kazimierz Sichulski, one of the most eminent Polish painters	9
Stanisław Sławomir Nicieja – About the cemetery in Drohobycz	15
Adolf Wisłowski – A brief history of the Salesian eating-house for the poors in Lwów	19
Jadwiga Niedzielska – How to arouse love of Lwów in young hearts	20
Iwo Werscher – Our last spring in free Polish Lwów	21
Ks. Stanisław Turkowski – Rev. Mitratus Dr Wacław Szetelnicki	22
Easter meeting in Wrocław	25
Jubilee meetings in Kraków and in Lwów	26
Zbigniew Umański – Borderland Chronicle	29
Andrzej Przewoźnik – About the monument to victims of OUN-UPA	35
Tadeusz Kukiz – The late Roman Aftanazy, custodian at the National Library Ossolineum	35
Henryk Mitraszewski – On skis from the Borderland to the Silesian Karkonosze Mountains	37
Aleksandra Owsieńska – Our heartfelt recollections	39
Marta Jucherska – About the Lwów poetess Maryla Wojska and her manor-house "Storożka" near Skole	41
From Kazakhstan back to their fathers' country	46
Jan Tarnowski – Twenty years of the Lwów Lovers Section at Zielona Góra	46
Alicja Nocoń – "Poland-Ukraine: Friendship and Collaboration", "OUN-UPA: Infamy and condemnation"	47
Wanda Butowska – Twenty years of Lwów Lovers Society in Poznań	48
Bożena Policińska – The competition on "Lwów always faithful"	49
Twenty years of Lwów Lovers Society in Kraków	50
OBITUARY COLUMN	
Obituary notice of the late Tadeusz Kamiński (1928–2009)	51
Obituary notice of the late Andrzej Stelmachowski (1925–2009)	51
Bolesław Szuba – A recollection of Kazimierz Szuba	51
Presentation of Polish Culture from East Borderland and Bukowina in 2009	53
List of Donors	53



Fot. A. Kaminski

Widok na Cmentarz Obrońców Lwowa w maju 2009 r.